

Cena 10 złotych (w tym 5% VAT)
ISSN 2084-9621 nr indeksu: 284017

Fabryka Silesia

KWARTALNIK

Nr 1 (8) 2015

1945



TRAGEDIA

GÓRNOŚLĄSKA

w numerze m.in. Ewa Chojecka, Adam Dziurok, Ryszard Kaczmarek,
Zbigniew Kadłubek, Krzysztof Karwat, Ingmar Villqist, Henryk Waniek





Grzegorz Chudy, Styczeń 1945, akwarela, 2014, www.grzegorzchudy.pl

Fabryka Silesia
Kwartalnik nr 1 (8) 2015
40-057 Katowice ul. PCK 19
tel. 32/ 201-77-74
redakcja@fabrykasilesia.pl
www.fabrykasilesia.pl

Redakcja:
Jan F. Lewandowski (redaktor naczelny)

Administracja i sekretariat:
Katarzyna Jeruska

Redakcja graficzna, łamanie:
Magdalena Wojtyła

Rada Redakcyjna:
Zbigniew Kadłubek, Krzysztof Karwat,
Ingmar Villqist

Wydawca:
Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach
Dyrektor Adam Pastuch
www.rok.katowice.pl, tel. 32/ 251-75-63

Okładka: Magdalena Wojtyła
Realizacja poligraficzna:
LAVENDE Jolanta Budzyńska
Korekta: Elżbieta Giszter

Sprzedaż, prenumerata:
za pomocą sklepu internetowego:
www.fabrykasilesia.pl/sklep
lub w siedzibie redakcji

Wpłaty na konto ROK Katowice:
77 1160 2202 0000 0000 2888 3011
(z dopiskiem: Fabryka Silesia,
ze wskazaniem numeru i roku wydania)

ISSN 2084-9621 nr indeksu: 284017

Wydano dzięki wsparciu
Samorządu Województwa Śląskiego



Śląskie.

Pozytywna energia

2 Jan F. Lewandowski **WIELKA CISZA**

Rok 1945

3 Adam Dziurok **TRAGEDIA GÓRNOŚLĄSKA**

10 **CO ZNACZY TRAGEDIA GÓRNOŚLĄSKA 1945?**

Ryszard Kaczmarek | Bernard Linek | Piotr Madajczyk
Andrzej Sznajder | Zygmunt Woźniczka

16 Dariusz Węgrzyn **NAZWISKO PO NAZWISKU**

19 Bogusław Tracz **PIEKŁO KOBIET**

22 Grażyna Kuźnik **KONTYNGENT DLA ZWYCIĘZCÓW**

Wojna i pamięć

28 Zbigniew Kadłubek **SILESIA NIOBE**

32 Jerzy Pluta **PODRÓŻ NA WSCHÓD W 1945 ROKU**

39 Henryk Waniek **WSPOMNIENIA Z RAJU**

44 Sebastian Rosenbaum **NISZOWA PAMIĘĆ, GŁOŚNE ZAPOMNIENIE**

49 **INTERPELACJA POSŁA TADEUSZA KIJONKI**

51 Jan F. Lewandowski, Bogdan Kułakowski **Z TOSZECKIEJ PAMIĘCI**

Gdy Muzy milczą

57 **GDY MUZY MILCZĄ**

z Ewą Chojecką rozmawia Krzysztof Karwat

61 Stefan Steller **NAJDŁUŻSZA PODRÓŻ**

66 Sebastian Rosenbaum **HABRASCHKA I JEGO RELACJA**

67 Paul Habraschka **O SWOJEJ ŚMIERCI ZDECYDUJĘ SAM**

69 Hilary Krzysztofiak **ŁAPANKA**

71 Stanisław Mutz **W PIEKLE TRAWA NIE ROŚNIE**

75 Ryszard Bednarczyk **NIENAPISANA POWIEŚĆ**

76 **WYSIEDLAŁEM HORSTA BIENKA**

z Andrzejem Ziemińskim rozmawia Adam Krzemiński

83 Piotr Zaczekowski **SMUTEK TEATRU**

90 Zbigniew Kadłubek **Słowa i krajobrazy: MILCZENIE OWIEC**

92 Krzysztof Karwat **Blisko stąd: W MROCNYM CIENIU STACHANOWA**

94 Ingmar Villqist **Na temat: DOŚWIADCZENIE MIŁOŚCI**

96 **KSIĄŻKI NADEŚLANE I WYPATRZONE**

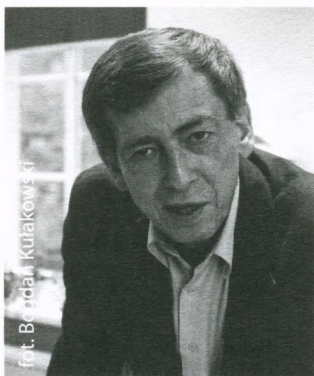


foto: Beata Kulakowska

Wielka cisza

Najpierw przychodzi refleksja, że za pół wieku, że nie żyją już ci, którzy doświadczyli Tragedii Górnośląskiej 1945 roku na własnej skórze, że musieli znieść krzywdę i traumę

w milczeniu. Inaczej byłoby w 1990 albo w 1995 roku, dwadzieścia lat temu. Wtedy jeszcze żyli, a po upadku komunizmu zaczęli nieśmiało, wielu niechętnie i z niejasnymi obawami, otwierać się na wspomnianie. Jednak żyją ich dzieci i wnuki. Dlatego Tragedia Górnośląska wydaje się tematem nadal żywym, może przez to, że tak mało przetrwionym publicznie.

Dzisiaj historycy z katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej starają się określić dokładniej skalę deportacji do Związku Sowieckiego, wydają monografie obozów pracy przymusowej na Górnym Śląsku i z każdym rokiem poszerzają naszą wiedzę. Jednak znamienne dla Tragedii Górnośląskiej jest to, że nie posiada wielu zapisów, w tym prawie nie posiada zapisów o randze literackiej. Nie pozostawiła dzieła na miarę *Innego kraju* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego czy *Archipelagu Gułag* Aleksandra Sołżenicyna. A jeśli co napisano i wydano, to raczej po stronie niemieckiej i w przeszłości. Dlatego w naszym numerze monograficznym zwracamy uwagę na nieliczne zapisy literackie, nawet jeśli były już publikowane, i losy artystów.

Po siedemdziesięciu latach powstało muzeum deportacji w Radzionkowie (chwała za to samorządowcom z Radzionkowa z burmistrzem Gabrielem Toborem na czele!), a IPN katowicki sporządza imienną bazę deportowanych. Ale jak policzyć inne straty? Kto policzy pomordowanych przez Armię Czerwoną w naszych miastach, miasteczkach i wioskach? Kto policzy zgwałcone kobiety? Czy da się jeszcze policzyć grabieże i inne zniszczenia? Czy ktoś zestawi obozy górnośląskiego archipelagu? I Górnoślązaków w nich osadzonych, potem wysiedlanych albo „tylko” pozbawianych mienia? Już nie tylko przez Sowietów, lecz także przez polską administrację komunistyczną. Nie sposób poprzestać na Sowietach, chociaż zbrodnie sowieckie miały największą skalę. Nadal znamy tylko fragmenty większej całości, a jeszcze częściej opowieści kręgu rodzinnego.

Przez dziesięciolecia komunizmu w śląskich miastach i miasteczkach stały pomniki wdzięczności dla Armii Czerwonej (w Katowicach całkiem do

niedawna), gdy doświadczenie starszych mieszkańców kojarzyło ją zupełnie inaczej. A już szczególnie w tej części Górnego Śląska, która przed II wojną światową należała do państwa niemieckiego. Wielkie kłamstwo wkomponowało się w zwyczajne pejzaże, mijając się codziennie z prawdą, a czasem przechodziło w złowrogą ironię, jak w niebywałym przypadku Pawła Stellera.

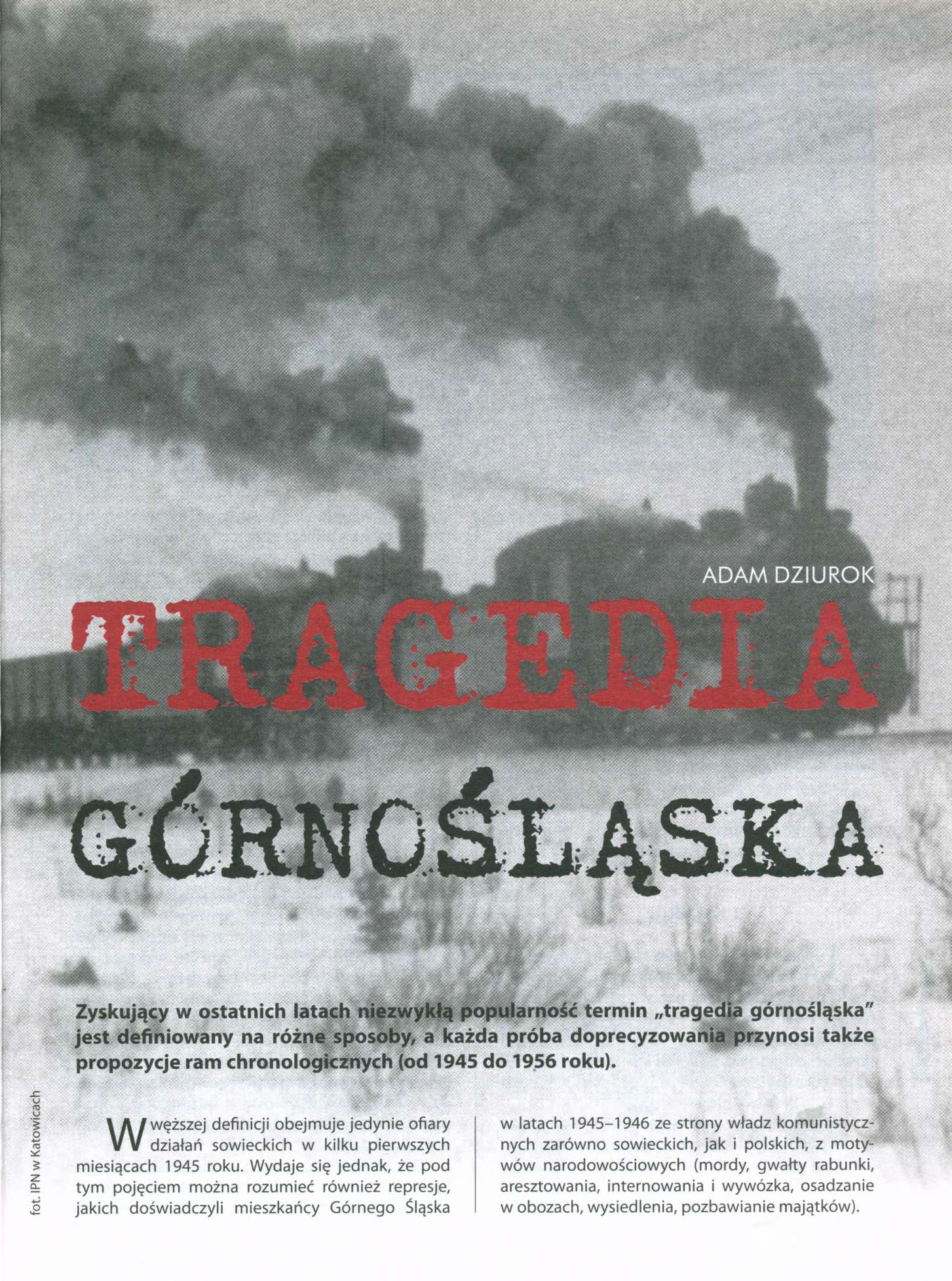
Na początku 1945 roku wojewoda Aleksander Zawadzki zlecił artyście zaprojektowanie obelisku Armii Czerwonej, który stanął w Katowicach miesiąc po jej wkroczeniu do miasta. Był to pomnik tymczasowy, potem zastąpiony rzeźbą innego autora. Jednak niedługo po wykonaniu dzieła zgarnięto artystę z mieszkania i zesłano na Syberię. Jeśli twórca pomnika Armii Czerwonej nie potrafił się przed nią obronić, to jakie szanse mieli zwyczajni zjadacze chleba? Nikt nie mógł być pewny swego losu. Jak nie traktować tego przypadku jako dzieła szatańskiej ironii?

Nie sposób dziwić się, że doświadczenie 1945 roku wpłynęło potężnie na myślenie i postawy ludu śląskiego w dziesięcioleciach PRL, to oczywiste, chociaż słabo rozpoznane w dziełach sztuki i nauki. Pisz o tym Adam Dziurok, piszą inni autorzy. Zaprośiliśmy też historyków, by podzielili się refleksją, co rozumieją przez pojęcie „tragedii górnośląskiej”.

Z pewnością zdarzenia 1945 roku należą do najbardziej tragicznych w górnośląskiej historii, niezależnie jak je nazwiemy i jak ulokujemy w kontekstach swego czasu, czyli II wojny światowej. Z czym je porównać w dłuższej perspektywie historycznej? Może z najazdami husytów w XV wieku, może z najbardziej krwawymi fragmentami wojny trzydziestoletniej XVII stulecia, ze świadomością innej skali ilościowej. Z czymkolwiek porównamy, to wychodzi, że nie było w górnośląskiej historii bardziej ponurego doświadczenia. Dobrze, że zaczynamy pisać o nim otwarcie, wprawdzie jeszcze z oporami, ale otwarcie.

Dzisiaj możemy się cieszyć ze spokojniejszego życia w spokojniejszym czasie. Tylko dziwne rodzi się wrażenie, gdy odczytujemy, że Stalino i Woroszyłow, najczęściej wymieniane jako miejsca deportacji 1945 roku, to dzisiejsze miasta Donieck i Ługańsk na Ukrainie, gdzie toczy się znowu wojna. To się oczywiście tylko przypadkowo tak złożyło, lecz uczucie jakiegoś niepokoju pozostaje. ■

JAN F. LEWANDOWSKI



ADAM DZIUROK

TRAGEDIA GÓRNOŚLĄSKA

Zyskujący w ostatnich latach niezwykłą popularność termin „tragedia górnośląska” jest definiowany na różne sposoby, a każda próba doprecyzowania przynosi także propozycje ram chronologicznych (od 1945 do 1956 roku).

Węższej definicji obejmuje jedynie ofiary działań sowieckich w kilku pierwszych miesiącach 1945 roku. Wydaje się jednak, że pod tym pojęciem można rozumieć również represje, jakich doświadczyli mieszkańcy Górnego Śląska

w latach 1945–1946 ze strony władz komunistycznych zarówno sowieckich, jak i polskich, z motywów narodowościowych (mordy, gwałty, rabunki, aresztowania, internowania i wywózka, osadzanie w obozach, wysiedlenia, pozbawianie majątków).



Czerwonoarmiści w Gliwicach w styczniu 1945 roku

Represje charakteryzowały się masowością (Górnoślązacy stali się ofiarami odpowiedzialności zbiorowej), były bezpodstawne – nieuzasadnione (lub uzasadnione były sankcje, ale niedopuszczalna forma represji), a ofiary przemocy były osobami cywilnymi (w dużym stopniu także kobiety i dzieci). Tragedia pierwszych lat powojennych zapisana jest w kodzie historycznym rodzin śląskich jako przemilczany balast przeszłości.

Wskazanie 1946 roku jako daty kończącej tzw. Tragedię Górnośląską wynika z faktu, że nastąpiło wtedy symboliczne zakończenie zasadniczych rozliczeń narodowościowych, obfitujących w największą liczbę nadużyć. Jesienią 1946 roku zlikwidowano obozy w Łambinowicach i Mysłowicach, zakończono najważniejszy etap akcji weryfikacji, a w akcji rehabilitacji odstąpiono od zasady stosowania kryterium volkslisty.

! Konteksty !

Jednak wydarzenia roku 1945 na Górnym Śląsku należy widzieć przez pryzmat doświadczenia nazizmu i okupacji/panowania niemieckiego na tym terenie w latach 1933/1939–1945. Istotne znaczenie mają przy tym różnice między ziemiami przedwojennego województwa śląskiego należącymi do Polski a resztą Górnego Śląska pozostającego w obrębie państwa niemieckiego.

Jeśli rok 1945 przyniósł mieszkańcom pierwszego terytorium powrót, po kilku latach wojny, do państwa polskiego, dla zamieszkujących niemiecką część Górnego Śląska oznaczał koniec długiego trwania w ramach państwa niemieckiego. Na per-

spektywę starej/nowej państwowości nałożyły się jeszcze kwestie oblicza politycznego nowej władzy. Bo komunizm był tak samo odległym i obcym doświadczeniem dla Górnoślązaków zarówno ze wschodniej, jak i zachodniej części regionu. Można więc mówić o wspólnym doświadczeniu mieszkańców regionu w odniesieniu do komunizmu, natomiast odmiennym w odniesieniu do państwowości polskiej.

Dyskusje na temat terminów „wyzwolenie”, „przyłączenie” i „zdobycie”, odnoszących się do wydarzeń 1945 roku, wskazują na funkcjonowanie odmiennych perspektyw wobec tego problemu. O ile dwa pierwsze, czyli „wyzwolenie” i „zdobycie”, określają militarny sukces Armii Czerwonej, to „przyłączenie” definiuje rodzaj administracyjnej kooptacji Górnego Śląska do państwa polskiego.

Pierwsze określenia wpisują się w szerszą dyskusję (i to nie tylko ogólnopolską) na temat charakteru działań Sowietów na zajmowanych terenach – czy było to wyzwolenie, zdobycie, zajęcie, czy po prostu podbój, a potem okupacja (im większe były represje i zbrodnie niemieckie na danym obszarze, tym większe uzasadnienie dla terminu „wyzwolenie”, w znaczeniu „wyzwolenie od”, co nie oznacza, że wyzwolenie było tożsame z wolnością). Warto zauważyć, że Niemcy, zajmując ziemie przedwojennego województwa śląskiego, również posługiwali się retoryką wyzwolenia, odżegnując się od agresji i okupacji (podobnie Armia Czerwona i polscy komuniści).

Z kolei sformułowanie o przyłączeniu Górnego Śląska do Polski przywołuje tezę o dopełnieniu się sprawiedliwości dziejowej i powrocie piastowskich

ziem „na ojczyzny łono”. Co istotne, kwestie te mają znaczenie jedynie w odniesieniu do Śląska Opolskiego, gdyż los przedwojennego województwa śląskiego wpisywał się już w ogólnopolską narrację „wyzwolenia”.

I Sowiecka dżuma I

O ile wydarzenia zarówno 1939 (a potem okupacji), jak i 1945 roku miały tragiczną wymowę dla wielu mieszkańców przedwojennego województwa śląskiego, to dla zamieszkujących Śląsk Opolski istotną cezurę stanowiła przede wszystkim ta ostatnia data. Do początków 1945 roku mieszkańcy tzw. niemieckich ziem wschodnich (do których zaliczano Śląsk Opolski) nie doświadczali zasadniczo wojny światowej. Wyjątek stanowili poborowi polegali na frontach i ofiary sporadycznych nalotów bombowych (np. w Opolu w grudniu 1944 roku w największym nalocie alianckim zginęło ok. 100 mieszkańców).

Nawiązując do porównania Marcina Zaremby, który stwierdził, że Polacy w obliczu „niemieckiej dżumy” woleli, z dwojga złego, „sowiecką gripę”, można zauważyć, że przynajmniej na terenie Śląska Opolskiego diagnoza „chorobowa” wyglądała zupełnie inaczej. Tutaj „sowiecka dżuma” stanowiła fundamentalne zagrożenie, zaś „niemiecka grypa” wydawała się co najwyżej „lekkim przeziębieniem”

lub wręcz stanem normalności. Pojawiające się wtedy sformułowanie, że „końca wojny nie było”, wskazuje, iż nie spełniły się oczekiwania co do powojennej stabilizacji i odzyskania podmiotowości przez mieszkańców regionu (powiadano przecież: „Jedyn pieron wyłoz, drugi włoz”). Termin „tragedia górnośląska” eksponuje okres „cierpienia śląskiego”, niezasłużonych szykan i represji wobec ludności rodzimej.

Konsekwencje wkroczenia Armii Czerwonej na teren Górnego Śląska to w pierwszej mierze zderzenie z nowym, obcym reżimem – komunizmem o obliczu sowieckim i polskim (antyniemieckim i zakamuflowanym jako „patriotyczno-lewicowy”), którego początkowe działania wobec Górnoszlązaków jawiły się jako pasmo bezprawia, zbrodni i niesprawiedliwości. Nawet władze wojewódzkie musiały przyznać, że głównie „dzięki” Sowietom „bilans otwarcia” komunizmu w nowej Polsce prezentował się fatalnie – jak raportował alarmistycznie wicewojewoda Jerzy Ziętek: „Żołnierz sowiecki stał się obecnie synonimem zła u ludności polskiej, która na niego czekała”.

W sytuacji gdy nawet najbardziej propolsko (a z pewnością mniej prosowiecko) nastawiona część Górnoszlązaków była przerażona konsekwencjami „wyzwolenia”, nie dziwi, że pierwszy powojenny okres upływał w atmosferze strachu. Przedwojenna granica polsko-niemiecka to również granica strachu – ucieczki i zorganizowane



Zniszczone centrum Bytomia w 1945 roku

foto AP w Katowicach



fot. IPN w Katowicach

Mogiła pomordowanych w Miechowicach (zdjęcie z 1968 roku)

akcje ewakuacyjne doprowadziły do znaczącego wyludnienia byłej niemieckiej części Górnego Śląska (dalece niepełne dane mówią o ponad 250 tysiącach uciekinierów). To głównie tam ludność doświadczyła niezliczonych przypadków rabunków, gwałtów i mordów ze strony czerwonarmistów. Barbarzyńskie działania Sowietów nosiły znamiona zemsty na ludności ziem niemieckich i na długie lata odcisnęły piętno na psychice i życiu społecznym mieszkańców regionu (np. przemilczana kwestia zgwałconych kobiet, dzieci poczętych z gwałtu, chorób wenerycznych).

Zjawisko masowych ucieczek przed frontem nie pojawiło się na terenie przedwojennego województwa śląskiego, gdzie nadejście Sowietów przyjmowano bez paniki, z pewnymi nadziejami, ulgą z racji zakończenia niepokoju czasu wojny, choć nie bez obaw co do charakteru „wyzwolenia” (obawiano się np. konsekwencji volkslisty). Skala nadużyć i zbrodni była tu mniejsza niż w zachodniej części Górnego Śląska, ale i tu „wyzwoliciele” pozostawili po sobie ślady zbrodni, gwałtów i zniszczenia. Dlatego poczucie krzywdy było tu znaczące – chodziło przecież o mieszkańców państwa polskiego, które głosiło tezy o braterstwie broni i sojuszu ze Związkiem Sowieckim.

! Nowe porządki !

Do politycznych konsekwencji wejścia Armii Czerwonej w 1945 roku należy zaliczyć wprowadzenie systemu komunistycznego oraz

zmianę granic i statusu województwa (zniesienie autonomii). O ile pierwsza konsekwencja była kalką działań na szczeblu ogólnokrajowym, to zniesienie (jeszcze przed zakończeniem wojny) przedwojennej autonomii województwa śląskiego wyraźnie wskazywało, że nowe władze dążą do budowy państwa unitarnego i nie będą tolerowały odrębności regionu. Choć Górny Śląsk znalazł się teraz w całości w województwie śląskim (włączono do niego tereny byłego niemieckiego Górnego Śląska – rejencję opolską), to za formalną integracją ziem górnośląskich (jedynie do 1950 roku, gdy utworzono osobne województwo opolskie) poszedł projekt ideologiczny zaburzający jednorodność województwa (przyłączono do województwa Zagłębie Dąbrowskie).

Z konsekwencji społeczno-gospodarczych 1945 roku najistotniejsze wydają się zmiany demograficzne i związane z nimi zmiany struktury społecznej, które miały charakter wyjątkowo szybki. Przedwojenne województwo śląskie, według spisu powszechnego z 1931 roku, zamieszkiwało blisko 1,3 mln osób. W nowym, powiększonym województwie mieszkało na początku 1946 roku 2,8 mln osób. Liczba mieszkańców, mimo wysiedleń, stale wzrastała, by w 1949 roku osiągnąć ponad 3,2 mln mieszkańców. Pierwsze lata po wojnie to czas olbrzymiego transferu ludności.

Przynajmniej formalnie Górny Śląsk pozbawiony został ludności niemieckiej, stając się obszarem zasiedlenia przez osadników z Kresów Wschodnich i tzw. centralnej Polski. W sytuacji stygmatyzacji niemieckością ludności miejscowej pierwszorzędną

rolę zaczęli odgrywać „czyści pod względem narodowym”, a do tego często ideologicznie poprawni mieszkańcy innych regionów Polski, w tym szczególnie Zagłębia Dąbrowskiego i województwa krakowskiego. Wykorzystali oni wkroczenie wojsk sowieckich i pojawienie się nowej władzy do objęcia najlepszych mieszkań, gospodarstw i stanowisk. Spośród przybyszów rekrutowano też kadry nowej władzy. Zjawisko to przybrało nawet formułę patronatu miast zagłębiowskich nad miejscowościami Śląska Opolskiego. Jednak wartość nowych „elit” była często wątpliwa – władze nowej Polski reprezentowali ludzie nieprzygotowani, dopuszczający się nadużyć (przykładem choćby milicja i aparat bezpieczeństwa).

Już w 1945 roku na Górnym Śląsku przyjechało blisko 160 tysięcy nowych mieszkańców (terenem osadniczym był głównie Śląsk Opolski). W sumie przybyło (łącznie z reemigrantami z Europy Zachodniej) ok. 400 tysięcy osób. Zmiany demograficzne objęły głównie przedwojenną rejencję opolską, a o skali ruchów migracyjnych świadczy, że w latach 1944–1948 nastąpiła na jej obszarze „wymiana” blisko połowy ludności. Przybycie nowych mieszkańców powodowało liczne napięcia społeczne. Przedmiotem sporu były gospodarstwa zajmowane przez przybyszów bez względu na to, czy jego właściciele ubiegali się o zweryfikowanie bądź rehabilitację. Na Śląsku Opolskim dotyczyło to ok. 1/5 gospodarstw (ok. 13,5 tys. z blisko 68 tys.). Na terenie dawnego województwa śląskiego większość

przesiedleńców zajęła mieszkania po „dwójkarzach” (posiadaczach II grupy volkslisty), co w przypadku ich rehabilitacji rodziło problemy natury prawnej i konflikty między zainteresowanymi.

I Oczyszczanie z niemieckości I

Nad pierwszymi powojennymi latami na Górnym Śląsku zaciążyły najbardziej rozwiązania kwestii narodowościowej. Przyjęte założenie, że to ziemia polska, zamieszkała przez Polaków, którzy przetrwali wieki germanizacji, a teraz bez trudu zostaną ponownie włączeni do społeczności polskiej, miało zauważalne mankamenty.

Jak skomplikowane były sprawy Górnego Śląska, może świadczyć choćby sytuacja zaistniała podczas wkroczenia Armii Czerwonej do Zabrza. Nie było flag polskich, a miejscowi komuniści niemieccy powywieszali czerwone sztandary i wołali: „Niech żyje Czerwona Armia oswobodzicielka Niemiec”. Natomiast Komitet Obywatelski Polaków Śląska Opolskiego w odezwie do czerwonoarmistów tłumaczył: „Na Śląsku kto Polak – to Wasz sojusznik! Na Śląsku kto Niemiec – to Wasz wróg!” Jak pokazała praktyka, Sowietci nie przyjmowali takiego prostego układu odniesienia i wręcz faworyzowali ludność niemiecką.

Próba stworzenia jednolitego narodu polskiego oznaczała zerojedynkowe postrzeganie spraw narodowościowych. Zatem formalnie nie było miejsca dla ludzi chwiejnych czy nieświadomych



Uroczystości połączenia Śląska i Zagłębia 19 marca 1945 roku w Katowicach, pod patronatem Józefa Stalina

narodowo, a słabość pod względem narodowościowym okazywana podczas wojny (tak nazywano np. wpis na volksliście) była wytykana jako dysfunkcja, która wymagała procesu rehabilitacji. Z kolei w niemieckiej części Górnego Śląska proces sprawdzenia narodowościowego oznaczał weryfikację postaw w odniesieniu do polskości.

Z akcji rehabilitacji i weryfikacji powodzeniem zakończyła się jedynie ta druga, która przyniosła dość zaskakujące wyniki. Zasadniczą pracę weryfikacyjną wykonano w 1,5 roku, a ostatecznie objęto nią ponad 850 tysięcy mieszkańców przedwojennej niemieckiej części Górnego Śląska (czyli więcej niż przedwojenne szacunki polskie). Natomiast rehabilitacja na terenie przedwojennego województwa śląskiego, po rozpatrzeniu ponad jednej czwartej wniosków, zakończyła się konstatacją, że kryterium niemieckiej listy narodowościowej nie jest miarodajne przy ocenie postaw narodowościowych. Obie akcje przebiegały pod znakiem licznych nadużyć, w atmosferze chaosu i zastraszenia.

Jednak ostatecznie, paradoksalnie, to mieszkańcy Śląska Opolskiego mogli liczyć na większą wyrozumiałość i bardziej liberalne traktowanie pod względem narodowościowym, skoro akcja przebiegała pod hasłem „nie traćmy żadnej duszy polskiej”. Z większą podejrzliwością podchodzono do mieszkańców przedwojennego województwa śląskiego, którzy doświadczyli raczej traktowania w myśl zasady „nie chcemy ani jednego Niemca”.

W obu częściach regionu realizowano politykę polegającą na „odniemczaniu”, przez które rozumiano usunięcie ludności niemieckiej oraz likwidację niemieckich śladów kulturalnych. Na terenach przedwojennego niemieckiego Górnego Śląska prowadzono równocześnie akcję „repolonizacyjną”, która obejmowała weryfikację narodowości-

wą miejscowej ludności, przywrócenie kultury polskiej oraz „polonizację ziemi”, polegającą na osadnictwie ludności polskiej. Podstawowym elementem tego programu było szybkie usunięcie ludności niemieckiej. Przyjmuje się, że w 1945 roku z całego Górnego Śląska wydano ok. 150 tysięcy osób do Niemiec.

Z polityką wysiedleńczą wiąże się zorganizowanie obozów i miejsc odesobnienia dla ludności niemieckiej. Poza funkcjami wysiedleńczymi stały się one sposobem na produktywizację Niemców lub ludności za niemiecką uznaną, także miejscem osadzenia do czasu rozstrzygnięcia statusu narodowościowego.

Zatem Górnoszlązakom wystawiono swoisty rachunek za lata okupacji. „Ślązacy to (...) wszyscy Volksduetsche i dla nich to nie urząd, ale praca i jeszcze raz praca. Niech pracują mordy germańskie, bo dość dobrobytu mieli podczas pobytu tu Germanów” – tak w przerysowany sposób przedstawiono ich sytuację jesienią 1945 roku w prasie propagandowej rybnickiej konspiracji antykomunistycznej.

I Konsekwencje gospodarcze i społeczne I

Przemysł górnoszląski, pracujący podczas wojny na potrzeby III Rzeszy, jedynie w niewielkim stopniu został zniszczony. Dlatego w początkach 1945 roku tym bardziej stał się „łakomym kąskiem” dla Sowietów, którzy rozpoczęli masową akcję jego demontażu i rabunku. W konsekwencji doszło do załamania produkcji przemysłowej. W połowie 1945 roku w województwie śląskim wydobywanie węgla wynosiło niespełna 1/3 stanu z sierpnia 1944 roku, produkcja koksu spadła o 70 procent, stali o 50 procent, a hutnictwa żelaza o 43 procent.



Alojzy Pajonk z Wirku po powrocie z zesłania jesienią 1945 roku



fot. IPN w Katowicach

Dawny obóz w Mysłowicach (zdjęcie z lat 60.)

Warto też prześledzić, jakie były reperkusje masowych wywózek Górnolązaków do ZSRR. Objęto nimi zarówno osoby narodowości niemieckiej, jak i pochodzenia polskiego. Dotknęły one także mieszkańców przedwojennego województwa śląskiego, lecz nade wszystko mieszkańców niemieckiej części regionu. Pierwszą poważną konsekwencją deportacji okazał się deficyt wykwalifikowanych pracowników w przemyśle, w tym głównie w górnictwie. Trudno było zastąpić tysiące doświadczonych górników, a „rewindykacja” wywiezionych napotykała na opory.

Szukano więc innych sposobów rozwiązania problemu zatrudnienia w kopalniach. Wiosną 1945 roku z 800-osobowej załogi kopalni „Miechowice” w Miechowicach aż 600 stanowiły kobiety (poza stałe 200 to ludzie starzy, inwalidzi oraz młodociani). Organizowano werbunek krajowy tzw. robotników z wolnej stopy, a także reemigrację polskich górników z Belgii i Francji. Zabiegano o zatrudnianie niemieckich jeńców wojennych oraz osób przetrzymywanych w obozach pracy. Jednak te ostatnie kategorie robotników charakteryzowała duża śmiertelność, zwłaszcza gdy osłabieni warunkami obozowymi, nieobeznani ze specyfiką pracy w górnictwie kierowani byli do najcięższych robót. W zachodniej części Górnoląskiego Zagłębia Węglowego zatrudnienie z października 1945 roku wynosiło jedynie 67 procent stanu z 1938 roku, a wydobyte węgla tylko 30 procent produkcji przedwojennej.

Do społecznych skutków deportacji należało katastrofalne położenie osamotnionych żon i dzieci. Pozbawione mężów i ojców rodziny stawały się ofiarami różnych nadużyć (nagminne były zwłaszcza

przypadki zawłaszczania mienia i usuwania rodzin z ich mieszkań). Dlatego starosta bytomski alarmował, że rodziny te nie posiadają środków do życia, a z głodu „codziennie umiera 2–7 dzieci, i to dzieci narodowości polskiej”. W tym samym raporcie starosta bytomski pisał, że każdego dnia kilkadziesiąt znędziałych kobiet „puka do drzwi naczelnika gminy, prosząc o natychmiastową pomoc, bowiem matka z dziećmi zakończy życie śmiercią samobójczą, nie widząc żadnego wyjścia”.

Konsekwencją dramatycznego zubożenia rodzin stało się zjawisko żebractwa wśród dzieci deportowanych. Z Bytomia raportowano, że „nędza jest tak wielka, że dzieci chodzą zupełnie bez odzieży i obuwia, nie chodzą do szkoły, lecz udają się na żebrzy, aby uchronić siebie od śmierci głodowej”.

W atmosferze powojennego bezprawia, represji, chaosu i podejrzliwości pojawiło się wśród Górnolązaków poczucie głębokiego rozczarowania. Prowadziło to nawet nastawionych propolsko mieszkańców regionu, a tym bardziej osoby obojętne pod względem narodowościowym, do sympatyzowania czy wręcz utożsamiania się z niemieckością. Nie spełniły się oczekiwania (czy raczej życzenia) łatwego zintegrowania mieszkańców Górnego Śląska z resztą Polski. Działania władz sowieckich i polskich w 1945 roku wobec Górnolązaków na długie lata zraziły ich nie tylko do systemu komunistycznego, ale też do państwowości polskiej. ■

Adam Dziurok – doktor, historyk Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, redaktor naczelny półrocznika „Czasy Pismo o historii Górnego Śląska”

CO ZNACZY TRAGEDIA GÓRNOŚLĄSKA

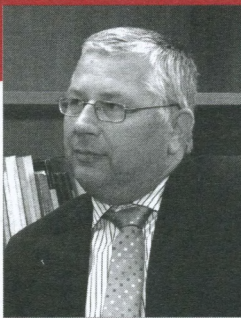
Jakiś czas temu Sejmik Województwa Śląskiego ogłosił rok 2015 Rokiem Pamięci Ofiar Tragedii Górnośląskiej 1945. Także wcześniej radni podejmowali uchwały w tej sprawie, w tym rezolucję o Dniu Pamięci o Tragedii Górnośląskiej w każdą ostatnią niedzielę stycznia (podjętą jeszcze w 2011 roku). W Sejmiku Województwa Opolskiego było więcej problemów, lecz w końcu podobną rezolucję przyjęto (w 2012 roku). Można powiedzieć, że pojęcie „tragedii górnośląskiej” weszło również do oficjalnego obiegu, chociaż nie bez kontrowersji.

Już wcześniej pojęcie to pojawiało się w literaturze historycznej, a znacznie częściej w publicystyce historycznej i potocznie. Jednak zarazem, przy coraz powszechniejszej obecności w dyskursie publicznym, pojęcie „tragedii górnośląskiej” bywa rozmaicie rozumiane. W rezolucji Sejmiku Śląskiego z 2014 roku napisano ogólnie, że chodzi o „pamięć dziesiątków tysięcy Górnoślązaków wywiezionych do niewolniczej pracy w Donbasie i innych rejonach Związku Sowieckiego, pomordowanych, uwięzionych, aresztowanych i internowanych, ofiar gwałtów, grabieży, represji, obozów pracy”.

Nie sposób zatem pominąć, że pojęcie „tragedii górnośląskiej” jest istotnie ogólne i może prowokować spory nie tylko interpretacyjne. Już takie spory prowokowało i prowokuje, co do pewnego stopnia wydaje się oczywiście naturalne. Nieraz wydaje się nie- zbyt precyzyjne nawet tym, którzy potocznie nim się posługują.

Dlatego zwróciliśmy się do kilku historyków dziejów najnowszych Polski i Górnego Śląska z pytaniem, co ono znaczy, z prośbą o dookreślenie pojęcia i refleksję na temat jego sensu znaczeniowego, zadając wszystkim te same pytania:

Co znaczy Tragedia Górnośląska 1945? Jak należy ją rozumieć? Czy wszystko o niej wiemy? Jakie miejsce zajmuje, Pana zdaniem, w naszej historii najnowszej?



Pojęcie „tragedii górnośląskiej” nie jest terminem naukowym. Zrodziło się w dyskusji na temat wydarzeń na Górnym Śląsku w roku 1945, przede wszystkim zasadności używania terminu: wyzwolenie. Jeśli dla przedwojennej polskiej części (czyli województwa śląskiego) można używać takiego określenia, to dla byłej części niemieckiej (czyli rejencji opolskiej) termin jest błędny.

Z czasem pojawiły się pytania, co można do „tragedii górnośląskiej” zaliczyć. Dzisiaj istnieją dwa punkty widzenia. Jedno ujęcie odnoszące się do Armii Czerwonej i NKWD, deportacji, a także innych represji (zbrodni, gwałtów, rabunków, więzień, obozów). I drugie ujęcie, gdy pod tym pojęciem rozumie się także politykę organów komunistycznej władzy polskiej po 1945 roku (więzienia, procesy polityczne, obozy, wysiedlenia). Pytanie o suwerenność władz polskich (często odmawia się nazywania ich polskimi, proponując: komunistyczne) komplikuje odpowiedź na pytanie, na ile ich decyzje traktować jako poczynania legalnego państwa polskiego?

W pierwszym ujęciu dramat ludności cywilnej rozgrywał się w trzech odsłonach. Początkiem było przejście frontu związane z masowymi rabunkami, gwałtami i mordami. Wynikały one zarówno z chęci rewanżu za zbrodnie niemieckie na terenie ZSRR, podsycanego przez propagandę sowiecką, jak i z rozkazów dowództwa sowieckiego na średnim i niskim szczeblu (w odwecie za opór wojsk niemieckich już na Górnym Śląsku).

Drugi etap, od stycznia do sierpnia 1945 roku, to pełniona przez Armię Czerwoną rola armii okupacyjnej. Instrumentami tej nieformalnej okupacji sowieckiej były struktury NKWD, komendantury wojenne, oddziały frontowe i tyłowe Armii Czerwonej. Powinny one kierować się normami konwencji haskiej z 1907 roku, w których przewidywano zapewnienie porządku i funkcjonowania życia społecznego, prawa rodzinne, gwarancję życia jednostek i własności prywatnej, wolność wyznania. Zabroniono rabunku mienia prywatnego. Pobieranie danin nadzwyczajnych (także w naturze) mogło być wprowadzane na potrzeby armii lub administracji okupacyjnej na danym terytorium, bez wywożenia na inne. Zasady konwencji haskiej nie były respektowane przez Armię Czerwoną, co Stalin ogłosił już na początku wojny.

Po konferencji poczdamskiej rozpoczyna się trzeci etap pobytu Armii Czerwonej na Górnym Śląsku. Wtedy występuje ona w roli sojusznika Rzeczypospolitej. Treść porozumień z Rządem Tymczasowym

jest jednak dowodem na nie-suwerenne traktowanie Polski. Rząd polski współpracował z Sowietami w zwalczaniu nie tylko Niemców, ale wszystkich grup definiowanych jako wrogie, w tym żołnierzy polskiej konspiracji niepodległościowej, środowisk uznawanych za nacjonalistyczne (nawet działacze przedwojennego ZPwN), w części tych Ślązaków, których oskarżono o zdradę narodową podczas wojny, oraz Górnoślązaków zobowiązanych do rehabilitacji i weryfikacji.

Problem „tragedii górnośląskiej” bywa także ujmowany inaczej – jako całość polityki władz komunistycznych na Górnym Śląsku. Pojawia się pytanie, czy te władze były suwerenne? Mocarstwa zachodnie poddały się naciskowi ZSRR i cofnęły uznanie rządowi polskiemu w Londynie, oddając Polskę w sferę wpływów sowieckich. Nie tylko dla Górnoślązaków, ale dla większości Polaków rok 1945 miał więc podwójne oblicze. Niekłamaną radość z wyzwolenia i końca terroru nazistowskiego łączyła się z narastającym przekonaniem o utracie suwerenności. Spór o to, czy mamy do czynienia z wyzwoleniem, czy „tragedią górnośląską” w 1945 roku, w tym drugim ujęciu ma charakter nie tylko naukowy, ale również polityczny. Odnosi się do fundamentalnych pytań dla powojennej historii Polski, w tym interpretacji suwerenności Polski Ludowej.

Dla oceny 1945 roku na Górnym Śląsku nie znajdziemy jednoznacznej interpretacji. Dla jednych wejście Armii Czerwonej było fragmentem walki koalicji antyhitlerowskiej z nazizmem. Inni, nie negując zbrodniczości nazizmu, widzą w jej wkroczeniu etap budowy powojennego imperium sowieckiego. W takim ujęciu armia sowiecka, pokonując Niemcy, tworzyła Polskę Ludową jako podległe Moskwie państwo satelickie. Zwolennicy tej tezy „górnośląską tragedię” widzą wówczas nie jako regionalny fenomen, ale fragment procesu historycznego nie tylko nawet dla Polski, ale szerzej, dla całej Europy Środkowo-Wschodniej.

Dyskusji na temat „tragedii górnośląskiej” nie można ograniczać do deportacji sowieckich w pierwszej połowie 1945 roku. Niezależnie, czy traktujemy to wydarzenie jako fenomen górnośląski, czy też uznajemy, że było typowe dla powojennej Rzeczypospolitej, musi być ono rozpatrywane w kompleksie polityki nie tylko sowieckich, ale i komunistycznych władz polskich. ■

Ryszard Kaczmarek – profesor, historyk dziejów najnowszych, dyrektor Instytutu Badań Regionalnych Biblioteki Śląskiej w Katowicach, ostatnio opublikował *Polaków w armii kajzera. Na frontach I wojny światowej*



Zestaw wydarzeń pod tą nazwą, przy swojej nieostrości i kontrowersyjności, zdaje się spełniać warunki do odegrania roli mitu, nawet założycielskiego. Wyszedł poza pamięć jednostkową, przetrwał próbę międzypokoleniową, przede wszystkim dzięki rodzinom ofiar i mniejszym grupom społecznym. Od kilku lat dominuje w regionalnym dyskursie o wojnie i okresie bezpośrednio powojennym. W końcu mit, już z elementami sakralnymi w postaci marszów i obchodów, został zauważony przez politykę i usankcjonowany jako oficjalna pamięć kulturowa dwiema uchwałami sejmików górnośląskich.

Dzisiaj jest trwałym elementem pamięci regionalnej dwóch grup: mniejszości niemieckiej i szerzej Górnoślązaków, bez względu na narodową opcję, choć niewątpliwie to narodowcy górnośląscy wyznaczają punkty debaty. Warto dodać, że w XX wieku to już przynajmniej trzecia Tragedia (Górno) śląska. Po podziale regionu w 1922 roku termin ten oznaczał w narracji niemieckiej dramat podzielonego regionu. Po II wojnie światowej Tragedia Śląska powróciła w nowej odsłonie dzięki ks. Johannesowi Kapsowi, autorowi publikacji pod takim tytułem. Zawierał się w niej los setek tysięcy Ślązaków wypędzonych w 1945 roku. Nowa odsłona nawiązuje, raczej nieświadomie, do zakresu pojęciowego ks. Kapsa, choć z istotnymi zmianami akcentów.

W centrum opowieści stawia zbrodnie sowieckie, rozpoczęte wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej – przede wszystkim gwałty na ludności cywilnej i wywózki do Związku Sowieckiego oraz działania komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, przede wszystkim polskie powojenne obozy pracy. Jest więc to mit różniący się od konserwatywnej pamięci niemieckiej i w niewielkiej mierze nawiązujący do polskiej pamięci roku 1945.

Już widać, jest to mit opatrzonej też wyraźną wartością i znakiem. U genezy jego powstania znajduje się legenda o przemilczanej przez dziesięciolecia krzywdzie zbiorowości górnośląskiej. Na tej kanwie tworzy się czarno-biały scenariusz, w którym powszechnie za zbrodnie powojenne oskarża się Rosjan, a na drugim planie na tej ławie sprawców sadza się powojenne władze polskie.

Przynajmniej dwa aspekty powinny być akcentowane. Po pierwsze, mamy do czynienia ze zbrodniami i tragedią ludności cywilnej: kobiet, dzieci i osób starszych, o której nie tylko przez dekady Polski Ludowej milczano, ale i w niemieckiej pamięci to margines. Zbrodnie nie tylko nie zostały nazwane, ale też nie mieliśmy do czynienia z zadośćuczynie-

niem, nawet w formie elementarnego upamiętnienia.

Po drugie, czego brakuje w tym micie... Tragedia Górnośląska nie rozpoczęła się ze styczniową ofensywą Armii Czerwonej, ale opowieść o niej wypada rozpocząć przynajmniej we wrześniu 1939 roku, gdy Niemcy rozpętały wojnę, która od początku nabrała charakteru totalnego. Wypada się nawet zastanowić nad przesunięciem tej cezury do 1933 roku, kiedy to naród niemiecki oddał władzę Hitlerowi za obietnicę restytucji wielkości.

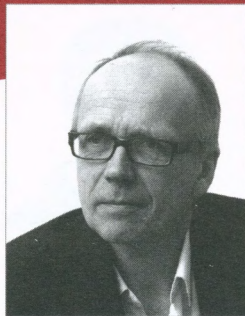
Pojawia się ponadto tendencja, by mianem Tragedii Górnośląskiej określać powojenną politykę narodową w regionie i tym samym rozciągać ją w głąb Polski Ludowej. Poza rozmyciem terminu groźna wydaje się separacja historii regionalnej i skłonność do obsadzania się w roli grupy negatywnie stygmatyzowanej. Przy opisie dyskryminacyjnej polityki w regionie zapomina się, że represje były immamentną cechą komunizmu.

Drugie niebezpieczeństwo wiązałbym ze skłonnością pamięci do licytacji. Przesuwając rozpoczęcie Tragedii Górnośląskiej wstecz, nieuchronnie pojawiają się pytania o udział mieszkańców Górnego Śląska w polityce narodowosocjalistycznej. Od tych pytań łatwo do eskalacji wzajemnych zarzutów. W takiej roli Tragedia Górnośląska nadaje się do wytyczenia granicy międzygrupowej i konstruowania negatywnych stereotypów, ale czy o to chodzi przy jej przypominaniu?

Jak się wydaje, niebezpieczeństwem jest powtarzanie powojennej drogi niemieckiej i koncentracja na 1945 roku, a szczególnie na eksponowaniu losów poszczególnych jednostek i rodzin. Wyrwanie historii ludzkich z szerszego kontekstu prowadzi do pokazania wyjątkowości losów górnośląskich. Jednak ten obraz jest niepełny bez zasygnalizowania podobnych przypadków. Widoczne jest to chociażby na przykładzie wywozek na Wschód, które nie dotyczyły tylko Górnoślązaków, a deportacje nie dotyczyły też tylko Niemców czy za takich uznanych. Dotknęły one wszystkie narody ujarzmione przez Związek Sowiecki, a pierwszą ofiarą systemu komunistycznego byli sami Rosjanie.

Skądinąd nie wydaje się, żeby takie potykanie się historyków z pamięcią było wdzięczną rolą. Historycy rzadko wychodzą z niego zwycięsko. Jednak desakralizacja pamięci jest jednym z wyznaczników historii jako nauki... ■

Bernard Linek – doktor, historyk Instytutu Śląskiego w Opolu, redaktor naczelny półrocznika „Studia Śląskie”; zajmuje się historią Górnego Śląska XIX i XX wieku



W moim przekonaniu istnieje zgodność, co kryje się za pojęciem Tragedia Górnośląska 1945. Można powiedzieć, że II wojna światowa dotarła na Górny Śląsk w styczniu 1945 roku, przynosząc ludności cywilnej śmierć i cierpienie, a regionowi zniszczenie.

Ten okres rozpoczęty został wkroczeniem Armii Czerwonej i deportacjami do pracy przymusowej w Związku Radzieckim. Potem przybrał formę sowiecko-polskiej dwuwładzy, a następnie kształtowania całego Górnego Śląska jako części państwa polskiego, wówczas komunistycznego. Zakończył się w roku 1948. Jego częścią były przymusowe migracje, oznaczające dla wielu utratę małej ojczyzny, oraz brutalne wymazywanie śladów niemieckiej historii, kultury i języka.

Do lat osiemdziesiątych XX wieku nie można było o tych wydarzeniach mówić i pisać otwarcie. Po przełomie 1989 roku wydarzenia te zostały przez historyków wyczerpująco opracowane. Nie w pełni, bo brak wielu dokumentów, długi okres tabuizacji, strach tkwiący w ofiarach i niechęć sprawców do rozliczenia się z przeszłością (choćby w formie relacji) uniemożliwiły pełny opis. Być może zmieniają to dokumenty z archiwów rosyjskich, w tym materiały sowieckich komendantur wojskowych. Musimy pogodzić się, że wielu wydarzeń, w tym dokładnej liczby ofiar poszczególnych obozów, już nie poznamy. Jednakże o historii tej mówimy dzisiaj otwarcie, w poważnych dyskusjach nie jest ona negowana. Kryje się w tym zarówno szansa, jak i niebezpieczeństwo.

Mówiąc o szansie myślę zarówno o Górnym Śląsku jako regionie, jak i o Górnym Śląsku jako części Polski. Burzliwe lata 1945–1948 są ogromnie ważne dla górnośląskiej tożsamości. Jeszcze bardziej zyskały na sile przez ich tabuizację do 1989 roku: gdy wiadano, że nie wolno o nich publicznie mówić, a równocześnie bolały one Górnoślązaków.

W demokratycznej Polsce muszą być częścią pamięci o historii regionu, miasta, wsi, rodziny. Historii, o której otwarcie dyskutujemy, bo wtedy przestaje być ona źródłem uprzedzeń i wrogości, a zaczynamy szukać w niej wspólnych wartości. Oczekuję, że postępować będzie proces takiego kształtowania na Górnym Śląsku regionalnej tożsamości, która będzie potrafiła włączyć różne okresy historii. Która będzie się definiowała nie przez wrogów i zagrożenia, a przez poczucie własnej wartości.

Równie ważne jest, by o górnośląskim doświadczeniu pamiętano w skali ogólnopolskiej, bo

jak wiadomo istnieje w Polsce skłonność, przyznając to jako urodzony warszawiak, do warszawocentrycznego pamiętania o historii. Zapewne nierównowaga po stronie, ale w interesie ułożenia dobrych, wyważonych relacji między różnymi czę-

ściami Polski, w tym między Warszawą a innymi regionami, ważne jest wzajemne otwarcie się na historię, na jej regionalne odmienności. Wydaje się, że proces ten trwa, ale trzeba o niego starannie dbać zarówno w edukacji szkolnej, jak i w mediach.

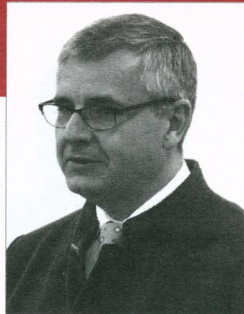
Tyle oczekiwań pozytywnych, ale Tragedia Górnośląska budzi także obawy. Piszę zarówno o historii, jak i o pamięci o niej. Historia jest próbą opisanego i zrozumienia tego, co się wydarzyło. Pamięć jest osadzona w teraźniejszości i bliższa polityki. W ostatnią niedzielę stycznia obchodzony jest Dzień Pamięci o Tragedii Górnośląskiej. Rok 2015 ma być Rokiem Pamięci Ofiar Tragedii Górnośląskiej, taką decyzję podjął Sejmik Województwa Śląskiego. Dyskusja w sejmiku dotyczyła raczej polityki niż historii. Obawiam się ponadto takiej instrumentalizacji historii, w której łatwo będzie oskarżać jedynie żołnierzy sowieckich.

Jedni nie będą chcieli przyznać, że państwo polskie, chociaż komunistyczne, dopuściło się wobec Górnoślązaków działań zbrodniczych. Bo ten opór odczuwalny jest nadal. Drudzy, dostrzegam takie tendencje w Ruchu Autonomii Śląska, traktować będą Tragedię Górnośląską jako narzędzie określania swego miejsca na scenie politycznej. Widoczna jest w dyskusjach taka perspektywa, w której Górny Śląsk był tylko ofiarą, na którą w styczniu 1945 roku spadło niezrozumiałe nieszczęście.

Zapomina się wtedy, że dla innych nieszczęścia zaczęły się znacznie wcześniej niż w styczniu 1945 roku. Zapomina się, że lata przed 1945 rokiem to przymusowy pobór do Wehrmachtu jednych Górnoślązaków, jak i zaangażowanie w narodowy socjalizm drugich.

Dlatego Tragedia Górnośląska nie powinna stać się narzędziem martyrologicznego obrazu Górnego Śląska, skupiania jego mieszkańców wokół hasła „my cierpieliśmy najbardziej”. Nie powinna powtarzać dawnych błędów, gdy skupialiśmy się w Polsce na doznanych krzywdach. Jeżeli uniknie tych niebezpieczeństw, służyć będzie dialogowi, a nie konfrontacji. ■

Piotr Madajczyk – profesor, kierownik Zakładu Studiów nad Niemcami w Instytucie Studiów Politycznych PAN w Warszawie, zajmuje się historią Polski po 1945 roku, w tym migracjami i mniejszościami narodowymi



Nie spotkałem dotąd dwóch osób, które zapytane o Tragedię Górnośląską, definiowałyby ją identycznie. Niejednoznaczność wynika zapewne z faktu, że pojęcie to ukuli raczej publicyści i działacze społeczni, a nie historycy. Dlatego więcej mówi o nich niż o wydarzeniach, których dotyczy. Bardziej informuje o emocjach, jakie budzi (lub ma budzić), niż o faktach. W tej sytuacji pojęcie Tragedii Górnośląskiej ulega powolnej mitologizacji.

Wydaje się, że używający terminu Tragedia Górnośląska na ogół zgadzają się, że chodzi najpierw o zbrodnie żołnierzy Armii Czerwonej wkraczających na Górną Śląsk, po wtóre o wywózki do pracy przymusowej w ZSRR, wreszcie o osadzanie ludności górnośląskiej w obozach.

Jako symboliczne dla pierwszej kategorii przywołuje się najczęściej mordy na ponad 200 mieszkańców Miechowic, popełnione przez sowieckich żołnierzy w styczniu 1945 roku.

Najpełniejszego (choć wcióż niepełnego) opisu doczekały się prowadzone przez władze sowieckie od lutego do kwietnia 1945 roku wywózki mieszkańców Górnego Śląska – najczęściej mężczyzn w wieku od 17 do 50 lat – do Zagłębia Donieckiego i Naddniestrzańskiego, ale także na Białoruś, Syberię do Kazachstanu i w inne miejsca.

Symbolem trzeciego elementu Tragedii Górnośląskiej stał się obóz pracy w Świętochłowicach-Zgodzie. W okresie od lutego do listopada 1945 roku przeszło przez niego ok. 6 tysięcy osób, z czego 1/3 zmarła. Mieli do niego trafiać członkowie organizacji nazistowskich oraz volksdeutsche. W praktyce trafiali w większości Ślązacy, a ponadto obcokrajowcy, a także członkowie Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych.

Jednak wydarzenia, które określamy jako Tragedię Górnośląską, wciąż pozostają słabo opisane. Dyskurs publicystyczny i polityczny wyprzedza badania naukowe, a nierzadko je lekceważy. Zbrodnie popełnione przez żołnierzy sowieckich są opisane przyczynkowo. Skala gwałtów na kobietach i dziewczynach pozostaje niemal zupełnie poza sferą badań historyków. Natomiast rabunki i rozboje zachowały się zaledwie w pamięci świadków, a i to najczęściej jako strywalizowane opowieści o złotych uszkach filizanek.

W przypadku deportacji wciąż nie znamy liczby osób wywiezionych przez władze sowieckie. W literaturze fachowej spotkać można informacje o 20 tysiącach. Powstający w katowickim oddziale IPN spis pozwala już dzisiaj mówić o prawie 30 tysiącach. Natomiast w publicystyce można zaobserwować

efekt śnieżnej kuli: niektórzy „wylicytowali” nawet 150 tysięcy deportowanych.

Najbardziej kłopotliwy wydaje się problem systemu obozów powstałych w 1945 roku na Śląsku oraz w innych regionach Polski. Wspomniane Świętochłowie

wice nie są nawet wierzchołkiem góry lodowej, gdy uświadomimy sobie, że w latach 1945–1956 powstało ponad 200 obozów pracy przymusowej dla ludności uznanej za niemiecką i oczekującej na „rehabilitację”. Należy pamiętać o obozach przejściowych oraz wysiedleńczych dla ludności wysiedlanej do Niemiec. Wreszcie obozy jenieckie, które w istocie były obozami pracy przymusowej. Jeszcze w 1948 roku Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża przedstawił wykaz 183 takich obozów.

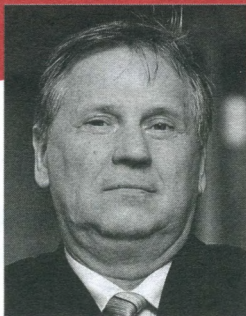
Czy Tragedia Górnośląska obejmuje demontaż i wywóz do Związku Sowieckiego fabryk, maszyn i urządzeń przemysłowych, a nawet surowców? Na liście zrabowanych zakładów znajdują się m.in. elektrownie – w Miechowicach, Zabrze, Zdzeszowicach i Blachowni, wyposażenie hut – „Batory” z Chorzowa, „Zgoda” w Świętochłowicach, „Baildon” z Katowic oraz zakłady benzyny syntetycznej w Zdzeszowicach i Blachowni, tartaki, cukrownie itp.

W narracji o Tragedii Górnośląskiej dostrzec wypada zjawiska deformujące prawdę historyczną. Jedno z nich to czczenie pamięci ofiar, któremu towarzyszy przemilczanie roli sprawców. Nie sposób zrozumieć Tragedii Górnośląskiej, nie pokazując wcześniej, w jakim stopniu wynikała ona z odwetowych działań armii sowieckiej, w jakim była wynikiem polityki władz komunistycznych, a w jakim sąsiedzkimi porachunkami. Mitologizację wspiera także zawężenie pamięci niemal wyłącznie do wschodniej części Górnego Śląska, tak jakby nie dotyczyła ona Śląska Opolskiego.

Jeszcze inne zafałszowanie polega na oderwaniu narracji o 1945 roku od szerszego kontekstu II wojny światowej. I wreszcie, mit Tragedii Górnośląskiej sugeruje jej unikalność na tle reszty Polski. Szanując prawo subiektywnego poczucia krzywdy, trzeba pamiętać chociażby o losach mieszkańców Warmii i Mazur w latach 1945–1950.

Zastrzeżenia nie zmieniają faktu, że prawda o roku 1945 na Górnym Śląsku, dopóki nie zostanie opisana, dopóty będzie jak nieprzepracowana trauma lub nieprzeżyta żałoba: wciąż będzie zarzewiem konfliktu i narzędziem w sporach politycznych. ■

Andrzej Sznajder – historyk, dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach



Tragedia Śląska to represje, które dotknęły mieszkańców Górnego Śląska w pierwszych powojennych latach, wpisujące się w system represji w czasie i po II wojnie światowej w Europie Środkowo-Wschodniej.

Jednak Tragedia Śląska zaczęła się tak naprawdę już w końcu sierpnia 1939 roku, gdy niemieckie oddziały Freikorpusu przekroczyły granicę polsko-niemiecką, dopuszczając się mordów. W ich szeregach było wielu Ślązaków. Ataki tych formacji odpierały oddziały powstańczej samoobrony oraz oddziały Wojska Polskiego. Powstańcy śląscy i harcerze bronili Katowic, ale tłumy mieszkańców witały na rynku wkraczające oddziały Wehrmachtu. Wielu widziało w nich armię wyzwolicielską, która wyzwalała ich spod „polskiej okupacji”. Towarzyszyły temu mordy dokonywane na powstańcach, harcerzach i polskiej inteligencji. Trwały one i później.

Potem Ślązaków zmuszano do przyjmowania niemieckiej listy narodowościowej. Około 300 tysięcy młodych mężczyzn wcielono do Wehrmachtu, wielu było w SS, w tym zdarzali się w załozie Auschwitz. Ślązacy pracowali też w administracji niemieckiej, m.in. w Zagłębiu Dąbrowskim. Ślązacy walczyli również w szeregach WP w kampanii wrześniowej, a potem w PSZ (ok. 40 tys. wcielonych do Wehrmachtu przeszło na stronę aliantów).

To „rozdarcie” między Ślązakami trwało po 1945 roku. Jednych uznanych za „Niemców” zamykano w obozach pracy i zmuszano do wyjazdu do Niemiec. Inni deklarujący „polskość” pozostawali. Po wojnie komuniści nie dostrzegali specyfiki narodowościowej Górnego Śląska. Osoby zaliczone do I i II grupy volkslisty traktowano jako zdrajców. Taki stosunek do tego zagadnienia miała kasta napływowych urzędników oraz funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Posiadacze II grupy volkslisty podlegali rehabilitacji, do tego czasu umieszczano ich w obozach pracy, a majątek konfiskowano. W rzeczywistości „legalizowało” to rabunki i represje.

Wkroczeniu Sowietów na Górną Śląsk w 1945 roku towarzyszyła fala morderstw i rabunków. Należy pamiętać, że Sowietci mordowali także na ziemiach polskich oraz w Prusach Wschodnich czy na Mazurach. Nastąpiły także demontaże przemysłu i deportacje. Te ostatnie trwały od stycznia do kwietnia 1945 roku i objęły wschodnie tereny Rzeszy, w tym Pomorze i Górną Śląsk (ok. 300 tys. „Niemców” wywieziono też z Rumunii, Jugosławii, Bułgarii, Czechosłowacji i Węgier). A ile z Górnego Śląska? Dokładnej liczby nadal nie znamy. Więk-

szość deportowanych z Górnego Śląska pochodziło ze znajdujących się przed wojną w granicach III Rzeszy powiatów: bytomskiego, zabrzańskiego i gliwickiego. Deportowani byli obywatelami Trzeciej Rzeszy.

Represje były podyktowane w dużym stopniu względami ekonomicznymi. Sowietci zajęli pierwszy wielki i niezniszczony obszar przemysłowy w Europie. Przeszkolone grupy dokonywały demontaży i deportacji na niespotykaną skalę. Cenne dla nich było wszystko, począwszy od maszyn, surowców po siłę roboczą. Traktowali to wszystko jako należne im reparacje wojenne. Sowietci ponadto narzucili Rzeczypospolitej tzw. umowy węglowe i żądali coraz więcej węgla. W tej sytuacji władze polskie zmuszone były do wykorzystania niewolniczej siły roboczej. W obozach pracy zamykano tysiące „Niemców” i „wrogów ludu” (najbardziej znane to Jaworzno, Zgoda, Mysłowice). Ponadto Sowietci wypożyczyli nam ok. 40 tysięcy niemieckich jeńców wojennych. Tak więc ekonomia w dużym stopniu wymusiła represje.

To także represje wobec Niemców i Ślązaków ze strony napływowej ludności cywilnej. Ślązacy byli bowiem postrzegani przez duże odłamy polskiego społeczeństwa jako „Niemcy” lub „zdradcy”, bo przyjęli niemiecką listę narodowościową, byli w Wehrmachcie, SS, niemieckiej administracji. Należy też pamiętać o zniszczeniu kraju i zubożeniu społeczeństwa. Dlatego Górny Śląsk postrzegano jako „enklawę bogactwa” w morzu nędzy. Do tego doszły masy przesiedleńców ze Wschodu obrabowanych przez Sowietów ze swoich domów i sprzętów, którym należało znaleźć dach nad głową. Zabierano mieszkania i gospodarstwa Niemcom lub Ślązakom za Niemców uznanym.

Na temat Tragedii Śląskiej napisano wiele, ale nie wszystko. Dobrze byłoby poznać bliżej losy „górników” w sowieckich łagrach, w tym w Donbasie. Najlepiej widać problem poprzez losy poszczególnych ludzi. Historia rodzinna ukazuje jego tragiczną złożoność. Warto byłoby też postrzegać sprawę w szerokim kontekście kulturowym.

Warto na koniec podkreślić, że to nie Polacy rozpoczęli II wojnę światową i to nie Polacy przywieźli na Górny Śląsk armię, która mordowała i wywoziła. Niemniej byli też i Polacy, którzy w tym pomagali. Ten smutny fakt nie może jednak dominować w tym tragicznym obrazie. ■

Zygmunt Woźniczka – profesor, historyk, wykładowca Uniwersytetu Śląskiego, opublikował m.in. *Z Górnego Śląska do sowieckich łagrów*

DARIUSZ WĘGRZYN

NAZWISKO PO NAZWISKU

NAZWISKO PO NAZWISKU

NAZWISKO PO NAZWISKU

NAZWISKO PO NAZWISKU

Na początku 1945 roku zwarte grupy zdrowych mężczyzn, którzy w czasie wojny pracowali w górnośląskich zakładach pracy, wyszły z domów na dwa tygodnie (tak informowały afisze naklejane na domach przez władze sowieckie), by powrócić po latach w katastrofalnym stanie zdrowia.

Ilu ich było, ilu mieszkańców regionu wywieziono na Wschód w 1945 roku? Gdy przeszukamy prace naukowe i publicystyczne, powstałe po upadku komunizmu, to okazuje się, że rozrzut w szacunkach skali deportacji jest ogromny. Można znaleźć informacje, że Sowieci zabrali z Górnego Śląska od 10 do 150 tysięcy osób. Niniejszy artykuł to próba odpowiedzi na to pytanie.

Do tej pory wywózka do sowieckich łagrów funkcjonowała jako proces jednorodny, dotyczący całego regionu. Jednak tak nie było, chociaż niewątpliwie na całym Górnym Śląsku w 1945 roku formacje NKWD realizowały tzw. czyszczenie tyłów Armii Czerwonej.

Zatem aresztowano członków podziemia niepodległościowego, osoby mogące stwarzać „kłopoty” nowej władzy państwa polskiego w pojałtańskich granicach. Do tego dochodziła spora grupa rzeczywistych (lub domniemyanych) osób powiązanych z aparatem władzy nazistowskiej (członkowie NSDAP, SA, urzędnicy i członkowie organizacji III Rzeszy i na terenach anektowanych). Stanowili oni jednak zdecydowaną mniejszość wywiezionych do ZSRR.

Jednak kluczowa była grupa mieszkańców przedwojennej niemieckiej części Górnego Śląska. Jako obywatele III Rzeszy zostali oni potraktowani jako „żywe reparacje” i zabrani do łagrów, by odpracować straty poniesione przez Związek Sowiecki w wyniku wojny. Rozpoczęta po 12 lutego 1945 roku operacja sowiecka miała akceptację Koalicji Antyfaszystowskiej, wyrażoną na konferencji w Jaltie. Dlatego deportacje w zdecydowanej większości zostały przeprowadzone na tych obszarach Górnego Śląska, które dopiero potem decyzją Stalina przypadły stronie polskiej. Polskiej administracji w tej części Górnego Śląska jeszcze wtedy nie było, a gdy polscy urzędnicy przybyli, to napotkali kobiety i dzieci, które opowiadały o tajemniczym „interningu”.

I Dlaczego liczenie tak trudne?!

Zachowane źródła polskie zostały więc wytworzone *post factum*. To głównie spisy sporządzone podczas starań o powrót deportowanych ze Wschodu. Były trzy takie akcje. Pierwsze zestawienia tworzone przez starostów w 1945 roku obejmowały deportowanych tzw. opcji polskiej. W 1946 roku w Centralnym Zarządzie Przemysłu Węglowego sporządzono spis deportowanych górników, których polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych nazywało w notach kierowanych do Moskwy „ewakuowanymi przez Armię Czerwoną”. Na koniec Polski Związek Zachodni w 1946 i 1947 roku tworzył własne spisy.

Wydawałoby się, że nic prostszego jak połączyć spisy, zweryfikować i praca skończona. Nic z tego. Bowiem listy powojenne mają liczne braki i wady wynikające ze sposobu ich sporządzania.

Najpierw powiedzmy, że wspomniane instytucje musiały zwrócić się do społeczeństwa o podanie nazwisk deportowanych. W efekcie mamy tysiące nazwisk, w tym setki powtarzających się lub różniących się nieznacznie pisownią. Do tego różne daty urodzenia, rozmaite miejsca skąd zabierano deportowane osoby. Kolejny istotny czynnik to fakt, że spisywano osoby „opcji polskiej”. Trudno określić, w jaki sposób dokonano „weryfikacji narodowościowej”. A co z tymi, których rodziny musiały opuścić Górny Śląsk i wyjechać do Niemiec? Spora grupa tych ludzi znika ze statystyki.

Przyjmuje się, że lista sporządzona przez Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego zawiera blisko 10 000 nazwisk, uznanych za sprawdzone i zweryfikowane. Nie wiadomo, dlaczego lista jest nazywana listą Jerzego Ziętka, bo jeżeli już nazywać ją czymś imieniem, to raczej Fryderyka Topolskiego, który kierował Centralnym Zarządem Przemysłu Węglowego (komunisty, ale takiego, który poznał smak chleba na Wschodzie).

Gdy dotychczasowe dane osobowe wprowadzono do bazy danych i dokonano ich filtracji, to okazało się, że blisko 10 procent nazwisk powtarza się. Dlatego, opierając się tylko na zachowanych materiałach proveniencji polskiej, trudno określić liczbę deportowanych z Górnego Śląska i proste zsumowanie zachowanych spisów przyniosłoby zafałszowany obraz sytuacji.

Mankamenty źródeł polskich uwidoczniły się w dotychczasowych szacunkach liczby deportowanych do ZSRR w 1945 roku. Powtarzana często teza o deportowaniu 90 tysięcy mężczyzn ma dosyć stare korzenie. Pochodzi z pracy Henryka Stańczyka *Od Sandomierza do Opola i Raciborza*, wydanej jeszcze w 1998 roku, w której aktor przeanalizował kilka dokumentów proveniencji sowieckiej. Od tego czasu powtarzano te dane, bez próby krytycznego odniesienia się do podanej liczby.

Jeszcze inny świat to publicystyka, która często pozostawia badania naukowe daleko w tyle. Przykładem wzmianka z „Gościa Niedzielnego” z marca 2012 roku pod frapującym tytułem *Goń z pomnika bolszewika*. Odnosi się do kwestii usunięcia pomnika Armii Czerwonej w Katowicach, a przy okazji wspomina aż 150 tysięcy wywiezionych do łagrów „śląskich górników”.

Skoro źródła polskie są ułomne, to może szukać rozwiązania w aktach posowieckich? Zachowały się bowiem dokumenty Głównego Zarządu ds. Jeńców Wojennych i Internowanych NKWD/MW ZSRR, przechowywane dziś w Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojskowym w Moskwie. I tu znowu historyk wejdzie na manowce. Przecież dla władz sowieckich deportowani z Górnego Śląska z racji obywatelstwa byli Niemcami. Nie wchodziło w subtelności narodowościowe. Dla Sowietów liczyło się, gdzie kto mieszkał i co miał wpisane do dowodu tożsamości. A to pociągnęło za sobą podstawową konsekwencję: deportowani z Górnego Śląska nie byli wyodrębniani jako osobna grupa i stanowili integralną część liczącej ok. 350 tysięcy osób grupy cywilów, którzy trafili do sowieckich batalionów pracy z Europy Środkowo-Wschodniej jako darmowa siła robocza.

Jeśli zawodzi kierunek wschodni, to może szukać ratunku na Zachodzie? Teoretycznie ma to sens, gdyż wywiezieni z Górnego Śląska często powraca-

li przez sowiecki obóz w Gronenfelde koło Frankfurtu nad Odrą. Z perspektywy sowieckiej było to logiczne, skoro Sowietci traktowali powracających jako Niemców i odsyłali do swojej strefy okupacyjnej. Ale i ten kierunek okazuje się zawodny.

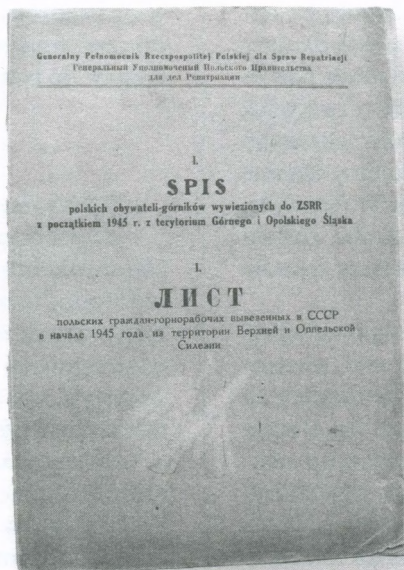
Bowiem kwerenda, przeprowadzona w źródłach niemieckich, daje informację tylko o tych, którzy przeżyli i powracali przez obozy w sowieckiej strefie okupacyjnej Niemiec. Tymczasem spora grupa zwalnianych z obozów była uznawana przez władze obozowe, znowu nie wiadomo na podstawie jakich kryteriów, za Polaków i wracała do kraju wprost ze Wschodu, głównie przez Brześć nad Bugiem. A co z tymi, co nie przeżyli deportacji, a takich – ostrożnie rzecz ujmując – było co najmniej 30 procent? Jak widać, żaden z kierunków poszukiwań nie daje łatwej i prostej metody ustalenia wiarygodnej liczby deportowanych.

Zatem zrezygnować i nadal posługiwać się szacunkami w przedziale 10–150 tysięcy osób? Jedyłą metodą, może i karkołomną, jest spisanie wszystkich deportowanych nazwisko po nazwisku. Jest to naszą powinnością. Dlatego Instytut Pamięci Narodowej w Katowicach realizuje taki projekt, a zajmuje się nim (od dwóch lat) niżej podpisany.

I Jak powstaje baza I

Nasza baza rodzi się w nocy, potrzebuje spokoju i ciszy, wymaga systematyczności. Każde odłożenie poszczególnych, częściowych wykazów na później szybko skutkuje problemami z ustaleniem, o jakie dane chodzi. Czy aby nie są już wprowadzone do komputera? Baza jest na tyle zachłanna, że autor realizuje ją sam. Pomysł skorzystania np. z pomocy stażystów zakończył się szybką i spektakularną kląpą.

Założenia projektu są proste. Trzeba spisywać nazwiska deportowanych z Górnego Śląska do ZSRR w 1945 roku, korzystając ze wszelkich dostępnych źródeł (polskich, niemieckich, rosyjskich, zgłoszeń rodzin). Nie ma znaczenia, jakiej kto był narodowości i za kogo się uważał. Baza zawiera ustalone informacje na temat konkretnej osoby: imię, nazwisko, imię ojca, datę i miejsce urodzenia, zawód, nazwę miejscowości zamieszkania w 1945 roku, datę zatrzymania, miejsce deportacji, informacje



Strona tytułowa „Spisu polskich obywateli-górników wywiezionych do ZSRR z początkiem 1945 r. z terytorium Górnego i Opolskiego Śląska”

o ewentualnym zgonie. W innym miejscu pozostałe dane: miejsce pracy przed wywózką, informacje o osobach, które były z deportowanym w obozie, ustalenia o drodze powrotnej do kraju.

Praca jest potwornie żmudna. Polega przecież na wprowadzaniu do komputera nazwisko po nazwisku kolejnych osób i związanych z nimi danych. Nie jest to jednak takie proste. Zanim nowe nazwisko pojawi się w bazie, trzeba sprawdzić, czy aby już w niej nie figuruje. To z kolei wywołuje sekwencje sprawdzeń. W sytuacji, gdy dysponujemy listami, na których są zapisane w różny sposób nazwiska, daty urodzenia oraz miejsce, skąd osoba została w 1945 roku zabrana, przeszukiwanie bazy zajmuje sporo czasu.

Poważne perturbacje pojawiają się przy weryfikowaniu danych pochodzących z akt postsowietycznych, gdzie nazwiska zapisane w cyrylicy są w znacznym stopniu zniekształcone. W efekcie sprawdzenie cząstkowej listy zawierającej np. około 40 nazwisk zajmuje kilka godzin. Najczęściej z każdego kolejnego zestawienia w bazie pojawia się najwyżej 5 nowych nazwisk, a reszta to zapisy uzupełniające na temat deportowanych już w niej zapisanych.

Dzisiaj liczba ustalonych nazwisk zbliża się do 30 tysięcy. Można powiedzieć, że co najmniej tyłu mieszkańców Górnego Śląska wywieziono na Wschód. Już wiemy, że baza uwzględnia większość osób zatrzymanych przez NKWD z rejonu Bytomia, Gliwic i Zabrza, skąd zabrano największą grupę mieszkańców regionu.

Stopień zaawansowania prac pozwala na dokonanie pewnych wstępnych ustaleń co do liczby maksymalnej. Dzisiaj można powiedzieć, że najczęściej podawana liczba 90 tysięcy wywiezionych jest zawyżona. Raczej liczba ta będzie oscylować w granicach 45 tysięcy. Można też powiedzieć, że zastawienie ogarnia już trzy czwarte deportowanych.

Zaletą bazy jest konfrontowanie zawartych w niej danych w różnych źródłach. Za 30 tysiącami nazwisk stoi grubo ponad 100 000 rozmaitych informacji źródłowych. Niemal każde nazwisko jest potwierdzone w co najmniej dwóch źródłach. Przy tej pracy ujawniają się mankamenty źródeł. Zdarza się, że ta sama osoba zapisana jest w kilku odmianach nazwiska, np. Gałeczka, Galeczka, Galetzka, Gateczko. Niby cztery osoby, a chodzi o jednego deportowanego. Badania pokazują, że wiele twierdzeń o „interningu” nie obroni się.

Jak mantra powtarza się, że nie możemy skorzystać z dokumentów sowieckich. Tymczasem w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie leżą od lat kserokopie dokumentów sowiec-

kiego systemu obozowego dla Europy Środkowo-Wschodniej. Wykonano je w okresie „odwilży gorbaczowskiej”. Nie są to tylko suche sprawozdania. Znajdują się tam setki stron z wykazami np. zmarłych w poszczególnych batalionach pracy czy spisy osadzonych w łagrach. Mnie udało się do nich dotrzeć, trwa proces wpisywania tych bezcennych danych do bazy.

! Za późno? !

Z pewnością tworzenie bazy deportowanych rozpoczęło się za późno. Dziś żyje zaledwie kilka osób, które zostały wywiezione jako 16–17-letni chłopcy (przynajmniej do nich udało się mi dotrzeć i nagrać relacje). Jednak dzisiaj okazuje się, że upamiętnienie deportowanych, ale nie na poziomie statystyki, lecz konkretnych osób z nazwiskami, jest niezwykle ważne dla ich dzieci.

Niewątpliwie praca przy sporządzaniu bazy jest mozolna i męcząca, ale przynosi historykowi nadzwyczaj cenną żywą reakcję ludzi. Tylko w 2014 roku otrzymałem dziesiątki listów, emaili, telefonów od rodzin z zapytaniem, czy ich bliski jest umieszczony w bazie. Sygnały te przychodzą nie tylko z Polski, ale też z Niemiec i innych krajów. Nie jestem tylko odbiorcą informacji, ale niekiedy mogę przekazać informacje, które udało się zgromadzić. A czasem są to informacje kluczowe, czyli data i miejsce zgonu deportowanego. Niekiedy rodziny miały tylko ogólne informacje przekazane przez tych, którzy przeżyli.

Istotne jest także to, że udało się przekonać bliskich do udostępnienia nielicznych pamiątek po wywiezionych, co pozwoliło na stworzenie przez IPN nowej ekspozycji w Centrum Dokumentacji Deportacji Górnos Ślązaków do ZSRR w Radzionkowie. Dotychczasowa wystawa IPN została stworzona na nowo i to nie tylko na poziomie teksów, ale też ikonografii. Bez tworzonego zestawienia deportowanych i jego medialnych reperkusji wielu zdjęć i dokumentów nigdy nie udało by się nam pozyskać. Pierwsza część bazy, zawierająca zweryfikowane dane, będzie udostępniona w Centrum w Radzionkowie.

Docelowo baza deportowanych będzie dostępna powszechnie w Internecie. Jednak do tego potrzeba jeszcze trochę dni, a raczej nocy. ■

Dariusz Węgrzyn – doktor, historyk Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, współredaktor tomu *Wywózka. Deportacje mieszkańców Górnego Śląska do obozów pracy przymusowej w Związku Sowieckim w 1945 roku. Faktografia – konteksty – pamięć* wydane-go w 2013 roku

PIEKŁO KOBIEC

Przez lata nosiły w sobie bolesną, wstydlivą tajemnicę. Milczały przed najbliższymi, mężem, dziećmi, może przed spowiednikiem. Nie miały siły, by zmierzyć się z bezmiarem okrucieństwa i hańby zadanej przez śmierzdvących potem i wódką żołnierzy z pepeszami. Trudno znaleźć słowa, by opisać, co przeżyły i widziały w 1945 roku.

Nawet gdyby zdecydowały się mówić, zamknęto by im usta. To Armii Czerwonej należała się wieczna sława, wieńce u stóp pomników, wiersze na szkolnych akademiach. W świecie komunistycznej propagandy czerwonoarmiści byli rycerzami bez skazy. Dbano nawet o to, by na zdjęciach w prasie, książkach i podręcznikach wyglądali należycie i godnie – w czystych mundurach, uśmiechnięci.

Na wiecu w berlińskim Pałacu Sportu 18 lutego 1943 roku, po klęsce Wehrmachtu pod Stalingradem, minister propagandy Trzeciej Rzeszy Joseph Goebbels wezwał Niemcy do wojny totalnej. Eks-terminacja cywilów stała się taktyką walki. Z kolei Stalin i jego marszałkowie dobrze wiedzieli, że na terenach Trzeciej Rzeszy niemieckie oddziały będą stawiać silny opór. „Im bliżej jesteśmy zwycięstwa, tym bardziej powinniśmy być brutalni” – powiedział Stalin do swoich generałów. Parafrazując powiedzenie Lorda Actona, można rzec, że każda wojna deprawuje, wojna totalna deprawuje totalnie.

I Granica piekła I

Dowództwo Armii Czerwonej starało się zachować karność i dyscyplinę na terenach, które przed 1 września 1939 roku wchodziły w skład Drugiej Rzeczypospolitej. Nie znaczy to, że zabójstwa cywilów i gwałty kobiet nie miały miejsca na obszarze województwa śląskiego. Również i z tego terenu dysponujemy licznymi relacjami o bestialstwie zwycięzców. Jednak skala zbrodni była znacznie mniejsza. Dawna granica polsko-niemiecka była tą linią, za którą rozpętało się piekło.

Zdarzały się w tej materii tragiczne w skutkach pomyłki. Gdy czerwonoarmiści wkroczyli od strony Gliwic do Przyszowic – niewielkiej wsi w gminie Gierałtowie – byli przekonani, że są na terytorium należącym przed wojną do Niemiec. Kosztowało to życie 58 osób. Większość kobiet zgwałcono, a wieś stanęła w płomieniach.

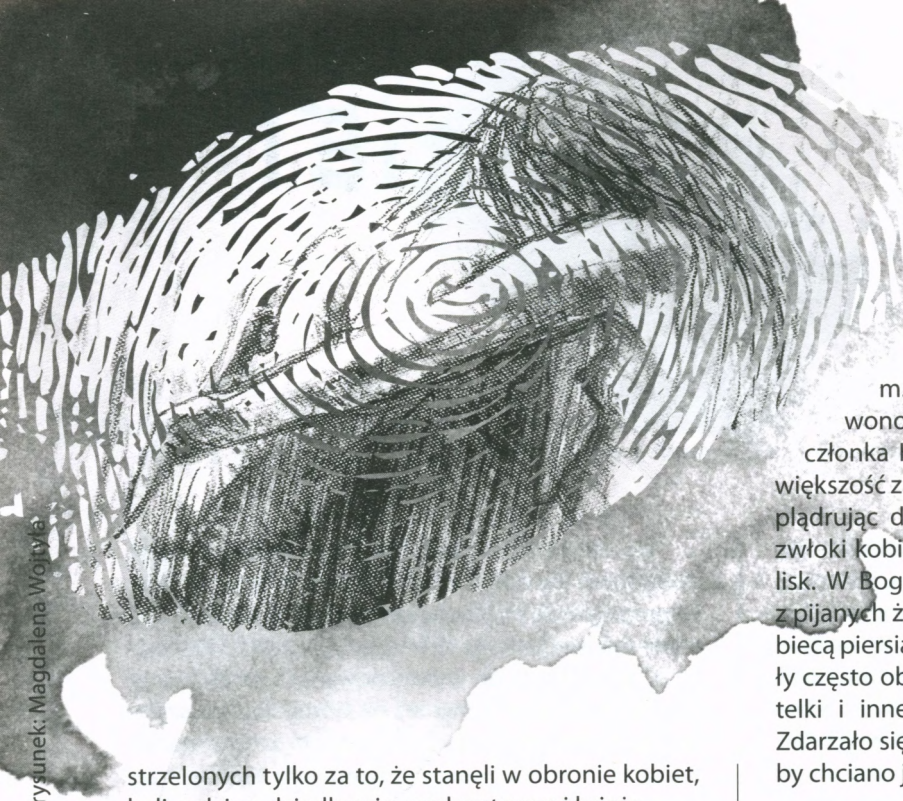
Do czego zdolni byli Sowietci, wiedzano bądź domyślano się dzięki nagłaśnianym przez niemiecką propagandę informacjom o wydarzeniach, które miały miejsce jesienią 1944 roku w Prusach Wschodnich, a zwłaszcza po wymordowaniu mieszkańców wsi Nemmersdorf. Również na Górny Śląsk, z szybkością błyskawicy, dotarła informacja, że czerwonoarmiści okrutnie zgwałcili, torturowali i zabili ponad 70 kobiet i dziewczynek, z czego najmłodsza z ofiar miała 8 lat, a najstarsza 84. Po cichu, najczęściej tak, by nie usłyszały dzieci, z trwogą powtarzano sobie informacje o kolejnych wsiach i miasteczkach, gdzie mordowano mężczyzn i gwałcono kobiety.

Panika udzielała się wszystkim. Kiedy słyhać było strzały frontu, wiele kobiet zdecydowało się odebrać sobie życie. Zdarzały się samobójstwa. Zdesperowani rodzice zabijali dzieci w nadziei, że taka śmierć oszczędzi im cierpień, a potem sami odbierali sobie życie. Inni z trwogą czekali na rozwój wydarzeń wojennych.

I Najgorsze pierwsze dni I

Większość relacji potwierdza, że pierwsze spotkanie z czerwonoarmistami często nie zapowiadało tragedii. Pierwszy rzut żołnierzy zajęty był walką i unieszkodliwieniem punktów oporu. Dopiero za nimi podążały tzw. oddziały czyszczące, do których szybko dołączali ci, którzy wcześniej brali udział w szturmie. Szukano wroga, lecz przede wszystkim kobiety.

W oczach sowieckich żołnierzy mieszkanki Górnego Śląska były Niemkami, bez względu na faktyczną narodowość, język ojczysty czy wyznanie. Działano w pośpiechu, często pod wpływem alkoholu, który potęgował agresję. Gwałcono, nie patrząc na wiek, urodę, stan cywilny. Sprzeciw wzmagał brutalne zachowanie sprawców, a kobiety próbujące stawiać opór gwałcono z jeszcze większą brutalnością, często zbiorowo. Tych, którzy chcieli zapobiec gwałtom, zabijano. Wśród ofiar za-



strzelonych tylko za to, że stanęli w obronie kobiet, byli rodzice, dziadkowie, osoby starsze i księża.

W Gliwicach, Zabrze i Bytomiu największe nasilenie gwałtów nastąpiło w pierwszych kilku dniach po ich zajęciu. Symbolem gehenny jest masakra w Miechowicach, gdzie wymordowano prawie 400 osób, a kobiety i dziewczęta przedtem zgwałcono. Lekarka gliwickiego szpitala zapamiętała, że po zajęciu miasta „nastąpiły gwałty, gwałty, których skali i sadyzmu nie można sobie wyobrazić, jeśli samemu nie widziało się nie tylko zgwałcone, zarażone chorobami wenerycznymi, ale często pobite i pokasane kobiety w każdym wieku. Ja sama widziałam nawet dzieci w wieku siedmiu, ośmiu i jedenastu lat. Równie częste były wypadki, gdy kobiety liczyły dalece powyżej pięćdziesięciu lat. Nierzadko zdarzały się nawet kobiety około osiemdziesiątego roku życia”.

Im dalej na zachód, tym było gorzej. Do symbolu sowieckiego terroru urosła apokalipsa, którą czerwonoarmiści zgotowali mieszkańcom Boguszc i sąsiedniej Żlinicy, gdzie przez trzy dni i trzy noce dokonali eksterminacji ludności cywilnej, mordując ponad 280 osób, z czego znaczną część stanowiły kobiety, dziewczęta i dzieci. Prawie wszystkie kobiety wcześniej zgwałcono, często zbiorowo. Podobnie działo się wszędzie, gdzie wkraczali sowieccy żołnierze. Nie było miasta, miasteczka czy wsi, gdzie nie zgwałcono kobiet.

Tragiczny los spotkał pensjonariuszki domów opieki, zakładów zdrowia czy sieroty z licznych na Górnym Śląsku domów dziecka i przykościelnych ochronek. Pastwiono się nad ciężarnymi. Wiele relacji mówi o zakłuwaniu kobiet w ciążę bagnietami.

W przywołanych już Boguszycach oprawcy zastrzelili kobietę leżącą w połogu, a noworodka przepołowili bagnietem.

Relacje świadków mówią o wyjątkowym okrucieństwie sprawców. Ofiary gwałtów były okaleczane, a ich zbezczeszczone zwłoki pozostawiano na ulicach, jak to miało miejsce m.in. w Strzelcach Opolskich, gdzie czerwonoarmiści w odwecie za zastrzelenie przez członka Hitlerjugend sowieckiego oficera spalili większość zabudowań w centrum miasta, uprzednio plądrując domy, zabijając i gwałcąc. Pokaleczone zwłoki kobiet leżały jeszcze długo wśród pogorzeli. W Boguszycach (w powiecie opolskim) jeden z pijanych żołnierzy paradował po wsi z obciętą kobięcą piersią nabitą na bagnet karabinu. Zwłoki miały często obcięte członki, rozprute podbrzusza, butelki i inne przedmioty umieszczone w kroczu. Zdarzało się, że oddawano na nie ekskrementy, jakby chciano jeszcze bardziej upokorzyć ofiary.

! Masowe gwałty !

Nie oszczędzono również siostr zakonnych. W Głubczycach kobiety, dzieci i starcy szukali schronienia w domu zakonnym księży werbistów i w klasztorze franciszkanów. Po zajęciu miasta odnaleziono ukrywających się i większość kobiet zgwałcono, a wśród nich także siostry zakonne. Habit nie był ochroną, a możliwe, że skłaniał do większego okrucieństwa. Siostry, które wzbraniały się, były rozstrzeliwane. Były rzucane na podłogę, kopane, bite bronią po głowie. Zmaltretowane, często krwawiące, brutalnie gwałcono.

Symbolem tragedii górnośląskich zakonnic jest los nyskich elżbietanek. Od połowy marca do początków kwietnia 1945 roku zamordowano w Nysie 22 zakonnice ze zgromadzenia Szarych Sióstr św. Elżbiety. Większość z nich przedtem zgwałcono. Kolejnych siedem zmarło z wycieńczenia po przetransportowaniu do szpitala. Męczeńską śmierć poniosło wtedy 48 sióstr. Była wśród nich niewidoma i głuchoniema staruszka, 84-letnia siostra Kostka Pelagia Koszutska, nad którą czerwonoarmiści znęcali się tak długo, aż przestała dawać oznaki życia.

Po przejściu frontu gwałty bynajmniej nie ustały, tym bardziej że na Górnym Śląsku stacjonowały liczne jednostki sowieckie. Do gwałtów i napaści na kobiety dochodziło po obu stronach dawnej granicy polsko-niemieckiej. Sprawcami byli żołnierze jednostek tyłowych, formacji NKWD, maruderzy i dezerterzy, a w drugiej połowie 1945 roku czerwono-

noarmiści powracający z Niemiec do Związku Sowieckiego, gdy eszelony zatrzymywały się na postoje.

W połowie lutego 1945 roku pełnomocnik rządu na powiat rybnicki informował w sprawozdaniu, że miały miejsce przypadki „masowego gwałcenia nieletnich i starszych” przez „pijanych żołnierzy Armii Czerwonej”. Tydzień później pisał do przełożonych, że „jaskrawym aktem zwyrodnienia jest zgwałcenie przez kilku żołnierzy po kolei 14-letniej w Wilczej. Stan tej dziewczynki, która leży w szpitalu, jest ciężki”. W sprawozdaniach władz terenowych co jakiś czas pojawiały się informacje o gwałtach na dzieciach. Jednak pracownicy polskiej administracji i milicji nie byli sobie w stanie poradzić z czerwonoarmistami.

W drugiej połowie 1945 roku, wraz z wycofywaniem Armii Czerwonej z głębi Niemiec, pojawiły się na Górnym Śląsku bandy sowieckich maruderów, którzy szukali przede wszystkim kobiet i alkoholu. Dobierali sobie ofiary spośród młodszych i ładniejszych. Nie miało znaczenia, czy gwałcona była Niemką, Polką, czy pochodziła stąd, czy przyjechała z Bugu. Teraz jednak częściej interweniowały komendantury wojenne. Jeśli w pierwszym okresie po zajęciu Górnego Śląska dowódcy przymykali oko na brak dyscypliny, a tym samym przyzwalałi na rabunek i gwałty, o tyle w drugiej połowie roku coraz częściej karano niesubordynację. I choć gwałty dalej miały miejsce, to w sprawozdaniach z ostatniego kwartału czytamy, że ich liczba zmalała.

I Związek z okolicznościami wojennymi I

Spadkiem po gwałtach były choroby weneryczne, których skala w 1945 roku na Górnym Śląsku była zatrważająca. Dominowała rzeżączka (tryper) i kiła (syfilis). Problemem w leczeniu był nie tylko brak leków i niedostatek personelu medycznego, ale przede wszystkim intymny charakter tych chorób. „Wiele zarażonych kobiet nie zgłasza się w ogóle do lekarza i przez nieświadomość lub wrodzony fałszywie wstyd” – pisał we wrześniu 1945 roku sprawozdawca Powiatowego Oddziału Urzędu Informacji i Propagandy w Bytomiu. Walka z chorobami, jakie pozostawili po sobie czerwonoarmiści, zajęła miesiące i była dla kobiet źródłem dodatkowych upokorzeń. Wiele z nich zmarło na skutek powikłań.

Zdarzało się, że owocem gwałtów były niechciane ciążę. Kobiety stawały w obliczu dylematu: donosić lub usunąć poczęte dziecko. Decyzje były różne, jedne urodziły, inne dokonały aborcji. Dokumenty wskazują, że na wiosnę 1945 roku w szpitalach i przychodniach zdrowia masowo dokony-

wano aborcji. Na zabiegi te było powszechne przyzwolenie, a nawet ułatwiano je.

W drugiej połowie 1945 roku przy Polskim Czerwonym Krzyżu w Katowicach działała Komisja Opieki nad Ofiarami Gwałtu. Podobne instytucje powstały w innych miastach, np. Komitet Niesienia Pomocy Ofiarom Gwałtu w Cieszynie. Prowadziły one rejestrację zgwałconych kobiet i umożliwiały im skorzystanie z fachowej pomocy medycznej, w tym także z zabiegu usunięcia ciąży. Podobne skierowania wydawały sądy okręgowe, a nawet władze administracyjne. W dokumentach najczęściej stwierdzano eufemistycznie, że „gwałt miał związek z okolicznościami wojennymi”. Nie wiadomo, ile kobiet dokonało aborcji potajemnie, bez rejestracji i zgłoszenia się do lekarza.

I Niezagojona rana I

Nigdy nie dowiemy się, ile dzieci poczęto się z gwałtów. Niektóre były zaskakująco podobne do biologicznych ojców: miały skośne oczy, lekko wystające kości policzkowe albo typowo słowiański typ urody. Szczęście, jeśli dzieci zostały zaakceptowane przez społeczność, a zwłaszcza przez męża matki. Wiele z nich było wychowywanych przez samotne kobiety, o których losie najczęściej milczano. Czasami o takim dziecku mówiono nieco pogardliwie, że jest „porusem”, najczęściej jednak milczano. Zwłaszcza w zamkniętych, wiejskich środowiskach był to temat tabu i starano się nawet we wspomnieniach nie powracać do niego.

Nawet księża nie wnikali zbyt, kto jest ojcem, często pozostawiając w księgach chrztów puste miejsce. Dzieci dojrzewały, często nawet nie wiedząc, kim był ich biologiczny ojciec. Tylko data urodzenia mogła sugerować, że poczęcie nastąpiło wtedy, gdy Armia Czerwona kierowała się na Odrę.

Kobiety, które przeżyły wkroczenie Armii Czerwonej na Górny Śląsk, borykały się do końca życia z psychicznymi i społecznymi skutkami gwałtów. Niektóre z nich odczuwalne były (i są) w kolejnych generacjach, choć wielu potomków i członków rodzin zapewne nie zdaje sobie sprawy z prąródła problemów. Dziś większość kobiet, które przeżyły gehennę, już nie żyje. Te, które były wówczas kilkunastoletnimi dziewczynkami, przekroczyły już osiemdziesiątkę. Powinniśmy uszanować, że mimo upływu lat wciąż nie chcą mówić o tym, co je niegdyś spotkało. ■

Bogusław Tracz – doktor, historyk Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, specjalizuje się w historii Polski Ludowej, ostatnio opublikował *Hippiesi, kudłaczę, chwasty. Hipisi w Polsce w latach 1967–1975*

GRAŻYNA KUŹNIK

KONTYNGENT DLA ZWYCIĘZCÓW

W Radzionkowie powstało multimedialne Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku. Jedyne muzeum tej tragedii. Nie bez powodu tutaj. Przed laty miasto przeżyło wszystko, co Ślązakom niesła zima 1945 roku.



Gdy na ulicach Radzionkowa pojawiły się czerwone plakaty, że górnicy mają rejestrować się u Sowietów w budynku obok kopalni w Bytomiu, Gabriel Tomczyk wcale tam się nie pchał. Za dużo w życiu widział. Ale jak przyszli po niego, poszedł. Mijają dni, ani w wojskowym sztabie, ani w kopalni nikt nie chce teraz z Marią gadać. Słyszeli od ludzi: nie pytaj, nie wchodzić w oczy władzy, przeczekać; stara śląska śpiewka. 30-letni Tomczyk, jak wielu mężczyzn z Radzionkowa, przepada bez śladu.

Maria Tomczykowa z Radzionkowa, żona górnika z kopalni „Centrum” w sąsiednim Bytomiu, w lutym 1945 roku czeka na męża. Nie ma o nim żadnej wieści, odkąd kilka dni temu sowieccy żołnierze zabrali go z domu. Nie zdjęli karabinów, jeden żołdat tęsknie zajrzał do garnka z zupą. Uspokajali, że mąż zaraz wróci, idzie tylko do kopania rowów, ledwo mu sznitki wepchnęła do kieszeni.

Jest już ciemno, gdy do drzwi Tomczykowej puka obca kobieta. Wciska jej w rękę świstek owinięty wokół klucza i znika. To pismo Gabriela, ledwo widoczne: „Kochana Mario jak i Familio. Kreślę parę słów w drodze do Rosji. W nadziei, że się zobaczymy, nie zapominajcie o nas w modlitwie. Pozdrowienia dla chorej mej Matki. Gabriel.”

Nie wiadomo, kto karteczkę przyniósł na podany adres. Tym nikt się nie chwali.

– *Pisałem ten list, jak nas załadowali do wagonu* – powie później Gabriel Tomczyk. – *Przyczepiłem go do klucza z warsztatu dołowego, który miałem jeszcze w kieszeni i wyrzuciłem z jadącego pociągu. I tak żona poznała mój los.*

W Radzionkowie pierwsze afisze o przymusowej rejestracji ludności pojawiają się w lutym 1945 roku. Pisane są naprędce: „Ogłoszynie. Wszyscy

obywatele, którzy dostali wezwanie do pracy i są zarejestrowani na listach, mają się zgłosić. Zabrać należy ze sobą mały złogówek, łyżka, miska, deka, jedna zmiana bielizny, ręcznik i rzeczy do mecia. Odpowiednie wyżywienie jest na miejscu zapewnione przez władze Armii Czerwonej. Mają się stawić wszyscy bezrobotni w wieku: mężczyźni od 14 do 60 roku, kobiety i dziewczyny od 15 do 52 roku. Wszyscy ci, którzy się nie stawiają, zostaną wysłani na Sybir, taksamo ich rodziny, a mieszkanie ich zostanie skonfiskowane. Nie wolno się nikomu uchylić od pracy, która jest konieczna celem szybkiego zakończenia wojny. Każdy obywatel powinien pomóc pracą swoją Armii Czerwonej.”

I Krowiarkami na wschód I

Kto się nie zgłosił, tego znaleźli. Czekiści zdobywają listy górników do wywózki z bytomskich kopalń. W plebiscycie w 1921 roku w Radzionkowie za Polską głosuje 4778 osób, za Niemcami 862. Ale w polskim Radzionkowie nie ma pracy, ludzie jeżdżą do niemieckiego Bytomia. Nowa władza nie pyta, co kto myślał o Hitlerze, gdzie należał, czyj ten Radzionków był; biorą każdego jak leci. Kiedy jeden z zatrzymanych rzuca się, że był szukanowany za Niemca, pomagał jeńcom rosyjskim, oficer sowiecki usadza go, że na Śląsku i tak wszyscy bez wyjątku chcą Rosjan „ubić”. Złudzeń nie ma.

W transporcie do łagrów pojadą przedwojenni komuniści, polscy i niemieccy. Ślązacy, Polacy, Niemcy, uchowani hitlerowcy i powstańcy śląscy, także kobiety. Fachowcy górniczy i ci, co nigdy w kopalni nie byli. Kontyngent dla zwycięzców.



Ala ścisłych danych nie ma, bo wywiezionych, zmarłych, wyrzuconych z pociągów nikt dokładnie nie liczy. Kopalnie i gminy mają swoje listy, bezpieka swoje. Ci, co przeżyli, też nie robią statystyk. Zresztą aż do 1989 roku nikt ich o Rosję nie pytał.

Kronikarz i założyciel koła PTTK w Radzionkowie Ryszard Wrodarczyk dotarł ponad dwadzieścia lat temu do nielicznych żyjących jeszcze deportowanych. Zetknął się z wielką tajemnicą. Przyznawał w swoim raporcie:

– Rozrywam stare blizny, budzę koszmary nocne, spychane w zapomnienie przeżycia. Nie wiedziałem, że to będą tak trudne rozmowy.

Ustalił, że w tej małej miejscowości sowieckie represje, czyli wywózki do Rosji lub do innych obozów pracy, także morderstwa dotknęły 253 osoby. Po 66 wywiezionych zostały w Radzionkowie jakieś ślady i ci, co ich jeszcze pamiętali. Sprawdził, że 48 z nich na pewno deportowano w głąb Rosji, z czego co trzeci poniósł tam śmierć. Wielu jednak po powrocie do domu zmarło z wycieńczenia.

Najpierw deportowanych z Radzionkowa czekał areszt w barakach koło kopalni „Centrum”, potem obóz przejściowy w Łabędach. Stamtąd do pociągu i droga bez końca. W bydlęcych wagonach nazywanych „krowiarkami” z Gabrielem Tomczykiem jadą na Wschód koledzy z pracy czy dzielnicy. Młodszy i starsi, różnych poglądów, stanu zdrowia, kondycji. Nie można przewidzieć, który z nich już nigdy nie wróci.

I Donbaskie zielone pomidory I

Dwóch braci radzionkowian Michała i Teodora Toborów zgarnięto w marcu 1945 roku. Obaj w pełni sił, zdrowi, sprawni górnicy z kopalni „Bytom”. Starszy Michał nie był nigdy w wojsku, zawsze potrzebny do pracy na dole; zostawił żonę z czwórką dzieci. Teodor trójkę. Zesłano ich razem do kopalni w Woroszyłowie (dzisiaj Ługańsk) w okręgu Donbas, na jak długo, nie wiedzieli. Michał nie przetrzymał pięciu miesięcy. Gdy w lipcu 1945 roku przychodzi wiadomość o zwolnieniu obu braci, nie może już podnieść się z pryczy.

Zabija go głód, bicie, czołganie się godzinami z kilofem w niskich tunelach, bez ubrania na zmianę, w wiecznie mokrym drelichu. Na posiłek zupa z zielonych pomidorów; w Woroszyłowie pomidorów jest pod dostatkiem. Kto potrafi, łapie wrony, kto ma coś do sprzedania, je trochę chleba.

Wnuk Michała jest dzisiaj burmistrzem Radzionkowa. – *Mój dziadek wiedział, że umiera, a jego brat jest w lepszym stanie i musi jechać. Gdyby Teodor został, to już chyba na zawsze* – mówi Gabriel Tobor. – *Dla Michała to była pociecha, że chociaż jeden z nich*

wróci do domu, zaopiekuje się dziećmi. Prosił o to brata, kazał mu jechać. I Teodor posłuchał, zostawił go chorego, wsiadł do pociągu do kraju. Na drugi dzień Michał zmarł.

List umierającego Michała do dzieci: *Kochane dzieci! Ostatnie Ojcowskie błogosławieństwo kładę na Wasze głowy. Chciałbym chętnie do Was wrócić, ale widocznie jest wola Bożą, żebym tutaj pozostał. Ja się z nią zgadzam, wy też się z nią pogódźcie.*

Teodor bierze list, dociera do Polski, wysiada w Warszawie. Tam dostaje papiery, bilet na kolej; wraca do Radzionkowa, podpierając się dwoma kijami, spuchnięty z głodu, zawszony, nie do poznania. Musi znaleźć słowa, żeby opowiedzieć o bracie i Rosji. Tych słów po siedemdziesięciu latach nadal brakuje; wnuk Michała mówi o wywózkach oszczędnie, pewnie tak, jak słyszał w domu. Jest teraz sporo starszy od swojego dziadka, gdy ten umierał samotnie w donbaskim łagrze.

W 2013 roku Gabriel Tobor pojechał do Doniecka, żeby wziąć udział w odsłonięciu tablicy upamiętniającej Górnoślązaków, niewolników Stalina. Zebrał wtedy trochę ziemi z dwóch donbaskich kopalń. Wokół pustka, hałdy, pola suchej trawy, kominy. Ziemia trafiła do muzeum deportacji.

– *Nie spodziewałem się kiedyś, że w Radzionkowie takie muzeum powstanie* – przyznaje burmistrz. – *Po tylu latach milczenia.*

I Hitlerowcy, szwaby, wykończyć ich I

Gdzieś w pobliżu miasta Stalino (dzisiaj Donieck), ale nie wiadomo gdzie, spoczywa 40-letni Michał Blazy z Radzionkowa. Ojciec trojga dzieci, wzięty w marcu 1945 roku z kopalni „Bytom”, umiera po dwóch miesiącach. Córka Róża wiedziała, że ojcu w kopalni zmiażdżyło nogę. Położono go nawet w szpitalu, odwiedzili go tam koledzy. Gdy przyszli na drugi dzień, już go nie było. Ktoś powiedział, że tego chorego strażnicy wywlekli nocą z łóżka i na podwórku szpitalnym zastrzelili.

Na jego miejsce przybywają nowi. Pociągi jeden za drugim jadą z Górnego Śląska, a po drodze ściga je nienawiść. Ludzie na trasie myślą, że to transport esesmanów. Jeden z naczelników obozów pracy w Donbasie, niejaki Gonczarczuk, wysłał w 1948 roku pismo do Moskwy, że na 1140 górników z Górnego Śląska materiały na temat ich kompromitujących kontaktów z hitlerowskim aparatem ma zaledwie na czterech ludzi. Wskazano na tę czwórkę jako na agentów gestapo.

Na postojach radzionkowianie słyszą: „hitlerowcy, szwaby, germany, wykończyć ich”. W Krakowie mieszkańcy obrzucają zadrutowane wagony



Michał Tobor z rodziną. Zdjęcie wykonane na pamiątkę Pierwszej Komunii Świętej jego synów



fot. Katarzyna Jeruszka

Wnuk Michała, Gabriel Tobor, jest dzisiaj burmistrzem Radzionkowa

kamieniami. Ci w środku wiedzą, że nikt się za nimi nie ujmie.

Radzionkowianin Józef Frej nie dojechał do żadnego łagru. Zabrano go w marcu z kopalni „Bytom”. Przetrzymał kawał drogi w ścisku, w wagonach jest duszno, nie ma miejsca, żeby dobrze usiąść. Przed granicą z Azją pociąg nagle się zatrzymuje, można wyjść na chwilę. Składy stoją w polach z daleka od ludzi, jest tu przestrzeń, świeże powietrze. Józef ociąga się z wejściem z powrotem, strażnik dopada go i bije kolbą w głowę. 40-letni Józef Frej umiera w pociągu. Zmarłych wyrzuca się z wagonów; gdzieś tam został, na azjatyckich stepach. Gdy żona Klara dowiaduje się o jego śmierci, jest już ciężko chora na serce. Nie wytrzymało, gdy w lutym 1945 roku mierzyli do niej z karabinów pijani żołdaci, stała pod murem z innymi kobietami z Radzionkowa. Jakiś oficer w ostatniej chwili wytrąca żołnierzom broń z ręki. Ale Klara już nie doszła do siebie.

Bronka Skrzypulca nie miał kto uratować. 20-latek uczył się piekarstwa u mistrza Wójcika z polskiej przed wojną Kozłowej Góry. Gdy słyszy, że Sowieci go zabili, nie może uwierzyć. Jest 28 stycznia 1945 roku. Bronek zakłada kapelusz i leci zobaczyć, co się dzieje. Matka błaga, żeby został w domu, ale mówi jej, że idzie na nieszpory. W Radzionkowie grasują

żołdacy, strzelają porządnie ubranemu chłopakowi w brzuch. Zabierają mu buty, zegarek i ten kapelusz. Dla łupów wcześniej zabito piekarza Wójcika.

Mówi się w Radzionkowie, że matka Bronka przynajmniej ma grób syna. Inne kobiety nie wiedzą, co dzieje się z ich mężczyznami zabranymi z roboty, z domów, z ulicy. Kopalnie wyrzucają je za bramę, o aresztowanych górnikach nic nie wiedzą i nie chcą wiedzieć. Gmina nie poratuje, bo panie mają mężów, a gdzie, to nie sprawa administracji. Zatrudnienia dla kobiet nie ma, chleba nie ma. Jest strach, chaos i beznadzieja.

W grudniu 1945 roku do władz PPR trafia list kobiet z Górnego Śląska do „Obywateli Premierów i Przodowników Rządu Polskiego w Warszawie”. Piszą rozżalone: „Wnioski o uwolnienie naszych górnośląskich mężów, bratów, żywicieli spoczywają w jakimś referacie, bo miano oświadczyć, że to są germany, a za germanami Rząd nie będzie się ujmował.” Ale Rosjanie nie robili różnicy przy rejestracji na prace przymusowe: „Jest fakt, że tam też są germany, ale o Polaków tu chodzi, powstańców, co podczas hitlera w obozie koncentracyjnym siedzieli, takich czołowych bitnych Polaków wywieziono do Rosji, bez wyodrębnienia ich.”

I Jaką nam krzywdę uczyniono I

Minął już rok, niektórych mężczyzn zwolniono. List: „A kto wraca, wracają, owszem wracają, ale chorzy, umierający. Nas kobiety z dziećmi osierocono, pracy nie ma, wsparcia żadnego nie



*W transporcie do łagrów pojadą
przedwojenni komuniści, polscy
i niemieccy. Ślązacy, Polacy, Niemcy,
uchowani hitlerowcy i powstańcy
śląscy, także kobiety. Fachowcy górniczy
i ci, co nigdy w kopalni nie byli.
Kontyngent dla zwycięzców.*

dostaniemy. Sprzedać już nie ma co, bo rok długi. Bóg jedyny wie, jaką nam krzywdę uczyniono."

W tym czasie starosta bytomski Paweł Nantka-Namirski wali prosto z mostu w raporcie do wojewody śląskiego: „Kobiety znajdują się w skrajnej nędzy, w sytuacji bez wyjścia. Mężowie ich są albo na robotach przymusowych w Rosji, albo zginęli na froncie. Sprzedałyśmy już wszystko, opowiadają z płaczem. Pracy nie umiemy nigdzie otrzymać. Nie mogą już patrzeć na swoje głodne dzieci i zmuszone są najpierw je, a potem siebie pozbawić życia. Kobiety te to wszystko zweryfikowane Polki." Ale błagają o przepustkę do Niemiec, bo tam podobno jest trochę łżej.

Zarząd kopalni „Bytom” stara się o zwrot swoich górników. Na dole nie ma kto robić, w najbliższym czasie produkcja spadnie dziesięciokrotnie. Ale pełnomocnik Polskiego Zagłębia Węglowego generał lejtnant Miłkowski zna plany Stalina, odmawia zdecydowanie. Wicewojewoda Jerzy Ziętek próbuje różnymi sposobami wyciągać górników, czasem mu się udaje.

Radzionkowiec Piotr Jasiok z kopalni „Bytom” przekazał córce Emmie, że wrócił właśnie dzięki pomocy Ziętka. Pracował w Rosji do sierpnia 1945 roku w donbaskiej kopalni upadowej jak w średniowieczu, zjeżdżał do niej na łopacie. Wraca chory, z ciężką dychawicą.

Inni nie mogą doczekać się na zmiłowanie i sami zwalniają się z łagru. 36-letni Teofil Markusik, sąsiad Jasioka z Radzionkowa, ucieka z kopalni za Uralem po czterech miesiącach. Nie ma dokumentów, nie zna języka. Czepia się pociągów wiozących do Polski szyny. Jedzie w głodzie i strachu, dociera do domu, umiera rok później na serce.

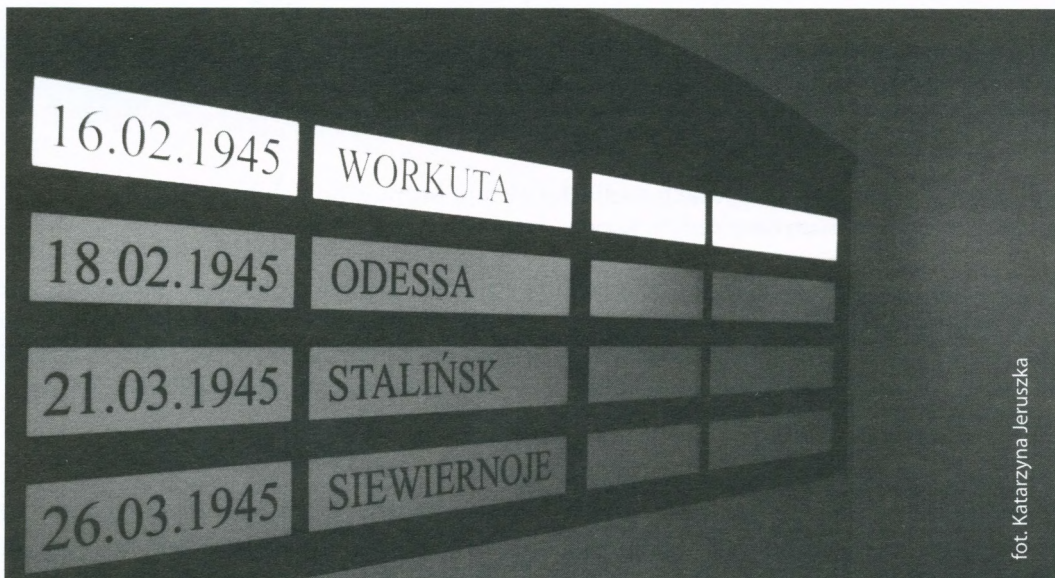
Wilhelm Bujoczek z Radzionkowa ucieka z Rosji w lipcu 1945 roku. 36-letni górnik z kopalni „Bytom” wylądował w donbaskiej kopalni, gdzie wyciągał ręcznie kołowrotem węgiel z szybu. Podobnie jak Jasiok, Bujoczek wraca do domu ukryty w wagonach jadących na zachód. Powojenne bezhołowie jest dla niego zagrożeniem, ale i ratunkiem, bo włóczęgów jest wielu. Pojawia się w Radzionkowie chudy jak szkielet, w łachmanach, zarosnięty i z wszami, ale cały. Dopracuje się emerytury w kopalni.

Powracający zastają w Radzionkowie biedę z nędzą. Wiktorię Sobalową z sześciorgiem dzieci kopalnia „Bytom” już wyrzuciła z mieszkania, chce go dla nowego pracownika. Ktoś musi rąbać węgiel, przecież nie ona. Gdy kobieta szaleńczo broni domu, milicja łamie jej ręce i nogę; Wiktoria nigdy już nie odzyska zdrowia. A koledzy Józka Sobali z Rosji mają dla niej, półżywej z rozpacz, wiadomość. Jej mąż już nie wróci, zmarł z głodu i wyczerpania w Woroszyłowie. Lepsza przyszłość rodziny zginęła razem z nim.

Inni powoli wracają. Kobiety wyczekiwały mężów, a dostają ich cienie. Nic nie będzie jak dawniej. Śmierć ciągnie się za tymi mężczyznami od Rosji, dopada ich wkrótce w rodzinnych domach, w szpitalach. Zabierze im sny. Boją się zasnąć, widzą w snach kolegów spuchniętych, zapluskwionych, poranionych. Boją się mówić.

Wraca też Teodor Tobor, ledwo stojący na nogach z głodu, ale przywiezie dzieciom przez setki kilometrów garstkę cukru w brudnej szmatce. ■

Grażyna Kuźnik – dziennikarka „Dziennika Zachodniego”, trzykrotna laureatka nagrody Silesia Press za reportaż



fot. Katarzyna Jeruszka

*Jęki matek,
Jęki panien*

Niosły się po domach; [...] Huczał jak grom jęk i podobny był odgłos, kiedy skrzydlata porywała z miasta kogoś spośród mężczyzn.

Eurypides: *Fenicjanki*

SILESIA NIOBE

grafika: Magdalena Woźniak

Nad Górny Śląsk na czarnych skrzydłach nadleciał z kraju Arimów podobny do Sfingi potwór. Bestialski, szpetny, gadający w niezrozumiałym języku, krwiożerczy.

Nie sposób opowiedzieć emocji i żalu, gdy się patrzy na skamienienie. Dlatego obywatel ateński w piątym wieku przed Chrystusem wymyślił formę wspólnej terapii nazywaną tragedią. Zbierali się w Teatrze Dionizosa, aby uzdrawiać swoje dusze.

Tragizm należy do dziedziny przeżyć estetycznych, ale tragedia na pewno dotyczy głębin i wirów życia, bo rozgrywa się w ludzkiej rzeczywistości. Dlatego nie wydaje się przesadne ani zbyt pate-

tyczne uznanie bolesnych, barbarzyńskich, chaotycznych i nikczemnych wydarzeń, które rozegrały się na Górnym Śląsku w 1945 roku za tragedię. I nawet godzi się pisać dużymi literami Tragedię Śląską.

I Być winnym bez winy I

Pierwszy posłużył się tą frazą ks. Johannes Kaps, używając w tekście o śląskim koszmarze 1945 roku wyrażen: „die Tragödie Schle-

siens" (Tragedia Śląska jako krainy) albo „schlesische Passion" (Śląska Pasja). Wpisanie tego, co się stało na Górnym Śląsku w 1945 roku w „poetykę" tragedii, w autentyczną tragiczność nadaje tam-tył śląskim wydarzeniom wymiar uniwersalny, powszechny, ponadczasowy, ogólnoludzki, a nawet pozahistoryczny. Jeśli ktoś twierdziłby, że nie istnieje zewnętrzny względem historii punkt odniesienia, jest prawdopodobnie w błędzie. Toteż ujmuję Tragedię Śląską jako sytuację wieczystą. Rozciągniętą, niezakończoną.

Tragedia to sztuka spoza czasu i przestrzeni, chociaż skupia się na jednym czasie i jednym miejscu. Tym miejscem może być serce człowieka. Dzięki tragedii istnieje możliwość cofnięcia się przed lęk i niedolę; posklejania rozbitego świata, zintegrowania go. W tragedii króluje subiektywizm, choć sama sztuka potrafi obiektywnie odtworzyć konflikt, jaki rozgrywa się w człowieku pomiędzy wolnością i koniecznością. Przedmiotu tragedii nie stanowi – ufam Arystotelesowi – osoba ani zła, ani dobra, ale taka, która nagle popada w nieszczęście przez przypadek, a nie na skutek grzechu. Dlatego filozof Schelling dodaje: „Jest to największe nieszczęście, jakie można pomyśleć, być winnym z powodu zrzędzenia losu, bez prawdziwej winy". Idea tragiczności jest pozaracjonalna, metafizyczna.

Akcentuję tragiczny i metafizyczny aspekt wydarzeń z 1945 roku z jeszcze innego powodu. Deportacje na niespotykaną w historii ludzkości skalę, wielką wywózkę i wysiedlenia Niemców (w pierwotnym założeniu ponad 10 milionów osób) zaplanowano na alianckiej konferencji w Teheranie w 1943 roku. Koncepcja się pojawiła, lecz żadnych logistycznych kwestii nie ustalono. Tylko Brytyjczycy zdawali sobie sprawę, jak gigantyczne to będzie przedsięwzięcie. Dlatego zlecieli Johnowi Mabbottowi z Oksfordu przygotowanie ekspertyzy. Ten metafizyk i autor pracy *Miejsce Boga w filozofii Berkeleya* ocenił sprawę realistycznie. Domagał się utworzenia międzynarodowej organizacji, która będzie czuwała nad przesiedleniami i wywózkami. Żadna taka organizacja nie powstała. Alianci umyli ręce. Zostały do tej roboty jedynie sowieckie łapy.

I Sowieckie capriccio I

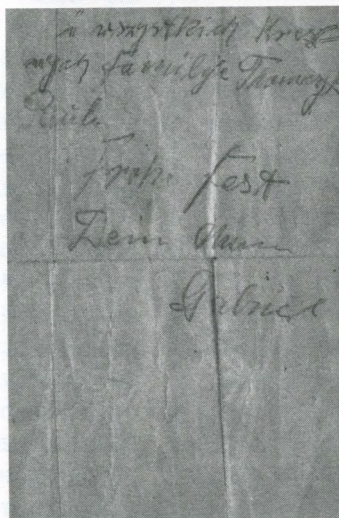
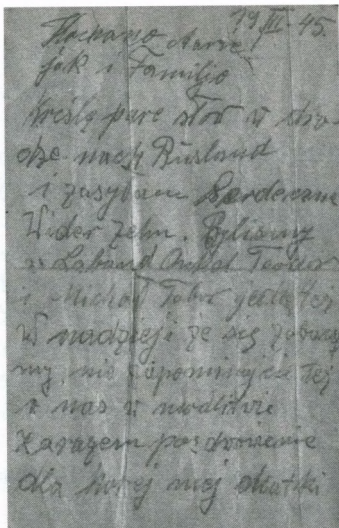
Przerazający potwór trzepoczący skrzydłami nad Górnym Śląskiem w pierwszych miesiącach 1945 roku. Polujący na tysiąc sposobów według swych zachcianek. Raz porwie kogoś w Zabrze albo w Kluczborku, raz w Katowicach i Gliwicach. Innym razem spadnie zniemacka na mężczyzn z Blaschowitz albo na syna powstańca śląskiego Gerarda Morgałę z Szopienic. Nie kierując się żadną logiką, lecz czystym okrucieństwem.

Jaka bowiem logika rządziła uznaniem Górnoszlązaków za współwinnych II wojny światowej? Kaprys zdobywcy? Część Górnoszlązaków posiadała status obywatelski reichsdojców (z terytorium przedwojennych Niemiec, czyli Górnoszlazacy z Gliwic, Bytomia czy Opola), część folksdojców (ponumerowanych w zależności od uznanej urzędowo partycypacji w niemieckości – Górnoszlazacy z obszaru przyłączonego do Rzeczypospolitej). Jednak było to dla „wyzwolicieci" sowieckich bez znaczenia. Wywożeni i więzieni byli Górnoszlazacy jako jedna rodzina (ludność niemiecka bądź za niemiecką uznana).

Tę upiorną atmosferę kaprysu oddaje zdanie jednego z polskich komunistycznych urzędników działających w Bytomiu: „Wszystkich Ślązaków będziemy wysiedlać, a później, jak będą na to zasługiwali, to będziemy ich zwalniali" (Wywózka. Deportacja mieszkańców Górnego Śląska do obozów pracy przymusowej w Związku Sowieckim w 1945 roku. Faktografia – konteksty – pamięć, red. S. Rosenbaum i D. Węgrzyn, Instytut Pamięci Narodowej, Katowice 2014, s. 173). Pod jeden strychulec. Bezosobowo. Mechanizm, który stał się narzędziem ucisku,

podejrzliwości i totalizmu. Jego kontynuacje dałoby się prześledzić także w późniejszym czasie.

Znamy dokładnie czas i miejsce tej tragedii, a także aktorów i smutne pieśni chórów, które dochodziły z zaryglowanych deportacyjnych wagonów i z obozów pracy. Czasami znamy tylko jedno zdanie zapisane na karteczce Würfbriefu (listu wyrzuconego z pociągu), że ktoś już wie, że jedzie na Wschód i że tak a tak się nazywa. Te listy spadały na podkłady kolejowe, spadały ciężko na szyny, były



Kartki wyrzucane z wagonów w trakcie transportu na Wschód

cięższe od słów w nich zapisanych. Nie były to lekko wzlatujące w niebo gołębie pocztowe z dobrymi wiadomościami.

Sowieccy zwycięzcy potrzebowali dużo ludzi do „żywych” reparacji. Kiedy nie da się ukraść kopalni albo załadować rozmontowanej w pośpiechu maszyny, można porwać człowieka.

I Duchowa astenia I

Długo lament śląski zagłuszano. Dzisiaj wolno lamentować, bo nie sposób już dochodzić sprawiedliwości i przeprowadzić procesów sądowych. Jedyny proces tego typu, jaki znam, opolski proces Czesława Gęborskiego, komendanta obozu w Łambinowicach (Lamsdorf), prowadzony był nieudolnie (warto zajrzeć do książki Edmunda Nowaka *Rozrachunki z przeszłością* poświęconej częściowo tej sprawie). Akta procesu przekonują, że trwożyli się bardziej świadkowie niż sam oskarżony, który dziarsko żonglował retoryką peerelowską: jego proces to akcja odwetowców, rewizjonistów i piątej kolumny. Tu i ówdzie słychać na Śląsku jeszcze dzisiaj ten sam język.

Sporo da się już zrelacjonować na temat igrzysk śmierci. O tej Tragedii, która nie dzieje się na stoku Akropolu, lecz na śląskich wsiach i w śląskich miastach, w górniczych osiedlach. To nie był dialog z przeznaczeniem, niewinnością, złośliwością bogów i ludzkim smutkiem. Dytyrambu nikt nie śpiewał. Jednak coś jęklivego żyje nieprzerwanie w górnośląskich duszach. Jakaś żałość wyniszcza ludzi jak najgorsza choroba.

„Wywiezōm nos do Rusów”. Słyszałem to zdanie straszdyło w domu dziadków jeszcze w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku. Bano się wywózki bardziej niż śmierci. Co to jest śmierć? Mniej więcej wiadomo. Ze śmiercią można się oswoić. Ale Czelabińsk i huta czelabińska, a także pusty step i wykopana w glinie nora – to nie jest coś wiadomego. Zaświaty sowieckie, bezbożne strony, dominium Hunów. Tego nie sposób sobie wyobrazić, można się tego jedynie lękać.

Deportacje 1945 roku w dużym stopniu zdepersonalizowały Górny Śląsk. Mówię tak dlatego, że znałem osoby, znałem Górnoślązaków zdepersonalizowanych. Fantomowych. Przelękniętych. Nieżyjących naprawdę. Deportacje, wywózki, wypędzenia. Sataniczna inżynieria demograficzna dewastująca tkankę społecznej więzi. To się nam naprawdę przydarzyło.

Nie powinno zatem ująć naszej uwadze katastrofalne pogorszenie się funkcjonowania społecznego na Górnym Śląsku wskutek traumy roku 1945. Te wydarzenia doprowadziły do kilkupokolenio-

wych cierpień i duchowej astenii. A nawet autoagresji. Do niemożności funkcjonowania na wyższym poziomie niż robociarski, zdeklasowany, skolonizowany. Zasiany wtedy na Śląsku lęk trwa do dziś. I co rusz daje znać o sobie.

I Obrazki I

Chciałbym, żeby Górny Śląsk (od)budował się na dobrych uczuciach, a nie na kłamstwie i traumach. Bezsensowne jest mówienie o śląskiej tradycji, gdy się nie chce pamiętać o Tragedii Śląskiej w mikrohistoriach rodowych, rodzinnych, najmniejszych, wyjąkanych niepewnie po dziesięcioleciach. Niepodobna mówić o tradycji, gdy się usuwa choćby część historii. Nie da się zrekonstruować rozumienia Górnego Śląska, nie pamiętać o tamtej udźce. Polskie powojenne administrowanie Górnym Śląskiem rozpoczęło się od cierpienia. Od dominacji, której służyło zastraszenie. A także zdławienie głosu. Dobrze, że dzisiaj WOLNO MÓWIĆ.

W moim odczuciu polskość i niemieckość stały się wtedy dla Górnoślązaków kontekstem zewnętrznym czy też powierzchownym w interpretowaniu świata. Kontekst macierzysty stanowi pamięć, w której górnośląski los – jako centralne dzierżawienie – byłby czymś wspólnym niezależnie od zapatrywań, przekonań, etniczności, używanego języka. Nawet jeśli dzierżawą jest niedola.

Taki obrazek (wyjmuję go z książki Bogdana Kłocha o dziejach Domu Dziecka w Rybniku): 25 listopada 1946 roku Referat Społeczny Urzędu Gminy w Czerwionce przekazuje troje dzieci z Czuchowa (w wieku od pierwszego do piątego roku życia) do Domu Dziecka w Rybniku. Zostały same. Ich ojca deportowano do Związku Sowieckiego, a matka postradała zmysły i została przewieziona do zakładu psychiatrycznego w Lublińcu. Na okaleczeniu psychicznym historia tej rodziny się przecież nie kończy: dzieci żyły, może żyją dalej. Matka czuchowska może wcale nie zwariowała, tylko jak Nio-be skamieniała.

Inny obrazek, patrzę nań z bliska: dwudziestoczołatek, były żołnierz Wehrmachtu, wielokrotnie ranny na froncie wschodnim, zdezerterował w Pradze 7 maja 1945 roku. Nie chciał iść do niewoli. Ani amerykańskiej, ani sowieckiej. Wraca do domu, lecz nie chce być żywą reparacją wojenną. Widział już swoich kolegów z Ornontowic i Jaśkowic ruszających w kierunku dworca. Sowieccy żołnierze tworzyli wzdłuż chodników szpaler. Zdawał sobie sprawę dwudziestoczołatekni mężczyzna, że zostanie deportowany, dlatego siedzi w stodole w Stanowicach przez trzy lata, w ciągłym lęku. Boi się mundu-

rów przez całe życie. Boi się aparatu państwa. Boi się już zawsze. Pyta siebie każdego dnia: „Wywieżom mie do Rusów?”

I Wymazywanie I

Ci, którzy pragnęli wymazać z historii internowania Ślązaków, ich pracę w obozach, wywózki do Czelabińska, Donbasu i na Syberię, wpadli we własną pułapkę. Ograniczając interpretację górnośląskiej historii do jedynie poprawnej, „przyjaznej” (polsko-radzieckiej) wykładni, otwarli możliwość innych interpretacji. Tak działa w interpretacji przymus. „To czego nie wiesz, a czego doznali / Dwa razy tyle zważy na szali” (Ajschylos: *Perrowie*).

„W krowioku jechało się cztery tygodnie abo dużyj”. Potem dostawało się szarozieloną kufajkę. „W bydłym wagonie kurczy się wszelka odrębność” – pisze Herta Müller w *Huśtawce oddechu*. Dlatego docierali już skurczeni. Książkę Herty Müller muszę przypomnieć, bo Górnośląscy przeżywali to samo, o czym mówi młodzieńcy Auberg, bohater jej książki. W obozach rozsianych po bezdrożnej Rosji lądowali Niemcy z rumuńskiego Banatu, krewni Herty Müller i nasi krewni Górnoślązacy. Najpierw rozkopuje się ziemię, by gdzieś zamieszkać na stepie. Potem wydobywa węgiel gołymi rękami w chodniku na sześćdziesiąt centymetrów.

Trauma wywózki, lęk przed wywózką, huśtawka oddechu zniszczyły tysiące śląskich rodzin. Przypomnienie obozu dręczy nie tylko dręczonych w obozie. Górnośląskim mężczyznom wywiezionym na Ural do obozu jenieckiego nr 68 pustoszyły życie nie tylko sny. Nadal to, co się działo, działa pustosząco. Nie dlatego, że kogoś wywieziono i ktoś stracił życie pod najbrzydszym sowieckim niebem albo wrócił z wywózki kaleką, lecz dlatego że gęstniała górnośląska bojaźliwość i rosła toksyczność w śląskich rodzinach. Że nieszczęście kumulowało się, przeskakiwało z indywidualnych losów na los wspólnoty jak iskra. Przekładało się na kariery, pożyacie, przyjaźnie i przeżywanie wolności.

* * *

W dziele sztuki prawda tego, który istnieje, odkłada się w dzieło. To, co mówi niemiecki filozof Martin Heidegger, potraktujmy poważnie. Badanie prawdy o tamtym czasie powinno wejść w nowe, twórcze, poetyckie stadium. Powinno powstać dzieło sztuki, które przebieje się przez naszą traumę – górnośląska „Huśtawka oddechu”.

Dzieło przepracuje albo sam ból, albo jego wspomnienie (ból snujący się rodzinnie jak trujące opary). Dzieło przeboleń. Dzieło – podźwignięcie. Musiałby ktoś koniecznie (może ktoś z nas? nie wiem kto...) napisać brewiarz wywiezionych, brewiarz znieważonych. Modlitwę prostą jak aktiubiński krzyż. Jak chór Sofoklesa żałośnie wyśpiewać, może wykrzyzczyć nie bez nadziei na odmiannę i zdrowie: „Błogosławiony śnie, przybywaj! / I uśmierz ból, I rozwiej troskę. / Pozwól zapomnieć nam o wszystkim / I przenieś w jakiś inny świat” (*Filoktet*, spolszczenie Antoniego Libery).

Należy Silesię płaczącą, śląską pietę zrobić ze słów lub kamienia. Albo z klatek filmu i nut. Prawdziwą pietę, a każdy, kto przed nią przystanie, powie: „Silesia boleściwa!”. Albo Silesia-Niobe. Matkę-Śląsk tulącą ciała nieszczęsnych dzieci. Próbuje sobie wyobrazić to skamienienie. Jakoś pietà, kery ni ma... ■

Zbigniew Kadłubek – profesor, filolog klasyczny i literaturoznawca, wykładowca Uniwersytetu Śląskiego, pisarz i eseista, autor *Listów z Rzymu*



Podróż na Wschód w 1945 roku (spod Gliwic na Ukrainę)

Właściwie to nigdy nie opowiadał szczegółowo (nawet zachęcany) o tej podróży na Wschód: słyszałem jakieś napomknięcia, wtrącenia mamy („jak papa był w internirungu”), porozumiewawcze słówka krewnych podczas uroczystości rodzinnych („jak byliśmy w Rusyi”). A ja nawet nie zauważyłem / nie pamiętałem, że nie było go w domu prawie 8 miesięcy.

Gdy odchodził na punkt zborny, miałem 2 lata i 8 miesięcy, gdy wrócił, zapewne go nie poznałem, bo ubranie miał zabrudzone, a ważył tylko 50 kg. Čwierć wieku później znalazłem w kartonowym pudle po margarynie, w którym składano dokumenty i fotografie rodzinne, także zaświadczenie Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Łławie nr 217493 z 1945 roku ze zdjęciem człowieka przestraszonego. Pod koniec 1970 roku, długo przeze mnie namawiany, opowiedział krótko, jak to było w obozie pracy pod Kirowogradem, ale dodawał stanowczo: o tym nie pisz, cenzura i tak nie pozwoli.

Dopiero w 1988 roku nagrałem na taśmie magnetofonowej dwugodzinną relację (uzupełnioną w 1989 roku). Wówczas jeszcze pamiętał nazwiska współinternowanych, daty, jakieś strzępki rozmów. Kilka lat później pamięć powoli go opuszczała. I gdy rozmawiałem z ojcem ostatni raz, 9 października 1996 roku, w dniu jego 89. urodzin, w pewnym momencie zapytał mnie: „A tyś kiedy wrócił z internirungu”? (To tylko wyciąg, na dodatek przetłumaczony z gwary górnośląskiej. Może kiedyś przygotuję wersję oryginalną.)

I Najdłuższa podróż w życiu I

Tak, to była najdłuższa podróż w życiu P.: ani przedtem, ani później nie podróżował dalej niż kilkanaście, kilkadziesiąt, a rzadko dwieście,

trzysta kilometrów od rodzinnego domu, ani potem nie opuścił rodzinnego Łubia (od XIV wieku do połowy 1936 roku to Lubie, do końca stycznia 1945 roku – echt deutsch – Hohenlieben), rodziców, żonę i dzieci na dłużej niż kilka tygodni.

Właściwie to w całym życiu nigdy nigdzie nie podróżował: po prostu szedł, jechał rowerem, autobusem albo pociągiem tam, gdzie musiał. Ale czy to były podróże? Na przykład do pobliskich Pyskowic, oddalonych od ojcowskiego domku, zbudowanego z cegieł i kamieni przed I wojną światową, tylko 4 km, do pobliskich – za lasiem, za górką – Jaśkowic, do Karchowic, Zawady, Kamieńca, Sroczej Góry, Księżego Lasu (z którego pochodził prapradziadek po młotku), do sąsiedniej Kopienicy, która z Łubiem od XIV wieku tworzy wspólną parafię rzymskokatolicką pw. NNMP, do powiatowych Gliwic (to tylko 16 km na południe), do nieco dalszych miejscowości górnośląskich, które dziś stanowią dzielnice Zabrze, Rudy i Bytomia, a w których mieszkali jego krewni i powinowaci, a więc do Mikulczyc, Miechowic, Biskupic, Wirka. Oczywiście, szedł także kilkakrotnie z pacją parafialną na Górę Św. Anny (pieszo do Toszka, potem pociągiem do Szymiszowa, potem znowu pieszo).

Dwukrotnie przebywał w 1934 roku we Wrocławiu: raz, gdy Kasa Chorych posłała go na komisję lekarską (po wypadku w lutym 1933 roku podczas obsługi lokomobili – w papierach wpisano mu:

Opowieść pisarza Jerzego Pluty o ojcu Janie Plucie (1907–1997) z Łubia w powiecie gliwicko-toszeckim i jego zesłaniu w 1945 roku drukujemy za autorskim czasopiśmem „Przecinek” wydawanym we Wrocławiu („Przecinek” nr 6 z 1998 roku). Zaznaczenia akapitów od redakcji. Wszystkie zdjęcia z archiwum Autora.

50% utraty zdrowia), a drugi raz – na przebadanie, czy przysługuje mu pobyt w sanatorium (tak: pojechał na 14 dni do Głucholaz, gdzie moczył się w celulozowych wodach z papierni). Wrocławski dokument uchronił P. od wcielenia do Wehrmachtu; nie musiał się potem usprawiedliwiać, że strzelał do bezbronnym (choć i tak w latach 1943–1944 jeździł w niedzielę rowerem do Toszka na szkolenie przeciwgazowe, a pod koniec 1944 roku i on musiał brać udział w ćwiczeniach strzeleckich, w ramach Volkssturmu, na nieczynnych wyrobiskach piaskowni Dzierżno). Ale później, w lutym i marcu 1945 roku, lekarskie orzeczenie nie zostało uznane przez oficerów Armii Czerwonej i znowu był całkowicie zdolny do pracy (i w obozie w Łabędach, i po miesiącu – w Kirowogradzkiej obłasti).

W 1921 roku rozpoczął naukę kowalstwa pod opieką swojego starszaka, Augusta Panka, w majątku von Bergwelta-Baildona, w majątku prawnika Szkota Johna Baildona: przez trzy lata w każdą niedzielę chodził / jeździł na zajęcia w Izbie Rzemieślniczej w Pyskowicach, odbywające się w szkole sztygarów (herb górniczy wisiał jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych, choć po wojnie było to już liceum ogólnokształcące, które i mnie przyjęło na cztery lata). W styczniu 1925 roku otrzymał ozdobny dyplom (Lehrbrief) czeladnika kowalskiego, wydany przez zarząd cechu kowali i ślusarzy. A potem codziennie przez 20 lat, z wyjątkiem pobytu w szpitalach (w Pyskowicach i w Zabrze) i sanatorium, wstawał przed szóstą, by o wpół do siódmej być w kuźni (to tylko 300 metrów): najmłodszy musiał rozpalić ogień. Czy mógł myśleć o podróżach? Czy miał marki?

Kiedyś z kolegą pojechali rowerem na przejście graniczne w Miedarach; to tylko kilkanaście kilometrów na północny wschód od Łubia: do źródeł Dramy, już w Polsce, nie dojechali – nie miał paszportu ani przed wojną, ani po wojnie. Nawet do Pyskowic nie lubił chodzić, bo i po co? Z wujkiem Emilem Pankiem podkuwał konie i wykłepywał narzędzia. Kula wy Johann – tak o nim mówiono po 1933 roku po powrocie ze szpitala; w 1945 roku został Janem, nazwiska nikt mu nie musiał zmieniać: wcześniej czasem dopisywano mu drugie t, by wyglądało echt germanisch, choć przecież było prawdziwie staropolskie (o rdzeniu prasłowiańskim, ale P. nic o tym nie wiedział)...



Róża i Jan Plutowie, zdjęcie ślubne, Łubie 1936

Po 1945 roku P. również nie oddalał się daleko od domu, w którym się urodził (9 października 1907) i w którym umarł (14 lutego 1997). Natomiast blisko – codziennie: od kwietnia 1950 do listopada 1972 roku – dojeżdżał do Łabęd (od 1964 roku to dzielnica Gliwic) przewozem pracowniczym do Zakładów Mechanicznych im. Józefa Stalina (od 1956 roku – „Łabędy”). Ot, był anonimowym ślusarzem w dziale utrzymania ruchu (to jego drugi syn pracował w montowni czołgów). Musiał wstawać po czwartej, by nie spóźnić się na autobus, a wracał przed trzecią.

Nigdzie nie wyjeżdżał? Owszem, pojechał do sanatorium do Jastrzębia Zdroju (wciąż bolały go połamane przed wojną nogi, a pod Kirowogradem nabawił się reumatyzmu), później także do Łądku. Kilkanaście razy podróżował do Wrocławia, do syna, a raz nawet na początku lat czterdziestych był kilkanaście godzin w Warszawie (na badaniach lekarskich w prywatnej klinice).

Tak – ani wcześniejsze, ani późniejsze podróże nie przypominały tej najdłuższej w 1945 roku. Czy w ogóle można ją nazwać podróżą? Ani w 1945 roku, ani później nie miał ochoty podróżować. Nawet do Gliwic, gdy był już na emeryturze, wybierał się niechętnie, mimo że zamieszkali tam dwaj synowie i córka, a co dopiero dalej. Czyż nie mówił mu ojciec: szkoda zelówek? Czy nie lepiej posiedzieć na ławce pod domem i odpocząć? I zaśpiewać wieczorem *Kiedy ranne wstają zorze*? Całe życie czuł się

chyba zmęczony, ale zapewne siedzenie na tapczanie, gdy po ponad 50 latach pracy został emerytem, męczyło go bardziej niż codziennie nieustanne coś-robienie.

I Rukzak, manierka, garnuszek, łyżka i inne rzeczy I

W mroźny poniedziałek, 23 stycznia 1945 roku, oddziały I Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej spod Częstochowy skierowały się na południe, m.in. szosą Lubliniec – Tworóg – Gliwice. Kilkanaście kilometrów za Lubliniec przekroczyły przedwojenną granicę polsko-niemiecką – zaczynał się Kreis Tost-Gleiwitz. Pod wieczór wojsko zajęło majątki Ober- i Nieder-Hohenlieben. P. nazajutrz nie poszedł do kuźni, ale już wieczorem zawiadomiono go, by rano przyszedł do pracy. I tu dopiero zaczyna się właściwe sprawozdanie.

Do Berlina spod Gliwic wciąż było prawie 500 km, a żołnierze byli głodni, konie traciły podkowry. Z wujkiem Emilem podkuwał konie od rana do wieczora, naprawiał maszyny rolnicze (w dwóch stodołach polnych pozostały niewymłócone żyto i pszenica). Komendantem majątku został lejtnant Armii Czerwonej, natomiast sołtysem Łubia Dolnego – Broda-Szczurek, powstaniec śląski z 1921 roku; szosą i polami wciąż przechodziły wojska – spod Bytomia do Toszka, Opola, Wrocławia.

Na początku lutego pojawiły się afisze (czarne litery na czerwonym papierze) w dwóch językach: niemieckim i rosyjskim, m.in. obok sklepu piekarni Owczorki, że wszyscy mężczyźni mający obywatelstwo niemieckie w wieku od 18 do 50 powinni się na 14 dni zgłosić do pracy poza linią frontu. Powinni zabrać dokumenty osobiste, dodatkową odzież, koc, żywność. I zgłosić się na punkcie zbornym w Pyskowicach. Kto się nie zgłosi, będzie podlegał prawu wojennemu, łącznie z karą śmierci.

P. dowiedział się o ogłoszeniu 7 lutego, nie pamięta już, którego dnia trzeba było się zgłosić, ale chyba kilka dni później. Lejtnant zapewniał P., że po rejestracji na pewno zostanie zwolniony, jest niezbędnym w majątku, a po drugie ma zaświadczenie lekarskie, pośle z nim dwóch żołnierzy, oni wytłumaczą komu trzeba. Ale P. (i inni mężczyźni) od razu zaczął się przygotowywać. Z majątku przyniósł brezentowy materiał (to była plandeka od bindra – pamięta jego najstarszy syn), z którego żona uszyła plecak. Tak (już wkrótce się okazało), rukzak był najważniejszy; miał też małą torbę skórzaną, w której nosił przez wiele lat do pracy chleb i butelkę z kawą zbożową. Zabrał dodatkowe kalessy, koszule, grube rękawiczki wełniane, czapkę z nausznikami, a przede wszystkim nie zapomniał o manierce, łyż-

ce, nożu składanym i o czerwonym emaliowanym garnuszku (3/4 litra). I jeszcze o innych drobnostkach.

W Pyskowicach wszystkich zgłaszających się mężczyzn wpisano do grubej księgi; przesiedzieli dwa dni w restauracji, która później nazywała się „Łowiecka”. Potem pieszo, już pod strażą, szli główną szosą do Gliwic (to tylko 12 km), niektórzy wyrzucali kartki z krótkimi zdaniami, dokąd idą. W Gliwicach nie było dla nich (chyba dla ok. 100 osób) miejsca w koszarach, popędzono ich, już bocznymi ulicami i drogami, do Łabęd. Gdy czekali przed mostem i służą na Kanale (wówczas to jeszcze Adolf-Hitler-Kanal, a już wkrótce – Gliwicki), była ostatnia okazja, by uciec, kilku skorzystało z nieuwagi żołnierzy, a potem czerwonoarmiści zatrzymali przypadkowych przechodniów: spis musiał się zgadzać.

W Łabędach umieszczono ich w domach pod lasem, w pobliżu dworca kolejowego: kilkadziesiąt budynków było otoczonych drutem kolczastym. Tam przebywali, chyba kilkanaście dni, w domach, w których jeszcze niedawno ktoś mieszkał: każdy brał z szaf, kredensów, co chciał; P. usłuchał tych, co mówili, żeby brać nici (i potem przydały się najbardziej). Obozem zarządzała „zielona policja” (tak umundurowanych wojskowych nazywał po latach P.).

Wszyscy zostali przesłuchani (i opisani) bardzo dokładnie. Czy był w partii hitlerowskiej? W komunistycznej? W Wehrmachcie? W SS? W SA? Na te wszystkie pytania P. miał krótką odpowiedź: nein. Pytał oficer po rosyjsku, tłumacz przekładał na niemiecki, ktoś trzeci zapisywał. Co robili rodzice? Jaki ma zawód? I wiele jeszcze pytań. Czy wie, kto należał do NSDAP? P. nie znał nikogo takiego wśród zatrzymanych. Ktoś mu radził, żeby podał, że pracował w piaskowni (weźmie go do swojej brygady), ale P. posłuchał wujka Emila: miał przecież papiery, że cały czas pracował w majątku ziemskim, że jest kowalem i rolnikiem.

Do obozu przychodziły żony zatrzymanych, żeby się dowiedzieć, gdzie skierowano mężów do pracy. Raz przyszła do P. żona (z obiadem i kawą): „widziała bez okna kaj jo siedzioł”. Strażnicy nie pozwalali nikomu zbliżać się do drutów, strzelali nie na żarty („kiedyś zastrzelili baba, potem baby się boły przyjąć”). P. miał 37 lat i 4 miesiące: ożenił się w 1936 roku, w domu – żona i 4 synów. Dokumentów lekarskich chyba nawet nie czytano, trzymał je w swojej torbie. Tych, co służyli w Wehrmachcie, wywożono do innych obozów, także partyjnych i SS-manów. Jedynie Ci, co wyjawiali, że należeli do KPD, awansowali: zostawali tzw. starszymi, mającymi pod opieką kilkudziesięciu innych zatrzymanych. Ktoś tam rozgłaszał, że pojedą porządkować zniszczone fabryki chemiczne w Kędzierzynie.

I Pociągiem towarowym do Kirowogradzkiej obłasti I

Na początku marca P. pomaszerował (wraz z ok. 200 mężczyznami) z obozu łabędzkiego na dworzec kolejowy w Pyskowicach. Wagon towarowy, zadaszony, stały na torze bytomskim. Na szerokim torze, który wówczas się tu kończył, a zaczynał we Włodawostoku (dowiedział się po latach P.). W wagonie był piecyk żelazny, popularny na Górnym Śląsku żelazniok. Mieli węgiel, kocioł, wodę i trochę żywności. Gdzie więc jadą? Po kilku godzinach ktoś zauważył, że przejeżdżają przez Kraków (odczytał nazwę stacji przez wyśkrobaną nożem dziurkę – jeszcze mieli noże, odebrano je im dopiero na stacji kolejowej na miejscu): „to myśm się wszyscy przestraszyli”. To jadą na Sybir?

Pociąg zatrzymał się dopiero we Lwowie, tam na bocznicę stał kilka dni. Najpierw mogli wychodzić po wodę, nawet kilka razy rozmawiali po polsku z kolejarzami. P. zapamiętał krótką rozmowę: „Coście za jedni?” „Polacy”. „Polaków nie wywożą. To wyście są partyzanty”. „Jakie partyzanty? Samiśm się zgłosili, było wezwanie”. „Wy będziecie mieli gorzej jak wojsko”. I P. dodaje: sprawdziło się, jeńcy wojskowi pracowali 8 godzin, a my codziennie 9. Gdy brakło węgla, to palili w żelaznioku drewnem.

Przejechali przez Kijów, nie wiedzieli, czy jadą wciąż na wschód, czy na południe; potem 4 dni stali przed mostem na Dnieprze, a Dniepr szeroki był na kilka kilometrów. (Sprawdziłem na mapie: stali przed dnierprzańskim mostem na Jeziorze Krzemieńczuckim, to trasa kolejowa z Kijowa przez Czerkasy do Odessy). Pociąg powolutku – tup-tup, tup-tup, tup-tup, naśladuje tamten rytm P. – przejeżdża na prawy brzeg Dniepru. Ale oni o tym nie wiedzą, że to prawy.

I Małaja Wiska (Malowiska?) I

Na miejscu byli wieczorem, po 15 dniach podróży: wtedy jeszcze wiedzieli, który to dzień i miesiąc. Na mapach ZSRR znajduje się miejscowość Małaja Wiska w Obwodzie Kirowogradzkim. Ale po latach P. wymawiał tak: Malowiska; odmieniał w liczbie mnogiej: w Malowiskach. Chyba to jednak Małaja Wiska (tak po rosyjsku – a po



Z wujkiem Emilem Pankiem (w środku) podkuwał konie i wyklepywał narzędzia (Jan Pluta drugi z lewej)

ukraińsku?). Wówczas miasto większe od Pyskowic: tam duża cukrownia, dwie małe rafinerie ropy, śrutownia, zakład uzdatniania wody, mleczarnia. Na dworcu niektóre taszczone w plecakach rzeczy kazano im wyrzucać na ziemię, m.in. konewki i bańki, także garnuszki (ale P. po kilku minutach podniósł swój czerwony – „nikt nie zauważył”, cieszył się jeszcze teraz).

Z dworca szli do obozu pół godziny. Zostali zakwaterowani w 3 budynkach, stajniach końskich (na podwórzu biegały jeszcze źrebięta). Ściany były pobielone wapnem, spali na deskach na ziemi („jeden obok drugiego jak śledzie”), przykrywali się kocami, płaszczami, co kto miał z sobą. Potem zrobiono także piętrowe leża: tam wyżej było P. znacznie lepiej. Przez pierwszy dzień siedzieli zamknięci, nie dostali też nic do jedzenia. Ilu ich tam było? Około 600. Potem zostali zaszczepieni – i to kilka razy. Co P. dziwiło jeszcze po czterdziestu paru latach? Używano igieł jednorazowych (pod koniec szczepienia była „cała hołda igieł”). I przebadani przez dwóch lekarzy. P. został uznany, mimo okazywanych dokumentów lekarskich i innych papierów (oddano mu je wszystkie, gdy odjeżdżał do domu), za zdolnego do pracy.

Podzielono ich na grupy według zawodów, przepytano, choć już nie tak docieklawie, jak w Łabędach. Pytano P., gdzie ojciec pracował. Murarz, zmarł w 1941 roku. Ile miał pieniędzy w kasie oszczędności? Nic. Jakie ma obywatelstwo? Wiadomo: Rzeszy Niemieckiej. To wiemy, ale do jakiej narodowości się przyznaje? P. i inni zorientowali się,

że to nie są takie sobie pytania. Jak w domu mówiono? Przeważnie po polsku. A poza domem? I po polsku, i po niemiecku. Kiedyś jeden z przepytujących kazał P. powiedzieć po polsku *Ojciec nasz* i *Zdrowaś Maryjo*. „Porzykołech jak w kościele” – przypomina sobie P. Od wszystkich pobrano odciski palców (aż trzy). Obozu pilnowali wojskowi z pistoletami, były trzy wieże strażnicze, ale tylko do końca wojny.

Do pracy grupę prowadzili uzbrojeni mundurowi, po 11 maja – tylko „chop z kryką”. Bo dokąd by uciekli? Czy ktoś by się odważył? P. na pewno nie. W budynkach-stajniach były kotły: gotowano w nich zupę. Po tygodniu wszyscy mieli już przydział do pracy: każdy internowany miał swoją blaszkę z numerem, przyczepioną do ubrania drucikami. P. trafił do grupy kowali i ślusarzy. P. zapamiętał dzień 19 marca 1945 roku: tego dnia po raz pierwszy poszedł do pracy na ranną zmianę, do spirytusowni. Po kilkunastu dniach przeniesiono go na nocną (od trzeciej do północy) do warsztatów w cukrowni (czasem i w innych miejscach). Wykuwał narzędzia, części do maszyn, remontował maszyny i kotły. W obozie kilkunastu znajomych z Łubia: m.in. wujek Emil Panek, Walenty Szczurek (brat Brody-Szczurka) – powstaniec z 1921 roku, Gwóźdź, Giese, Pruske, Kranz, Kamieniorz.

Nie, nie byli bici ani specjalnie poniewierani. W maju P. zachorował: dostał wysokiej gorączki, lekarz dał mu jeden dzień zwolnienia; a potem przez dwa dni nic nie robił: brygadzysta pozwolił mu przeleżeć całą dniówkę obok maszyny w ciepłej hali. Dobrze go pamięta, to inżynier, Ukrainiec, niekiedy wykuwał mu jakieś pręty, prostował rurki, złego słowa nie może o nim powiedzieć. Tylko jedzenie było bardzo kiepskie. Rano dostawali zupę i gielnik chleba (100 g), a jak się wojna skończyła, to drugi raz o pierwszej talerz zupy i kromki. Gdy pracowali w niedzielę (a pracowali „prawie we wszystkie”), to dostawali w stołówce dodatkowo talerz kaszy. Raz nawet (nie pamięta, czy w czerwcu, czy w lipcu) wypłacono niektórym pobory; P. dostał 800 rubli. Na bazarze oficer polityczny kupował im chleb („trzeba mu było dać za drogę”). P. pamięta, że chleb kosztował 40 rubli, a kostka masła 25. Gdy wyjeżdżali do domu, to na drogę kupił sobie chleb i kilo masła, a po 50 rubli dał wujkowi Emilowi i Kamieniorzowi, którzy nie dostali za pracę w obozie ani kopiejki.

I Niech żyje nasz dobry ojciec Józef Stalin I

Do pracy wychodzili z obozu grupami. P. był w dziewięcioosobowej. Kilka razy mogli pójść do pobliskiego lasu – m.in. zbierali chrust na miotły. Kiedyś mocno się przestraszyli, bo nagle

usłyszeli strzały, wybuchy, już się ściemniało, na niebie kolorowe błyski. Położyli się na ziemi i czekali, aż się skończy strzelanina, ale ktoś z miejscowych ze śmiechem powiedział im, że strzelają na wiwat, bo wojna się skończyła. A potem w obozie jeden z mundurowych powiedział: „Adolf się zastrzelił”. Nie Hitler, tylko Adolf. Przez trzy dni i oni świętowali: nie szli do pracy, dostali dodatkowe porcje chleba (1 bochenek na 8 mężczyzn – to też P. zapamiętał). Na szczytowej ścianie stajni malarze napisali po niemiecku czerwoną farbą: **Niech żyje nasz dobry ojciec Józef Stalin**. Wymalowali także śląską granicę, ale taką jak przed wojną: po prawej Katowice, a po lewej Bytom, Zabrze i Gliwice. Major, trochę podпиты, kazał im śpiewać niemieckie piosenki. Niektórzy śpiewali *Już przyszedł maj*, ta najbardziej się majorowi podobała. P. śpiewał z innymi po polsku (nie pamiętał dobrze słów, ale szybko się nauczył): *Szła dziewczeczka do laseczka* i *Szli powstańcy w bój*. Wiedział już i P., że lepiej być w obozie Polackiem niż Giermańcem; Polacki, szeptano, pojedą wkrótce do domu. Jednak majorowi bardziej podobało się śpiewanie po niemiecku, ale go nie słuchali, tylko śpiewali po polsku. Każdy jak umiał. Czy w tej ciszy wieczornej usłyszano ich na Górnym Śląsku? Nie, nikt.

I I P. zapisuje się do Związku Antyfaszystowskiego, pisze listy do żony I

Nic nie wiedzieli, co się dzieje poza obozem. W hali był głośnik, ale wszystko nadawano po rosyjsku. Kiedyś P. znalazł kawałek gazety polskiej, wydawanej – jak mówiono – przez ambasadę polską w Moskwie, raz – Neues Deutschland, ale komendant zabronił czytania gazet, potem już nie przychodziła ani niemiecka, ani polska. W obozie był też przedwojenny redaktor gliwickiej gazety, on to chyba – jak przypuszczał P. – namówił oficera politycznego, by internowani wstąpili do Związku Antyfaszystowskiego. Szeptano, że to może przyspieszyć zwolnienie. Było to jeszcze w kwietniu: w niedzielę odbyło się zebranie, oficer przyniósł gruby zeszyt, na okładce którego dużymi literami wypisano: Antifaschistischer Bund. Oficer zachęcał, by się wpisywali. Wszyscy z grupy, ok. 30 osób (z wyjątkiem jednego z Łabęd), wpisali się bez ociągania.

W obozie była czerwona skrzynka pocztowa. Zachęcano ich, żeby pisali listy do domu. P. napisał trzy listy (ostatni chyba w lipcu), ale ani jeden do żony nie dotarł. Najpierw napisał po niemiecku („Ich liebe, ich bin gesund”), ale inni mu poradzili, żeby lepiej po polsku. Tak, mówił po śląsku, ale po polsku nie uczył się pisać, chodził tylko do szkoły niemiec-



kiej, inni mu pomogli. Napisał tak: „Kochana żono Rózo! Ja żyję, jestem zdrowy, pracuję, czuję się dobrze, a życzę wam tego samego”.

I Skoro damoj, damoj I

Kiedyś w lipcu szli do pracy, minął ich wojskowy samochód z wesołymi wojakami: krzyczeli, że jadą bić Japończyków. Pytali, czy oni Niemcy, czy Polacy. Polacy, wykrzyknął któryś. Jak Polacy, to skoro damoj, damoj! Oni się tylko roześmiali, bo co oni tam, przejeżdżający przypadkowo drogą, mogą wiedzieć. Właściwie to nie wiedzieli, czy to jeszcze lipiec, czy już sierpień, wiedzieli tylko, który to dzień tygodnia. Poza obozem koszone już jęczmień i żyto. A tu nagle wszyscy gadają, że pojadą do domu. Ci, co znaleźli się na liście, zostali przebadani przez dwóch lekarzy emerytów (z Moskwy oni – mówiono). Kto chory, zostawał aż do wyzdrowienia.

Potem na apelu, gdy wyczytywano nazwisko i imię zwalnianego, trzeba było szybko podać imię ojca. Kto nie zdążył, albo się zamyślił, musiał opuścić grupę. P. tak był przejęty, że bał się, że i on nie odpowie natychmiast – syn Piotra: „jo się zabamacił, potem mi się wspomniało” (jeszcze po latach jest z tej chwili dumny). Żegnała ich na placu kapela. Na dworzec szli pieszo, a ich rzeczy wiozły dwa samochody. Na dworcu czekali tydzień na pociąg z Odessy: siedzieli w zadaszonych wagonach towarowych, które nie miały bocznych ścian. Na drogę dostali kilka słonych śledzi. P. miał także chleb i masło. Wody nikt im nie wydzielał. I nikt ich już nie pilnował. Dlaczego mieliby uciekać, wszak jadą do domu?

I Z Krakowa do Prus Wschodnich I

Pociągiem z Odessy przyjechali także kontuzjowani żołnierze Wehrmachtu, których zwolniono do domu. W osobnym wagonie siedzieli poznaniacy, którzy do lewej kieszonki niemieckiego munduru mieli przypięte białe-czerwone wstążki. Po kilku godzinach zatrzymali się na dużym dworcu, kazano im wysiadać. Więc wcale nie do domu? Zaprowadzono ich do łaźni parowej, ubranie zabrano na kilka godzin – nazywało się to odwyszawianie.

Potem jechali kilka dni bez przerwy – aż do Krakowa. P. (jak i inni wracający z Ukrainy) był właściwie wolny, ale starsi zabronili im opuszczać wagon, a po drugie – nie mieli dokumentów ani pieniędzy na bilet. Ale i tak – wspomina P. – ponad 100 mężczyzn uciekło. P. nadal słuchał starszego Bednorza. Doczepiono ich wagon do innego składu: jeszcze nie wiedzieli, że zostali po raz drugi internowani, tym razem przez polskie organa (P. nigdy się nie dowiedział, czy bezpieczeństwa, czy cywilne). To przecież zburzona Warszawa, mówili niektórzy, gdy przejeżdżali przez Wisłę po drewnianym moście.

Dokąd jadą? Znowu do Rusji? Po wielu godzinach ktoś odczytuje, że przejeżdżają przez Wilno, potem ktoś krzyczy: Kaunas. Dowiadują się, że jadą do Prus Wschodnich. (Czy to w ogóle możliwe, że jechali tak okrężną trasą, a nie przez Olsztyn?). Wychodzą z wagonu i widzą niemiecką nazwę stacji: Preussisch Eylau. Idą kilkanaście kilometrów, po drodze mijają drogowskaz: Königsberg 23 km. Gdzieś tam siedzą w domach kilka dni, potem wyruszają pieszo na południe, ktoś mówi: do Polski. W Poczdamie wytyczono już nowe granice (o Pocz-

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny
Punkt Przyjęcia
Ława

Zaświadczenie № 217493

Zaświadczam niniejszym, że ob. *Pluta Jan. T. Piotrowicz*
(nazwisko, imię, imię ojc.)
z. 2. 1907. Lubie. pow. Gliwicki. woj. Śląski
(rok i miejsce urodzenia)
przybył do Polski z terytorium *2. B. R. B.*
i dnia *10. 9. 1945* r. zarejestrował się na Punkcie
Przyjęcia w *Ławie*
Obecnie udaje się do *Pyskowic*
(określenie adresu)
Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia
op. *Pluta Jan.* ma pierwszeństwo i prawo
jedenorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do
Pyskowic. pow. Gliwicki.
Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej
idącej pomocy okazicielowi niniejszego.

UWAGA:
1. Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest
zameldować się w Miejsce Obywatelskiej w terminie
do 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia
i do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania.
Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno
być wymienione w miejscu stałego pobytu – na
dowód tożsamości.

 7798
Kierownik Punktu Przyjęcia
Alenka

Ważne do dnia *1. 10. 45*

220.000 - VI 45 - Druk. Min. Rep. Publ. - Łódź

**Zaświadczenie wystawione przez
Państwowy Urząd Repatriacyjny dla
powracającego z deportacji Jana Pluty**

damie i granicach nic nie wiedzą): Ława Pruska będzie w Związku Radzieckim. Jadą pociągiem kilkanaście godzin, wysiadają na stacji Ława.

Potem przez 7 tygodni pracują przy żniwach: jedni koszą, inni młócą, jeszcze inni (jak P.) naprawiają żniwiarki i młockarnie. Najpierw mieszkają w wojskowych namiotach, potem w opuszczonych domach, a gdy przybywają osadnicy (i im proponują jacyś urzędnicy, by zostali: dostaną ziemię i domy) – w pustych, czystych kurnikach, starannie wybielonych wapnem. Już nie głodują: mają kartofle, żyto, kiszą żur, uruchamiają śrutowniki, mają więc grubą mąkę i sami pieką chleb. Gdy wyjeżdżają do domu, P. dostaje dwa bochenki: jeden przywiózł do domu. Być może i ja zjadłem 8 października 1945 roku kromkę podławskiego chleba z masłem podgliwickim. Pod Ławą pilnują ich jacyś mundurowi i cywilni, P. do dziś nie wie, czy to byli wojskowi, czy policjanci, potem za kierownika uważa się nauczyciel z Warszawy, wymachujący często pistoletem (to on bardziej pokrzykuje, popędza, czasem wyzywa niż ci pod Kirowogradem).

Na początku października 1945 roku przyjeżdża z ławy fotograf: wszystkim po kolei robi zdjęcia legitymacyjne. Po kilku dniach dostają zaświadczenia ze zdjęciem: P. czyta, że przybył z ZSSR i 10 sierpnia zarejestrował się w Punkcie Przyjęcia Państwowego Urzędu Repatriacyjnego Rzeczypospolitej Polskiej w Ławie, że zaświadczenie upoważnia do „jedenorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji” do miejsca zamieszkania.

Jadą pociągami do Poznania; Bednorz wciąż z nimi. W Poznaniu w nocy czekają na pociąg do Katowic, drzemią na schodach przed dworcem. W Katowicach każdy idzie w swoją stronę. P. jedzie do Gliwic, nie widzi już Bednorza („nogle się stracił”). W Gliwicach przed dworcem P. spotyka znajomego z Łubia, który został w urzędzie gminnym gońcem: rowerem wraca wcześniej i zawiadomia żonę. Coraz bliżej: P. jedzie pociągami do Pyskowic – z dworca do domu tylko 6 km. Na skrzyżowaniu ulic, obok szkoły górniczej, żegna się z ostatnim współinternowanym, masarzem Maśnicą: tamten idzie prosto na wschód, do Zawady, P. w lewo na północ, teraz do domu tylko 4 km.

Po trzech kilometrach, tuż obok ceglanego transformatora (w lewo droga na Sroczą Górę, a w prawo najkrócej do majątku) spotkał żonę: wiedziała, że wraca. Teraz ona zarzuciła na plecy ruzak, prawie go nie poznała: taki wychudzony, przestraszony, nieogolony. Ale to nic, najważniejsze, że w przeddzień swoich 38. urodzin znowu był w domu, po prawie 240 dniach „dwutygodniowych robót za frontem”. I tak mu się udało: inni wrócili później, niekiedy po kilku latach, a niektórzy nie mogą dojechać do dziś.

I Dopisek optymistyczny I

PUR-owskie zaświadczenie przydało się P. później kilka razy; to był jedyny dokument potwierdzający, że (jak czasem żartobliwie opowiadał) też w 1945 roku był repatriantem. Gdy w 1972 roku składał wniosek o emeryturę, brakło mu do tzw. ciągłości pracy sporo miesięcy 1945 roku. Urzędniczka w „Bumarze-Łabędach” nie chciała uznać ławskiego papierka, poprosiła więc o rozstrzygnięcie wątpliwości sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR. Sekretarz (P. zwracał się do niego jak inni niepartyjni: panie towarzyszu sekretarzu) zapytał uprzejmie, czy był w ZSRR w niewoli, czy też zgłosił się do pracy dobrowolnie. Dobrowolnie na rozkaz, powiedział zgodnie z prawdą P. I dodał, że raz nawet dostał wypłatę, 800 rubli. Uznać, orzekł stanowczo sekretarz. I potem ZUS w Zabrze też uznał. ■

HENRYK WANIEK

WSPOMNIENIA Z

RAJU

Jeśli ma dojść do wojny, to niezależnie od tego, która strona zwycięży, jest pewne, że tak dla zwycięzców, jak pokonanych jej wynikiem będzie żniwo nędzy i cierpienia.

Neville Chamberlain – 31 lipca 1939

Rozpocznę od wojennego, pośpiesznego chrztu w kościele Salezjanów, na który dwa lata później spadła amerykańska bomba. A więc świadectwo chrztu (i metryka urodzenia) stracone. To, że się w ogóle urodziłem, potwierdziło dopiero przed sądem dwóch świadków, gdy miałem pójść do szkoły. Zażądano metryki i stąd ten sąd, który mnie skazał na życie.



Zacznę tę opowieść od dzieciństwa, które jest jedynym rajem danym człowiekowi. W inne nie wierzę, bo za prawdziwy uważam tylko raj dzieciństwa, które postrzega świat czystym okiem. Jego horyzont jawi się jako wielki, święty i silny. Ale biologia jest nieugięta. Archanioł-służbiśta bez ceregieli popycha nas do wyjścia, za którym zanurzamy się w ciemność i jasność; w sprawy strzeliste i nikczemne; w piekło życia i przemijania.

Mój raj trafił na grunt wojennego i powojennego chaosu. Wystarczy mi, co widziałem, słyszałem oraz to, że spotykałem tych, co widzieli i słyszeli więcej. Koloryzowali czasem, ale na ogół mówili prawdę. Ich historie stały się także moimi.

Nie byłem oczywiście świadom, co dzieje się na dalszych planach. Może już liczyłem do dziesięciu, ale nie do setek zdruzgotanych miast i milionów ludzkich ofiar. Stłuczone kolano bolało silniej niż zmasowana krzywda, o której nic nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia o zwyciężonych i zwycięzcach. Zaledwie przeczuwałem, że coś się dzieje. Słyszałem jakiś jęk. Ale co oznaczał? Trwogę czy triumf? Z rajskiego punktu widzenia nawet groby, gruzy i niewypały są klejnotami. Podstępne piękno munduru prześciga się z pięknem zabijania, a wszystko to łni cudem rajskiego ogrodu.

Filmy mojego dzieciństwa (to jasne, że głównie radzieckie) pękały w szwach od wybuchów, którym w nos śmiali się nieśmiertelni bohaterowie, a nieprzyjacieli słał się trupem. Nad wszystkim powiewał nieodłączny sztandar i to jawiło się jako wzniosłe i proste. Tylko język dorosłych – tych nieznośnych intruzów na terenie dziecięcej wolności – zgrzytał czymś niejasnym. Wbrew doniosłym tonom kroniki filmowej imię Stalina budziło skurcz na ich twarzach. Stalin był piękny w białym mundurze i kochał dzieci. Żaden ojciec mu nie dorównywał. Rodziców zjadała zazdrość.

Bły też sprawy inne, równie tajemnicze. Na przykład słyszałem w domu często to słowo – lagier. Oświęcim. Moja matka była stamtąd. Młodość spędziła w późniejszym bloku 12. Po tak zwanej ewakuacji już tam nie wróciła. W październiku 1939 roku zamieszkała z matką i braćmi w domach sąsiadujących z dawnymi koszarami. Później hitlerowcy wysiedlili ludność polską do miasta. Tym sposobem urodziłem się w Auschwitz, tyle że po drugiej stronie Soły. Jako dwu-trzylatek wdychałem tamtejsze dymy. Mówiono, że się tam paliło ludzi. Straszne obrazy budziło to w głowie dziecka.

Ale to dawne dzieje. Same początki raju, z którego pamiętam niewiele. Może tylko wybuchy bomb, które Amerykanie zrzucili niecelnie na miasto, zamiast na zakłady Buna-Werke. Efekt był hucz-

ny. Podmuchał z trzaskiem drzwi schronu tak dobitnie, że mi to pozostało w pamięci. Jak więc miałem wtedy rozumieć, że mój raj zbiegł się w czasie i przestrzeni z miejscem zagłady? Że znajdował się w piekle. Zrozumiałem to dopiero później, niepewnie kojarząc słowa, przedmioty i miejsca.

Dwa lub trzy dni po wyzwoleniu lagru i całego Oświęcimia matka wsadziła mnie do wózka i przez zalegające śniegi (styczeń 1945 był najprawdopodobniej zimą stulecia) na piechotę udała się do Katowic, gdzie miał się ukrywać mój ojciec. Nie wiedziała ani nie widziała, że niemal nazajutrz po wyzwoleniu obozu przez Armię Czerwoną zrobiono tam następny lager, czyli łagier, na co najmniej dwa lata. Chłopcy w polsko-radzieckich mundurach zajęli miejsca opuszczone przez SS. Obóz jakoby dla jeńców niemieckich, volksdeutsche i zdrajców.

Z powodów, których się domyślała, ale nigdy nie wyjaśniła do końca, trafiła tam też moja babcia. Nie była jeńcem ani volksdeutchem, tylko żoną przedwojennego polskiego wojskowego. Trafiła tam, na szczęście, na niedługo. Zachorowała na tyfus i jakimś cudem udało się ją wyciągnąć. Przeżyła. Znam więc jej opowieści o pierwszych tygodniach odrodzonej Polski w wolnym Oświęcimiu. W fliach dawnego KL Auschwitz – w Mysłowicach czy Świętochłowicach – nie było inaczej. Na tych poligonach wykluwały się elity nowej władzy. Nowy Herrenvolk.

Do finalnego upadku III Rzeszy zostało kilka miesięcy. Niemcy nie stawiali oporu w Katowicach. Miasto przez półtora dnia było bezpieczne. Armia Czerwona wkroczyła do miasta tego samego dnia co do Oświęcimia – 27 stycznia. Pamiętam, że blisko dzisiejszego Spodka istniał cmentarz żołnierzy radzieckich (zlikwidowano go potem, by postawić Pomnik Powstańców Śląskich). Mniej więcej 60–70 mogił. Dużo jak na miasto zajęte bez wystrzału. Domyślam się od czego ginęli: od wcześniejszych ran, chorób, wypadków, ze starości. Mój ojciec widział, jak oficer sowiecki zastrzelił szeregowca pładującego wagony na bocznicę.

Z kolei na moich oczach z samochodu, który przyjechał po chleb, pijany nieborak spadł i więcej nie wstał. Możliwe, że go tam pochowano. Że pili do utraty tchu, to łatwo zrozumieć, bo nikt tak nie chleje jak wojsko. Wszystko: piwo, wino, etanol spożywczy i techniczny, denaturat, a nawet trujący alkohol drzewny. Może to prawda, że po wejściu do obozu oświęcimskiego najbardziej spragnieni wypijali formalinę z ludzkich preparatów, zbiorów osławionego doktora Mengele? Ktoś mówił, że to widział, ale czy można mu ufać? Dzikosć wojny deformuje ludzkie zachowania, ale także inspiruje dzikie konfabulacje.



Rynek w Katowicach w 1945 roku

Ale było jak było. Po pięcioletniej zapaści świat bliższy i dalszy na powrót stawał się Polską. Jeszcze pozbawioną kształtu zewnętrznego i wewnętrznego, zależną od sowieckich instancji, związaną przez prawo wojenne, ale pełną nadziei. Nie chcę powiedzieć, że to rozumiałem, bo nie rozumiałem niczego, a już najmniej to, że zajęliśmy pokoje wypełnione meblami po kimś, kto wcześniej w nich mieszkał.

Zamiast zasypiać, gdy gaszono światło, moja percepcja cztero-pięcioletka zauważała mroczne sylwetki – za dnia niewidzialne – Josefa Weinholda, jego małżonki, może nawet syna, który nie wrócił spod Stalingradu. Pewnego dnia udali się w nieznane, każde z walizką osobistych rzeczy nieprzekraczającą dziesięciu kilogramów. Ten proces różnie nazywano – wysiedlenie, przesiedlenie, wygnanie – ale żadna nazwa nie odda pełni dramatu, jaki się pod nią ukrywa. Ani nie jest w stanie zasłonić kłamstwa, które na nim budowano. Nie dziwiłbym się, gdyby nie przeżyli tej wyprawy. Niedaleko Katowic znajdował się obóz dla wysiedlanych Niemców. Dopiero dzisiaj, i z oporami, wyłania się prawda o Świętochłowicach. Lepiej było nie być Niemcem w tamtym czasie.

Nie mogę wykluczyć, że Weinholdowie mieli jakieś czapki niewidki (dla mieszkańca raju to coś

oczywistego), zatem ich widma pozostały na miejscu, podczas gdy ciała realne podzieliły los reszty niemieckich Ślązaków. W ciemne wieczory jako fantomy współmieszkali z nami, a przede wszystkim ze mną, na czwartym piętrze kamienicy w centrum Katowic. Z upływem czasu malała ich wyrazistość, aż się rozplynęli. A na dowód ich realności zostały tylko karteczki z nazwiskiem Josef Weinhold i adresem, przyklejone do spodniej strony krzesel, na wewnętrznych drzwiach kredensu, szaf i spiżarek.

Świat odetchnął po koszmarze wojny. Ale wojny nie da się wyłączyć naciśnięciem guzika jak elektryczność. Najpierw zwycięzcy tryumfują. Później otwiera się worek z defiladami. Przywódcy państw składają podpisy na paktach i wyrokach. Huty nie nadążają z produkcją medali. Najpierw nieśmiało, a potem na całego rusza produkcja pomników. A w powietrzu unoszą się drżenia rozpętanej energii. Przez rzeczywistość przebiegają napięcia. Odbывают się porachunki, rzekomo finalne. Ale do końca jest jeszcze daleko. Czasem coraz dalej.

Polityczny targ w Jałcie, przypieczętowany w Poczdamie, to był wielki demontaż świata. Głównie Europy Środkowej. Teoretycznie, jako zasłużony



Już w lutym 1945 roku odsłonięto w Katowicach obelisk ku czci Armii Czerwonej

odwet na winnych wojny, miał osłabiać pokonane Niemcy. W praktyce – podobnie jak przy okazji traktatu wersalskiego – był początkiem łańcucha, telepiącego się jeszcze do dzisiaj. Stalin zacierał ręce. Cud, że się to nie skończyło trzecią wojną, o której słyszałem od dzieciństwa. Przekonani, że są świetnymi znawcami polskiej historii i ziemi – bo znali ją z map niemieckich, rosyjskich, austriackich – sowieccy, amerykańscy i angielscy dygnitarze wyczarowali nowy porządek przestrzenny.

Ale coś już zacząłem pojmować. Nastawiałem uszu, gdy rodzice zniżali głos. Nigdy tyle nie szepetano. Patrzyłem wokół. Rozpoznawałem pozarajskie terytorium dorosłych. To wszystko było nie-

pojęte. Niewiele wcześniej, kilka kilometrów na wschód od Oświęcimia, biegła granica Generalnego Gubernatorstwa, a nieco na północny wschód jeszcze dawniejsza granica cesarstw: niemieckiego, austriackiego, rosyjskiego. Z kolei na zachód od Katowic – granica II Rzeczypospolitej i III Rzeszy. Wszystkie te granice, odgradzające terytoria własne od cudzych, przestały istnieć, chociaż jeszcze je pamiętano.

Dla tych, którzy mniej pamiętali lub którym natura tej nowej przestrzeni była obojętna, liczyły się własne rany i krzywdy. Wiedzieli, że trzeba żyć na tej powojennej ruinie, zanim nie zarysuje się nowy świat. Proces ten należy uznać za powojenny podział łupów, ale w doświadczeniu jednostki była to deprywacja: pozbawienie prawa do miejsca i tożsamości. Ale coś ma począć jednostka, gdy przebiegłość zwycięzców wytrząsa świat z jego naturalnych ram, łapiąc jego resztki w inne, prowizoryczne konstrukcje. Towarzyszy temu żonglerka symbolami nazwniczymi lub państwowymi, slogany i kłamstwo w żywe oczy.

Dzięki tej zorganizowanej anarchii, przypisującej sobie prawość, mój raj był Śląskiem, choć brzmi to humorystycznie, bo Śląsk wtedy (jak wcześniej i później) to żywe przeciwieństwo raj. Należałoby dodać, że Śląsk Górny, ale przymiotnik ten nie ma dziś pokrycia w faktach, dlatego poprzestaję na samym rzeczowniku.

Następne wspomnienia są bardziej radosne: ruski żołnierz grający na harmoszcze; wesołe miasteczko z diabelskim młynem; pełne zapachów paczki UNRRA; stopy książek z poniemieckiej biblioteki muzealnej. Moje dzieciństwo w mieście, które nie zaznało wojennego uszczerbku. Jedyne zniszczenia w Katowicach, już po wyzwoleniu, spowodowali cywilni i mundurowi szabrownicy.

Tyle, że po raz drugi w ciągu pięciu lat Katowice straciły połowę mieszkańców. W roku 1939, zgodnie z zaleceniem rządu, ewakuowała się część Polaków. Część pozostała, a niedostatek uzupełnili Niemcy, głównie ci, którzy opuścili Katowice po roku 1922, gdy je przyłączono do Polski. Na początku 1945 roku uciekli Niemcy, przeczuwający co będzie niebawem. Ci, którzy mieli czyste sumienie, zostali aż do wysiedlenia. W głowie prezydenta Roosevelta, churchillowska teoria uściśliła dłoń stalinowskiej praktyce. Cały naród odpowiedział „tak” na pytanie, czy w zamian za odebrany mu szmat kraju chce dostać terytoria wzięte innym. Tak, tak, tak! Kto by nie zechciał? Pytanie retoryczne, ale na wszelki wypadek wyniki referendum sfałszowano.

Na zachód od Katowic, za przedwojenną granicą Rzeszy, gdzie już krasnoarmiejcy nie krępowali

się ani trochę, widywało się spalone i zrujnowane miasta. Propaganda wymyślona przez ćwierćinteligentów i do tychże adresowana, trąbiła o ich powrocie na łono macierzy. Ale też traktowała je jak zdobycz kolonialną, łupiąc bez opamiętania.

Przedwojenna polska część Górnego Śląska na szczęście zachowała stan nienaruszony. Oczywiście, dotyczy to wyłącznie krajobrazu, przede wszystkim krajobrazu przemysłowego. Co do stanu ludności, organizacji życia i urzędów komunalnych wojna zostawiła blizny. Powojenne operacje rzeźbiły nową rzeczywistość. Śląsk opróżniono ze wszystkich Ślązaków Niemców. Teoretycznie, bo w praktyce nigdy się nie osiąga wymarzonych stuprocentowych rezultatów i pod zmienionym repertuarem sloganów narodowo-ideologicznych coś tam zostało niemieckiego. Po sześćsetletniej symbiozie z cywilizacją i kulturą, która z obcej stała się własną, o gruntownej przemianie nie mogło być mowy. Szeptane prawdy zmieciono pod dywan, zepchnięto w ciemniejsze zakamarki życia społecznego i rodzinnego. Czuło się to, widziało i słyszało.

Mniej więcej co trzeci mój kolega w szkole podstawowej był półsierotą. Później do mnie dotarło, że to synowie żołnierzy Wehrmachtu, którzy trafili do niewoli, spoczęli w mogiłach lub zaginęli bez śladu. A do Wehrmachtu nie szło się przecież z własnego wyboru. Różnie się ratowano przed terrorem hitleryzmu, ale nawet ci z Górnos Ślązaków, którym się udało uciec z wojska niemieckiego i trafiali do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, jeśli wrócili do kraju, nie byli bezpieczni.

A zagrożenie szło zewsząd. Ludność cywilną wywożono z Górnego Śląska do kopalń i fabryk w ZSRR. Rzec można, że na Śląsku odbywały się regularne łapaniki. Nowy okupant sowiecki był od poprzedniego o tyle rozumniejszy, że robiąc to samo, ukrywał egzekucje i lepiej znał technikę pozorów. A przede wszystkim znalazł jednak polskich Quislingów i Petainów.

Trud powojennego życia był faktem ogólnokrajowym, choć na Górnym Śląsku miał postać szczególną. Krajobraz mojego dzieciństwa powleczono farbą, mającą przesądzać o czystej lokalnej polskości. Ale zawsze coś spod niej przeświecało, mimo surowych restrykcji. Wzmógł import ludności spoza Śląska nie zmienił faktu, że region był tworem cywilizacji i kultury niemieckiej. Ulice, domy mieszkalne, zakłady pracy, transport publiczny, wszystko było tu szyte na niemiecką miarę.

Polskość Górnego Śląska zachowała się głównie poza miastem. Wsie były polskojęzyczne, ale właściwiej jest mówić o dwujęzyczności, zważyw-



Do niedawna w tym samym miejscu stał pomnik Armii Czerwonej odsłonięty w 1947 roku

szy, że do 1922 roku niemiecki był językiem urzędowym. Tylko w domu czy w kościele trwał ów nieco dziwaczny dialekt, w różnym stopniu naznaczony niemieckim i czeskim, dla Polaków z zewnątrz nie całkiem zrozumiały, nie dość elegancki. Cóż, kiedy po wojnie z wiosek opolskich czy gliwickich wyrzucano Ślązaków niemieckich na równi z polskimi. Stalinowska sprawiedliwość gwizdała na etniczne niuanse. I miała niezłomnego sojusznika w iście megapolskiej gotowości, by wreszcie sobie porządzić. ■

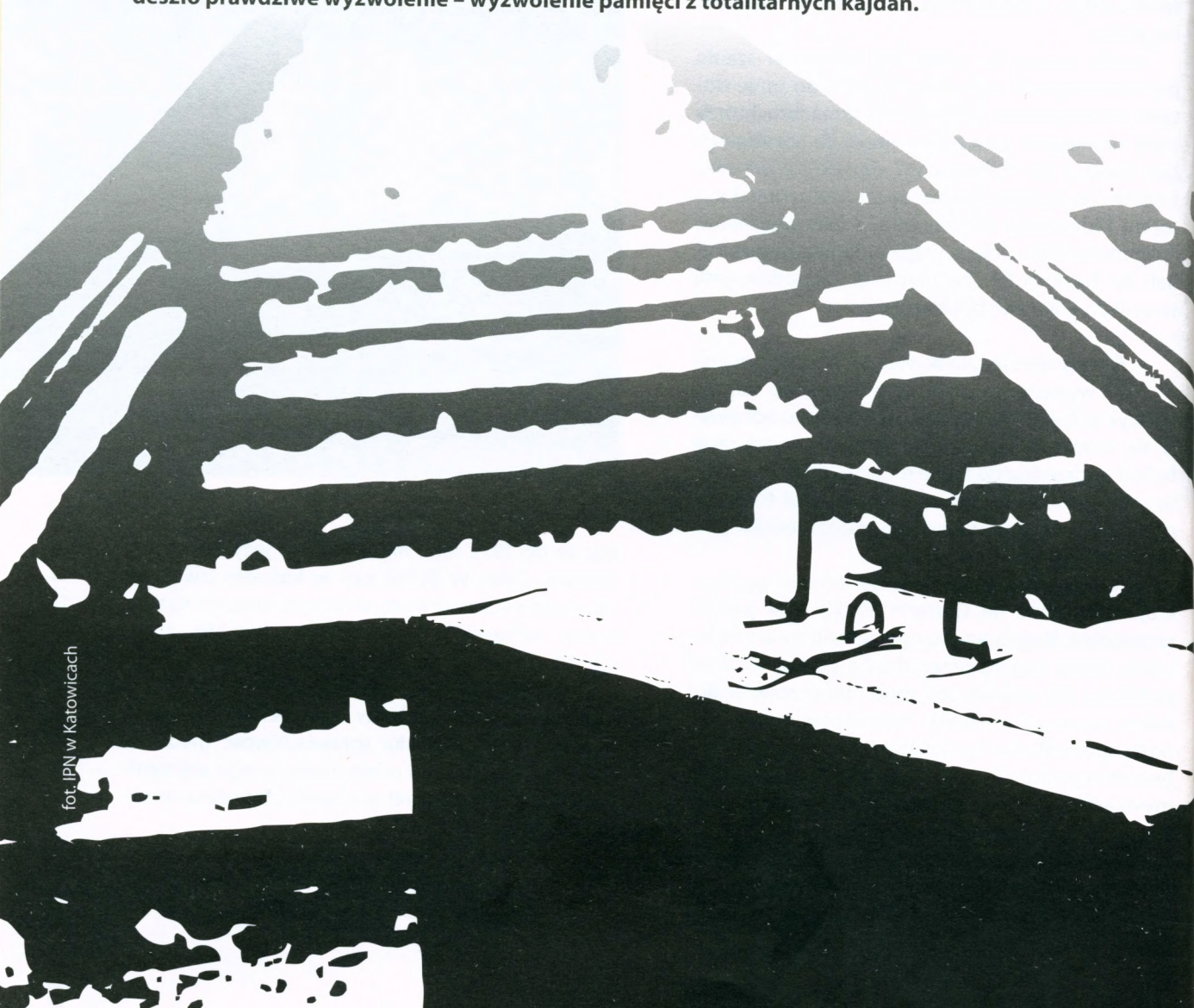
Henryk Waniek – malarz, grafik, pisarz i eseista, krytyk literacki, znawca filozofii i literatury mistycznej

SEBASTIAN ROSENBAUM

NISZOWA PAMIĘĆ, **GŁOŚNE ZAPOMNIENIE**

Rok 1945 przyniósł wymianę brunatnej dyktatury na czerwoną, zbrodnie sowieckie na ludności cywilnej, deportacje, demontaż i niszczenie przemysłu. Włodarze PRL chcieli obraz tego roku zastąpić mitem wyzwolenia. Ale wspomnienie jak było naprawdę, nigdy nie zginęło: pamiętano pomordowanych, gwałcone kobiety, rabunki i mężczyzn upychanych do krowioków. Musiało minąć półwiecze, aby nadeszło prawdziwe wyzwolenie – wyzwolenie pamięci z totalitarnych kajdan.

fot. IPN w Katowicach



Najpierw dwa przypadki osobistych relacji, które odbijają dwoistość losów górnośląskiej pamięci tak internirungu, jak i szerzej – pamięci sowieckich zbrodni 1945 roku.

I Dwie opowieści I

Gerhard Kokott miał 17 lat, gdy go internowano, z tysiącami mieszkańców Gliwic i powiatu gliwickiego, w obozie zbiorczym dla deportowanych w Łabędach. Nie należał nawet do Hitlerjugend, był gorliwym katolikiem i uczniem gimnazjum ojców werbistów w Nysie. W swoim dzienniczku zanotował pod datą 5 marca 1945 roku: „Wymarsz do Pyskowic. Ładują nas tam po 40 ludzi

zimy nie przeżył. Towarzyszący mu stryj dopisał w notatniku: „W sobotę 5 stycznia 1946 roku zmarł o godzinie 14.30, nie budząc się ze snu, w który zapadł o godzinie 10.00. Złączyłem mu dłonie, zawiązałem wokół palców różaniec, a 2 medaliki, które nosił przy sobie, zawiesiłem mu na szyi”.

W grudniu 1946 roku do rodziny Kokottów zgłosił się powracający z deportacji towarzysz Gerharda. Przyniósł niewielki zeszyt, w którym chłopiec prowadził lapidarne zapiski. Dziennik mógł przepaść w Donbasie, zaginąć podczas repatriacji, utonąć w szpargałach na strychu, trafić na śmietnik, zniknąć na zawsze, ale stało się inaczej.

W styczniu 1963 roku dziennik Gerharda Kokotta opublikowano (bez nazwiska autora) na łamach



fot. Bogdan Kulakowski

Gerhard Kokott miał 17 lat, gdy go internowano, z tysiącami mieszkańców Gliwic i powiatu gliwickiego, w obozie zbiorczym dla deportowanych w Łabędach (zdjęcie dzisiejsze osiedla, gdzie urządzono obóz)

do wagonów towarowych, które natychmiast ryglowane są z zewnątrz”. Po dwóch tygodniach transport dotarł w rejon Lisiczańska na wschodniej Ukrainie.

Jeden z uczestników podróży wspominał Kokotta, że „młodzieńczą pogodą ducha, niewinnością i niezepsuciem, nie dostrzegając i nie rozumiejąc ludzkiego zezwierzecenia i nienawiści, potrafił rozchmurzyć często tak mroczne twarze zrozpaczonych mężczyzn”.

Kolejne miesiące pobytu to praca, głód, wyniszczająca biegunka, opuchlizna, rosnąca apatia. Wiosna przyniosła polepszenie nastrojów. Ale 1 czerwca 1945 roku Gerhard zrobił ostatni wpis w dzienniku i więcej go już nie prowadził. Kolejnej

„Gleiwitzer-Beuthener-Tarnowitzer Heimatblatt”, niszowego pisma ukazującego się w Steinheim am Main w Hesji. Był to miesięcznik adresowany do byłych mieszkańców Gliwic, Bytomia, Tarnowskich Gór, zamieszkujących w Niemczech Zachodnich. Docierał do kilku tysięcy odbiorców, przynosząc wieści o stronach rodzinnych, materiały wspomnieniowe, osadzone zwykle w okresie międzywojennym, ale czasem dotykające dramatu roku 1945. Jaki by nie był ów „Heimatblatt”, dzięki jego łamom pamięć o losie jednego z deportowanych nie przepadła.

Z kolei Alois Widera był górnikiem z robotniczej dzielnicy Gliwic – Sośnicy. Niewiele o nim wiemy. W lutym 1945 roku, w tym samym czasie co Kokot-

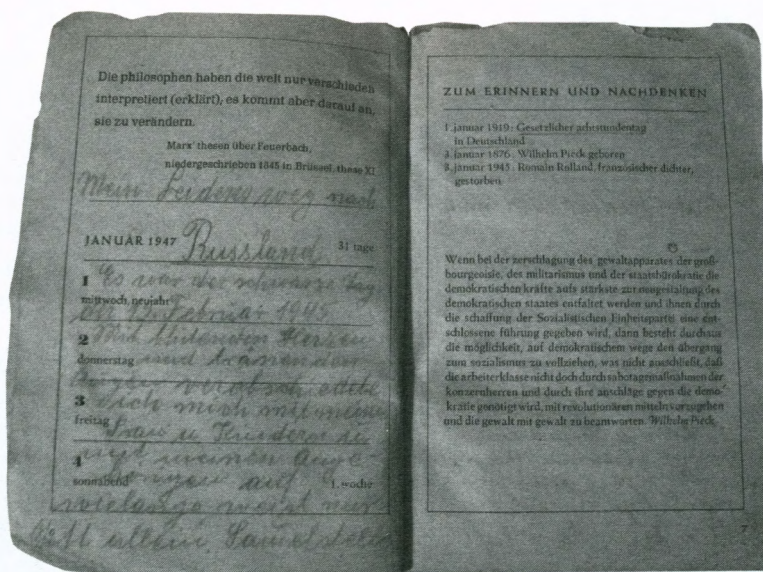
ta, internowano go, a następnie deportowano do ZSRR. Przywykły do ciężkiej fizycznej pracy Widera, inaczej niż delikatny, inteligentni Kokott, co prawda zapadł na zdrowiu, znalazł się na skraju wyczerpania, ale jednak przetrwał na zesłaniu.

W 1949 roku repatriowano go na teren sowieckiej strefy okupacyjnej, która już wkrótce miała stać się Niemiecką Republiką Demokratyczną. Tułał się po szpitalach i obozach przejściowych, imał się różnej pracy. Podczas pobytu w Lipsku wpadł mu w ręce kalendarzyk przyszłej monopartii NRD – Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED). Pod cytatem z Karola Marksa (z też o Feuerbachu) wzywającym, by filozofowie przestali interpretować świat, a zaczęli go zmieniać, Widera, ofiara radykalnej próby

kania w cieniu kopalni. Dalsze losy Widery da się opisać jednym zdaniem: potem poszedł na grubą i pracował do renty.

I Wspomnienia wypędzonych I

W Polsce Ludowej nie było nawet takiego „Heimatblattu”, gdzie Widera i jemu podobni mogliby opowiedzieć o swoich przeżyciach. Pozostała pamięć komunikatywna: rozmowy przy piwie, na geburstaku, z rodziną, kamratami. Albo, co równie częste, wyparcie tematu. Ze strachu, traumy, prostej chęci zapomnienia o koszmarze. To spełnienie idealnego scenariusza dyktatury: wyeliminowanie pamięci o zbrodniach sowieckich. Najmniejszy



fot. IPN w Katowicach

W kalendarzyku SED pod cytatem z Karola Marksa (z też o Feuerbachu) wzywającym, by filozofowie przestali interpretować świat, a zaczęli go zmieniać, górnik Widera z Sośnicy, ofiara radykalnej próby zmiany świata, spisał nieporadną, robociarską niemczyzną świadectwo swego losu

zmiany świata, spisał nieporadną, robociarską niemczyzną świadectwo swego losu.

Jego krótka i dość chaotyczna notatka to zapis prawdziwej rozpacz. Samotność z dala od rodziny, obsesyjnie powracające dźwięki kolędy *Stille Nacht* granej na „arkodionie”, a rozlegające się w głowie deportowanego, bo nikt przecież nie miał akordeonu w sowieckim łagrze. Boże Narodzenie, czyli – mówiąc za Oskarem Pastiolem, cytowanym przez Hertę Müller – cywilizacyjna brzytwa, której chwytą się internowany. Ale w dzienniczku sośniczanina są też obrazy zmarłych kamratów, których nagie zwłoki, gdy nie mieściły się w zmarzniętej ziemi, łamano, odrąbywano członki, by upchnąć w wąskich grobach. Choroby, głód, wycieńczenie – to, co zabiło Kokotta, Widerę doprowadziło do czarnej rozpacz.

Ale górnik z Sośnicy miał więcej szczęścia niż gimnazjalista z Szobiszowic i w końcu wysiadł na dworcu w Gliwicach, by pieszo dowlec się do mies-

cień nie mógł paść na „ojczyznę światowego proletariatu”.

W Niemczech Zachodnich panowała swoboda publicznej ekspresji, ale zarazem marginalizacja tematu. Dla niemieckich Górnoślązaków na pierwszym miejscu była opowieść o wypędzeniu z Heimatu przez Polaków. Dotyczyło to przynajmniej tych, którzy bezpośrednio po 1945 roku opuścili strony rodzinne: w ucieczce przed walcem Armii Czerwonej czy wskutek wysiedleń dokonywanych przez władze polskie od lata 1945 roku. To oni – wypędzeni – nadawali ton w ziomkostwach i lokalnych pisemkach.

Ale kolejna fala przesiedleńców z Górnego Śląska, chociażby ci, którzy przybywali do RFN w ramach tzw. akcji łączenia rodzin od 1957 roku, miała trochę inny bagaż doświadczeń. Pośród nich znalazł się np. Paul Habraschka, dla którego nie „wypędzenie” było traumą, a właśnie deportacje. Od końca lat pięćdziesiątych „późni przesiedleńcy” stanowili co-

raz liczniejszą grupę. Jednak ich opowieści nie przebiły się na plan pierwszy narracji ziomkowskich. Powieść Habraschki o deportacji (wydana w 1966 roku) pozostała marginalną ciekawostką, z rezonansem niemal wyłącznie w kręgach wysiedleńczych.

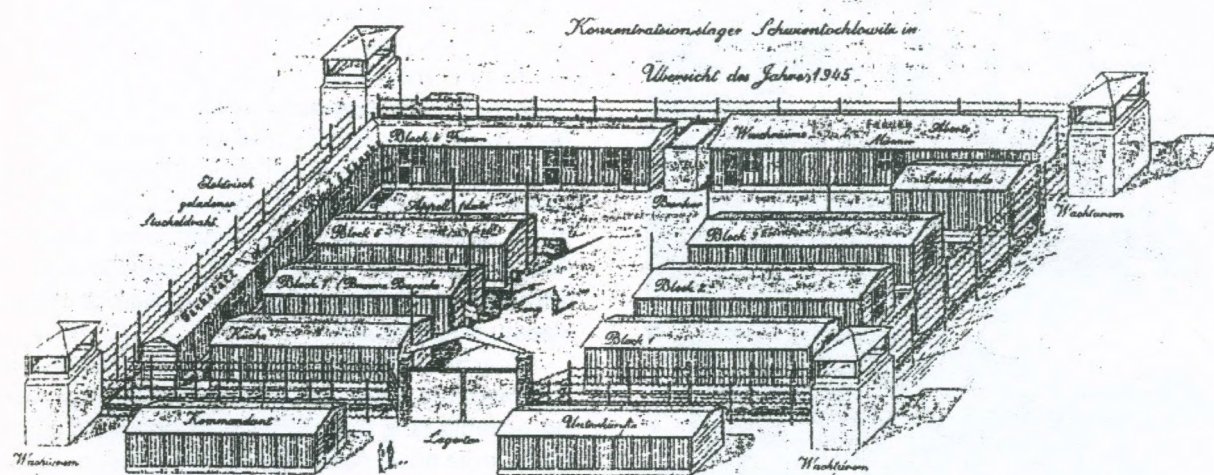
Swoboda wypowiedzi to za mało, trzeba jeszcze nagłośnienia tematu, jego eksploatacji – mnożenia tekstów, artefaktów, dyskusji w przestrzeni publicznej. Tego już zabrakło w Niemczech.

I Dwie narracje I

W tym czasie publikacje wydane w Polsce Ludowej, w których napomknięto o deportacjach, można było policzyć na palcach jednej

w którym nie da się wypowiedzieć publicznie swego cierpienia. Zadekretowane fałszowanie historii po 1945 roku budowało dystans między rządzącymi a rządzonymi, między sferą publiczną a sferą prywatną, między słowem pisanym a przekazem ustnym.

Dlatego rodzinna opowieść o „sowieckim raj”, poznanym zza drutu łagrów, snuta w czterech ścianach domu, wysadzała w powietrze narrację szkolnych akademii ku czci Armii Czerwonej i Wyzwolenia, które okazywały się spektaklami zorganizowanego kłamstwa. Z tego powodu krach systemu komunistycznego zaznaczył się tak mocno na płaszczyźnie świata wyobrazonego, czyli w obrazie historii regionu.



Szkic obozu w Świętochłowicach-Zgodzie (ze zbiorów IPN w Katowicach)

dłoni. Katastrofę godną epickiej monografii zamykano okrągłą frazą, w najlepszym razie kilkoma neutralnymi zdaniami, w których gubił się sens tragedii (jak przykładowo w socjologicznej pracy z 1946 roku autorstwa Stefana Golachowskiego i Huberta Sukiennickiego).

Natomiast o masakrze w Miechowicach, gdzie czerwonoarmiści wymordowali ponad 300 osób, o masowych gwałtach, demontażu infrastruktury przemysłowej można było poczytać, ale co najwyżej w archiwach. Siedzieli w nich towarzysze historycy zajmujący się pisaniem fantazji o „wyzwoleniu”, potędze ruchu robotniczego, poparciu dla PPR, o „reakcyjnych bandach” i zbrodniczym Werwölfe, byle nie o tym, co najbardziej boleło.

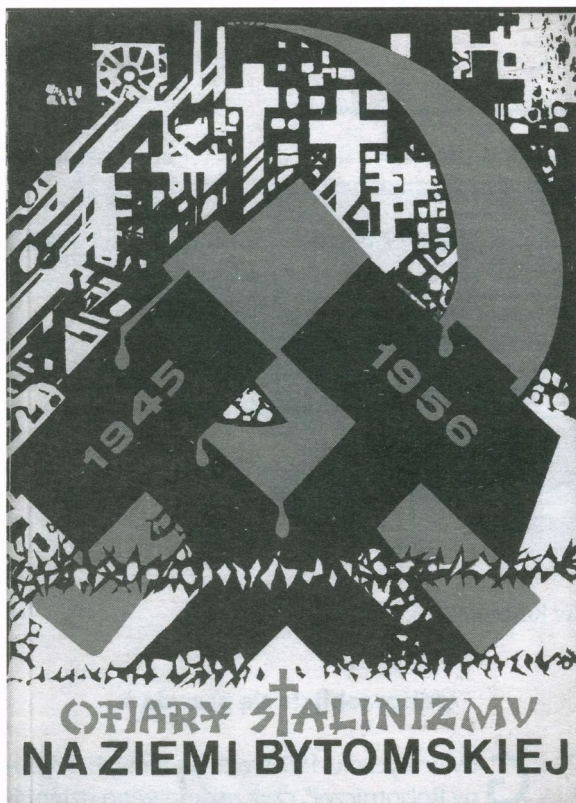
Trudno się dziwić poczuciu alienacji tych mieszkańców regionu, którzy w bagażu pamięci i doświadczeń mieli deportację (własną, ojca, brata, syna). Nie można nazwać własnym państwa,

I Jak przebiegała się prawda I

Gdy w styczniu 1990 roku na łamach „Trybuny Robotniczej”, czyli reżimowego dziennika, organu KW PZPR w Katowicach, dziennikarz branżowego „Górnika” Andrzej Wrazidło opublikował tekst o „śląskiej tragedii” (czyli o deportacjach), było to naprawdę przełomowe wydarzenie, koniec narracji podtrzymywanej przez 45 lat. Jeśli wątek deportacyjny poruszano nieco wcześniej na łamach katowickiego „Katolika”, to miało to wagę głosu z ofu (a nie głównego nurtu). Teraz skompromitowana propagandą gazeta partyjna wraz ze złożeniem do grobu swej partii pozbywała się także – przynajmniej w części – balastu zakłamywanej historii.

Za przykładem „Trybuny Robotniczej” poszły natychmiast lokalne tygodniki – kolejne organy PZPR. Na łamach „Życia Bytomskiego” czy „Głosu Zabrze i Rudy Śląskiej” oddano głos świadkom wy-

darzeń i ofiarom. Pojawiły się reportaże i listy do redakcji zwiastujące trzęsienie ziemi w obrazie przeszłości: wywózka do ZSRR i sowieckie zbrodnie stały się takim samym przedmiotem opisu, jak Katyń czy powojenne podziemie niepodległościowe. W „Dzienniku Zachodnim” pisano o wspomnianej masakrze w Miechowicach. Podobnie w województwie opolskim, gdzie partyjna „Trybuna Opolska” zamieszczała reportaże i artykuły o zdarzeniach 1945 roku, np. o podobnej do miechowskiej tragedii nadodrzańskiej wioski Boguszyce. Nadzwyczajne powodzenie miała inicjatywa „Górnika” z przedrukiem listy ok. 10 tysięcy górników wywiezionych do ZSRR.



Pojawiły się pierwsze prace historyków. Związany z Bytomiem Jan Drabina, mediewista z Uniwersytetu Jagiellońskiego, opublikował w 1993 roku *Ofiary stalinizmu na ziemi bytomskiej w latach 1945–1956*. Zbrodnie sowieckie (jak masakra w Miechowicach) i prześladowania duchowieństwa katolickiego przez polskie władze komunistyczne pokazano za pośrednictwem dokumentów i wspomnień. Ważne miejsce zajmowały deportacje. Książka cieszyła się tak dużą popularnością, że po kilku latach doczekała się niemieckojęzycznej edycji.

Podobną tematykę nagłaśniano także w Zabrzu, gdzie rada miejska zorganizowała sesję (25 lutego 1991 roku), na której nazwano i napiętnowano

zbrodnie sowieckie. Zabrzeńskie muzeum, kierowane przez Bernarda Szczecha, ogłosiło apel o gromadzenie relacji i materiałów. Z kolei w Knurowie założono Stowarzyszenie Pamięci Tragedii Śląskiej w 1945 roku (w kwietniu 1991 roku). W tej miejscowości w czerwcu 1993 roku odsłonięto jedną z pierwszych tablic upamiętniających „ofiary obozów w kraju i w ZSRR”.

Pojawiły się ważne sygnały na forum Sejmu X kadencji. Wybrany z list PZPR pisarz i publicysta Tadeusz Kijonka w interpelacji skierowanej do premiera Tadeusza Mazowieckiego 26 stycznia 1990 roku skupił się na wywózce mieszkańców Śląska do ZSRR, nazwanej przez niego „śląską tragedią” i „tragedią Ślązaków”, domagając się „pełnego wyjaśnienia i co najmniej moralnego zadośćuczynienia” oraz stworzenia komisji do badania zbrodni stalinowskich (interpelacja posła Tadeusza Kijonki na sąsiedniej stronie).

Istotne znaczenie w procesie „odpominania” deportacji miało rozpoczęcie śledztwa „w sprawie deportacji około 10 000 polskich obywateli-górników do ZSRR z początkiem roku 1945 z terytorium Górnego i Opolskiego Śląska przez żołnierzy NKWD, która łączyła się ze szczególnym udręczeniem”. Rozpoczęła je 27 czerwca 1991 roku Okręgowa Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach.

Zdarzyło się wtedy, że setki osób z własnej woli opowiedziały przed urzędnikiem państwa polskiego przemilczaną przez półwiecze opowieść o tragedii, która miała na zawsze pozostać zapomnianą. Zgromadzono zeznania setek świadków – ofiar deportacji i ich rodzin. Ten materiał, tylko częściowo wykorzystany przez historyków, jest znakomitym rezerwuarem zapisanej pamięci przeszłości.

Wszystkie ówczesne inicjatywy oznaczały jedno: krach systemu manipulowania pamięcią przez państwo, kres znanych ze starożytnego Rzymu praktyk *damnatio memoriae*, potępienia pamięci, wymazywania niewygodnych faktów z dyskursu publicznego. Może to właśnie było jednym z najważniejszych osiągnięć 1989 roku...

Tematy zepchnięte przez komunistów do przetrzeni prywatnej stały się przedmiotem debat w Sejmie Rzeczypospolitej i w sejmiku wojewódzkim w Katowicach, w prasie codziennej i w naukowych opracowaniach, panelach i konferencjach. ■

Sebastian Rosenbaum – historyk Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, współredaktor tomu *Wywózka. Deportacje mieszkańców Górnego Śląska do obozów pracy przymusowej w Związku Sowieckim w 1945 roku*, wydane w 2014 roku

Interpelacja do Prezesa Rady Ministrów w sprawie podjęcia działań w celu ustalenia skali strat biologicznych i materialnych poniesionych przez naród polski w wyniku masowych zbrodni stalinowskich

Szanowny Panie Premierze! W ostatnich miesiącach zostało ujawnionych wiele wstrząsających faktów masowych zbrodni stalinowskich dokonanych w różnych okresach na Polakach w okresie II wojny światowej..., lecz także w latach późniejszych, gdy kraj nasz uzależniony od potężnego sąsiada i podporządkowany jego globalnym interesom pozostawał w wielorakich układach sojuszniczych z ZSRR. Wykrycie wszystkich faktów dotyczących deportacji i eksterminacji ludności polskiej w tym kraju jest zapewne niemożliwe, a w każdym przypadku w znacznym stopniu utrudnione, nie tylko z braku dostępu do odpowiednich archiwów. Nadal bowiem fakty te są zatajone również i dlatego, że zbrodnie ludobójstwa nie podlegają przedawnieniu – a więc konsekwencją ujawnienia tego rodzaju faktów powinno być wszczęcie skutecznych działań śledczych, a następnie procesów winnych i współodpowiedzialnych osób.

Do rejestru zbrodni stalinowskich o skali masowej – wciąż dotąd bliżej nie znanych zarówno polskiej, jak i międzynarodowej opinii – należy zaliczyć tragiczny los kilkudziesięciu tysięcy Ślązaków wywiezionych na katorżniczą pracę do ZSRR w pierwszych miesiącach po wkroczeniu Armii Czerwonej. Fakty te nie mają precedensu we współczesnych dziejach, jako że chodzi w tym przypadku o wywóz w zdecydowanej przewadze osób cywilnych, których nie obejmowała jurysdykcja wojskowych władz radzieckich.

Jak wiadomo, z obszarów zajmowanych przez Armię Czerwoną, szczególnie tych, które weszły w nowe granice Polski, wywożono do ZSRR cenne maszyny i urządzenia, a nawet całe zakłady przemysłowe. Ale wywożono do katorżniczej pracy również ludzi, czego na masową skalę doświadczył Śląsk. Natychmiast po wkroczeniu tu jednostek Armii Czerwonej – w tym również na tereny należące przed rokiem 1939 do Polski, radzieckie komendatury wojenne podjęły przymusowy werbunek mężczyzn w wieku produkcyjnym pod pozorem skierowania ich do prac, głównie na rzecz frontu. Z punktów zbornych mężczyzn tych kierowano następnie pod broń do pohlterowskich obozów pracy, które pełniły rolę obozów przejściowych przed wywozem w głąb Rosji – i to bez powiadomienia rodzin, które daremnie oczekiwały na wiadomości o miejscu ich pobytu. Wywózki te objęły w pierwszej kolejności górników górnośląskich kopalń, w tym wysoko kwalifikowanych, których kierowano do ciężkich prac przy odwadnianiu i uruchamianiu kopalń Donbasu. Tylko z rejonu Bytomia w lutym 1945 roku skierowano stąd na katorgę około 8 tysięcy mężczyzn. Na dużą skalę akcja ta objęła również Gliwice i Zabrze, w mniejszym stopniu – Chorzów, Katowice, Piekary i kopalnie rybnickie. Jedno jest niewątpliwe: nie decydowały kryteria narodowościowe, o czym świadczą zachowane rejestry wywiezionych – najczęściej bezpowrotnie. Akcja ta była kontynuowana następnie na terenie Śląska Opolskiego. Nie były przy tym brane pod uwagę kryteria przynależności narodowej, skoro ofiarami tych masowych zesań stał się również bohaterscy działacze przedwojennego Związku Polaków w Niemczech, co dopełnia miary tej szczególnie bolesnej śląskiej tragedii.

Szanowny Panie Premierze! Według szacunkowych źródeł łącznie wywieziono w tym czasie ze Śląska kilkanaście tysięcy górników. Z tej liczby znamy szczegółowe personalia 9723 górników, dzięki sporządzeniu przez pełnomocnika Rzeczypospolitej Polskiej do spraw repatriacji liczącego 391 stron dwujęzycznego rejestru zesańców (przeważają zdecydowanie nazwiska polskie). Spis ten został przygotowany w związku z podjęciem przez ówczesne władze polskie interwencji w tej sprawie; niestety z niewielkim skutkiem. Wymieniony rejestr nie obejmuje nawet wszystkich wywiezionych górników – dla przykładu do 31 marca 1947 roku wróciło z niewolniczego zesłania jedynie 2618 górników – w tej liczbie jedynie 290 wymienionych we wspomnianym spisie.

Ilu Ślązaków wywieziono łącznie – i jaki był ich los – tego do dziś nie wiadomo! W ocenie Polskiego Związku Zachodniego na terenie ZSRR znalazło się 35 tysięcy zesańców z Górnego Śląska (w tym pewna część jeńców – Ślązaków przymuszonych do służby w Wehrmachcie). Ale i ten wykaz nie jest pełny. Z kolei według szacunków dokonanych przez Stefana Golachowskiego i Huberta Sukiennickiego (*Pierwszy etap osadnictwa na Śląsku Opolskim*, 1946) do ZSRR – zapewne z terenu całego Górnego Śląska – wywieziono łącznie około 70 tysięcy Ślązaków. Jest to więc w każdym przypadku skala wielkiej, masowej tragedii, mało dotąd znanej i do niedawna całkowicie przemilczanej. Wymaga ona podjęcia gruntownych badań przy uściśleniu podstawowych kryteriów oraz uwzględnieniu wielu nie znanych okoliczności.

Interwencje u władz radzieckich w tej sprawie tylko nikłe przyniosły rezultaty. Już 12 lutego 1945 roku miała miejsce pierwsza interwencja Komitetu Obywatelskiego Polaków Śląska Opolskiego u pełnomocnika rządu lubelskiego, generała Aleksandra Zawadzkiego. Także wysiłki Władysława Gomułki, który interweniował w tej sprawie u Józefa Stalina, nie doprowadziły do uwolnienia większości wywiezionych. Przed rokiem 1949 wróciło

z ZSRR łącznie około 9 tysięcy Ślązaków. Później niewielkie grupy dotarły na Śląsk po 1956 roku – cała reszta przepadła bez śladu. Sprawa ta nigdy nie była już potem przedmiotem interwencji władz polskich, zaś na jej dokumentach spoczęła pieczęć: „ściśle tajne”.

Szanowny Panie Premierze! Nadszedł nareszcie czas, gdy można podjąć szerokie, legalne działania w celu ustalenia prawdziwej skali strat biologicznych i materialnych poniesionych przez naród polski w wyniku masowych zbrodni stalinowskich. Pora, by również tragedia Ślązaków wywiezionych do ZSRR zimą i wiosną 1945 roku doczekała się pełnego wyjaśnienia i co najmniej moralnego zadośćuczynienia. Fakty tamte – podobnie jak fatalna polityka wobec Śląska i Ślązaków w latach późniejszych – rzutują na sytuację i samopoczucie rodzimej ludności po dziś.

Jest tedy rzeczą konieczną podjęcie rzetelnych, gruntownych działań w celu wyjaśnienia wszystkich okoliczności tej śląskiej, ale przecież kolejnej narodowej tragedii. W związku z tym proszę o wyjaśnienie:

- Czy obecnym władzom polskim przedstawione fakty są znane i co w takim razie zamierzają uczynić dla ustalenia pełnej listy zesłanych do ZSRR Ślązaków w wyniku tej haniebnej akcji w okresie od lutego do maja 1945 roku.
- Czy podjęte zostaną działania w celu stworzenia pełnej dokumentacji przedstawionych wydarzeń, a także zainicjowane pilne, niezbędne wysiłki w celu uzyskania dostępu do źródeł i archiwów radzieckich dotąd całkowicie niedostępnych.
- Czy istnieją możliwości ustalenia dalszych losów wywiezionych do ZSRR Ślązaków – także okoliczności ich śmierci w wyniku katorżniczej pracy oraz wskazania miejsc ich spoczynku, aby można było miejsca te godnie upamiętnić, umożliwiając rodzinom odwiedzenie grobów. W Polsce dbamy przecież od lat o właściwy stan cmentarzy żołnierzy radzieckich, a także spoczywających tu jeńców z czasów ostatniej wojny.

Proszę także o wyjaśnienie, co władze polskie zamierzają uczynić, by rodzinom śląskich zesłańców do ZSRR przyznane zostało prawo do odszkodowań ze strony władz radzieckich, z tytułu niewolniczej pracy na rzecz gospodarki ZSRR, a także utraty życia.

Szanowny Panie Premierze! Wszystkie znane już okoliczności wskazują, że w przedstawionej sprawie mamy do czynienia z aktami uznanymi przez normy prawa międzynarodowego za zbrodnię ludobójstwa. Czy rząd polski podziela ten pogląd – a jeśli tak, co w związku z tym zamierza uczynić na płaszczyźnie prawnomiędzynarodowej?

Wnosząc o udzielenie wszechstronnego wyjaśnienia w tych kwestiach – a jako Ślązak i poseł ze Śląska jestem zobowiązany do podjęcia interwencji w tej sprawie – proszę, by odpowiedź została mi udzielona publicznie podczas posiedzenia plenarnego Sejmu.

Jednocześnie uważam za niezbędne – i taki wniosek oficjalnie zgłaszam – powołanie Głównej Komisji Badania Zbrodni Stalinowskich, analogicznej do tej, która od lat istnieje i skutecznie działa w odniesieniu do zbrodni hitlerowskich popełnionych na narodzie polskim. Potrzeby powołania takiego organu – po tym co już wiemy, ale i wobec tego, czego jeszcze nie wiemy o zbrodniach stalinowskich popełnionych na Polsce i Polakach – nie trzeba w tym miejscu uzasadniać.

Posel Tadeusz Kijonka

Warszawa, dnia 26 stycznia 1990 r.

Interpelacja posła Tadeusza Kijonki należała do pierwszych działań w sferze publicznej podejmujących sprawę deportowanych Górnoślązaków, gdy stało się to możliwe (jeśli chodzi o szczegółowe liczby deportowanych, to uwzględniła oczywiście ówczesny stan wiedzy). Była skierowana do premiera Tadeusza Mazowieckiego z datą 26 stycznia 1990 roku. Odpowiedź ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego poseł Kijonka uznał za niewystarczającą, o czym napisał później obszernie w artykule Głuche interpelacje na łamach miesięcznika „Śląsk” w 2002 roku: „Ta pierwsza interpelacja poselska dotycząca wywozek Ślązaków do ZSRR w 1945 roku w atmosferze bezprawia i przemocy okazała się jednak głucha. Podobnie jednak jak kolejne, już w następnych kadencjach Sejmu”. Dzisiaj, po kolejnym ćwierćwieczu, gdy niemal wszyscy deportowani Górnoślązacy odeszli z tego świata, przywołujemy tę pierwszą interpelację (bo były jeszcze kolejne innych posłów) jako świadectwo czasu, gdy wielu z nich jeszcze żyło.

JAN F. LEWANDOWSKI
BOGDAN KUŁAKOWSKI (zdjęcia)

Z toszeckiej pamięci



Jak zapisać urywki przekazów z 1945 roku, które zasłyszano się w dzieciństwie (czyli w latach 50. i 60.)? Jeśli rodzice nawiązywali do tamtych zdarzeń to nie przy dzieciach i nie po polsku – przechodzili na niemiecki. Dopiero z opowieści mojej mamy i z zasłyszania mogłem oceniać, że prawda mieszkańców miasta mija się z wersją szkolną.

Przez dziesięciolecia PRL w centrum miasteczka, na placu przy ulicy Strzeleckiej, stał pomnik w kształcie obelisku zwieńczonego sowiewką gwiazdą. Postawiono go w 1950 roku ku czci Armii Czerwonej, co miało posmak szyderstwa z mieszkańców miasta, którzy zapamiętali morderstwa, gwałty, podpalenia i rabunki. Przynajmniej ci,

którzy mieszkali w Toszku od przedwojnia. W latach toszeckiego dzieciństwa przechodziłem tędy codziennie, gdy zmierzałem do szkoły podstawowej. Dzisiaj pomnika z gwiazdą już nie ma. Rozmontowano go w nowej epoce szybko, zaraz po 1989 roku, gdy wiele podobnych nadal przecież stoi w śląskich miastach i miasteczkach.



Obóz NKWD w Toszku znajdował się w szpitalu psychiatrycznym z XIX wieku

Rosjanie pojawili się w Toszku wcześniej niż w Gliwicach i w położonych na wschód miastach przemysłowych, bo ich dywizje zmierzały do ogarnięcia Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego od północy i zachodu. Na Gliwice nacierali od strony wcześniej zdobytych Strzelc Opolskich. Do Toszka czołgi 31. korpusu pancernego Armii Czerwonej dotarły już w poniedziałek 22 stycznia. Następnego dnia, 23 stycznia 1945 roku, miasto było opanowane, chyba bez walki. Nastąpiły rządy sowieckiej komendatury.

O wejściu Rusów, jak mówiono, nasłuchiwałem się opowieści mojej mamy w dzieciństwie. Pozostały mi w pamięci drobne fragmenty. Jak Rosjanie zaglądali także na podtoszeckie, wiejskie Oracze, a dziadek Antoni Pawlitzki podchodził wtedy do klęcznika, rozwijając pod nim dywan zasłaniający klapę do piwnicy, gdzie chowały się w takim przypadku młode kobiety: moja mama i jej siostra. Nieco starszy brat powrócił pewnej nocy z wojny, ale zaraz wybył z Toszka, docierając szczęśliwie do amerykańskiej, a może brytyjskiej strefy okupacyjnej.

Nieraz czerwonoarmiści zadowalali się drobnymi zdobyczami, zwłaszcza zegarkami. Ale w jednym z sąsiednich domów zgwałcili i zasztyletowali młodą kobietę. Najwięcej zależało, czy byli pijani, czy trzeźwi. Zostało mi w pamięci z tych opowieści, że dziadek Pawlitzki ukrył konia tak sprytnie w specjalnym schowku w stodole, że Rosjanom nie udało się go zarekwirować.

Niemal nie zapamiętałem dziadka Pawlitzkiego, który zmarł w 1956 roku (gdy miałem 4 lata). W 1945 roku trafił do obozu przejściowego w Łabędach, ale udało mu się uniknąć wywózki czy wysiedlenia podobno dzięki temu, że potrafił modlić się po polsku. W każdym razie powrócił z Łabęd na Oracze, chociaż nie wiem, czy od razu, czy dopiero po jakimś czasie.

Trudno mi przypomnieć sobie, jak dowiadywałem się w dzieciństwie o obozie NKWD, który przez kilka powojennych dziesięcioleci otaczało milczenie. Jednak w Toszku pamiętano, chociaż lepiej było nie mówić, a na pewno nie publicznie. Później dotarło do mnie, że należał do po-



W miejscu zbiorowej mogiły ofiar obozu znajduje się siedziba prywatnej firmy...



... ale stoi też krzyż i pomnik w formie głazu z tablicą pamiątkową.

tężnego obozowego archipelagu pokrywającego wtedy terytorium Górnego Śląska.

Zapamiętałem z dzieciństwa wysypisko śmieci przy drodze z Toszka do Wielowsi, za żydowskim cmentarzem, w miejscu po dawniejszej piaskowni. Z naszego domu na Oraczu to było niedaleko. Z jakiejś chłopackiej wyprawy po tamtej okolicy, może z kolegami, zapamiętałem dziwny fetor tego miejsca, o którym przecież nie wiedziałem, że jest celowo zapomnianym cmentarzem. Z tego wynika, że miejsca pogrzebania ofiar nawet nie ogrodzono. Tam, gdzie pochowano tysiące ludzi, urządzono komunalne wysypisko śmieci!

Dopiero po upadku komunizmu sprawa obozu NKWD w toszeckim szpitalu psychiatrycznym w 1945 roku stała się na chwilę głośna, gdy w 1991 roku Porozumienie Obywatelskie Toszka i Wielowsi doprowadziło do upamiętnienia jego ofiar pamiątkowym krzyżem. Dzisiaj o obozie można znaleźć więcej informacji, najwięcej w artykule Zygmunta Woźniczki w „Roczniku Muzeum w Gliwicach” z 2002 roku, a opartym na materiałach śledztwa prowadzonego przez Okręgową Komisję do Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach w latach 1991–1998. Jednak nadal brakuje jego monografii.

Dzisiaj wiadomo, że Rosjanie założyli obóz na terenie toszeckiego szpitala w maju 1945 roku. Jego komendantem był pułkownik Pyłajew. Osadzano w nim Niemców z Saksonii, Dolnego Śląska i Sudetów, ale nie tylko. Do obozu trafiali także Górnoślązacy, jak o tym świadczy przypadek Georga Kukowki, górnika z Bytomia. Najbardziej udokumentowane są trzy transporty, które z Budziszyna docierały kolejną do Strzelca Opolskich lub Pyskovic latem 1945 roku. Dalej pędzono więźniów do Toszka piechotą. W tych trzech transportach przybyło ponad 3500 więźniów.

Zdaniem Woźniczki w obozie NKWD przebywało około 4500 osób, lecz nie jest wykluczone, że więcej. Wszystkie dane są szacunkowe, oparte przeważnie na relacjach byłych więźniów. Dokładniejsze informacje dałyby dopiero archiwalia sowieckie. Podobnie szacunkowe są wyliczenia ofiar obozu. Najczęściej przyjmuje się, że zmarło co najmniej 3300 osób (Woźniczka), pamiątkowa tablica z 1991 roku podaje ogólnie, że ponad 3 tysiące.



Z relacji wspomnieniowych wynika, że wśród więźniów było wiele osób wykształconych, w tym lekarze, a nawet profesor Akademii Sztuk Pięknych z Drezna. Były też kobiety, które zajmowały się pracą w kuchni, pralni i sprzątaniami. Mężczyźni pracowali najczęściej w polu, czyli w majątkach należących przedtem do rodziny Guradze. Jedna z relacji przynosi potworną scenę, gdy sowieccy pijani nadzorcy zmuszali pracujących w polu do połykania żywych myszy, z uduszenia zmarło wtedy kilkudziesięciu więźniów.

W relacjach toszeckich powtarza się, że zmarłych wywożono z obozu drabiniastym wozem, najpierw na cmentarz żydowski, a potem do położonej za nim piaskowni. Zapamiętałem te opowieści: wóz drabiniasty, na który nie wolno było spojrzeć. Takie wspomnienie pozostało w domu, pewnie i dlatego, że trasę wozu było widać z naszego domu na Oraczu.

Do likwidacji obozu doszło w listopadzie i grudniu 1945 roku. Niespełna tysiąc więźniów przetransportowano do Grudziądza, a pewną grupę zwolniono. A potem nastąpiło milczenie. Dzisiaj znajdują się tutaj magazyny i siedziba firmy Hawex (bo teren po wysypisku znajduje się od dawna we władaniu prywatnym).

Jednak od 1991 roku stoi krzyż, a przy nim postawiono pomnik w formie głazu z tablicą pamiątkową. Na odsłonięcie krzyża w 1991 roku przybyła z Niemiec grupka ocalałych więźniów obozu, pewnie już ostatnich. Jednak pamięć trwa, bo na kolejne uroczystości nadal przyjeżdżają ich bliscy. Dzięki nim pojawiły się kolejne upamiętnienia, na cmentarzu katolickim tablica z podziękowaniami dla mieszkańców miasteczka.

Rządy sowieckiej komendatury w Toszku 1945 roku oznaczały jego dewastację. Zresztą Rosjanie zarządzili się i wtedy, gdy przekazali władzę polskiej administracji. Jakież ślady tego procesu znalazłem po latach w raporcie polskiego urzędnika z Toszka: „7 czerwca 1945 r. oddały nam władze rosyjskie gorzelnię, gazownię, dwa browary i tartak (to był czwartek). W poniedziałek natomiast została nam gorzelnia przez inne oddziały wojsk rosyjskich zabrana. Także budynek straży pożarnej został przez Rosjan zabrany, urządzono w nim piekar-

nię, a sprzęt przeciwpożarowy wyniesiono na ulicę”. Jak można wnioskować, toszecka gorzelnia musiała być dla czerwonooarmistów nadzwyczaj cenną zdobyczą, skoro nie chcieli jej oddać sojuszniczej w końcu władzy polskiej.

W moim dzieciństwie, czyli w latach pięćdziesiątych, ślady wojny, a szczególnie roku 1945, były jeszcze widoczne. Wprawdzie Toszek nie został zniszczony, ale rzucały się w oczy puste miejsca po spalonych kamienicach. Zabudowano je ponownie dopiero w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Nie wszystkie, jak się później okazało. Długo trwało, zanim odtworzono klasycystyczny ratusz, spalony częściowo w 1945 roku. Odbudowano go w latach 1958–1959, czyli wtedy, gdy poszedłem właśnie do szkoły.

Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że z centralnego skrzyżowania miasteczka zniknęła restauracja „U Eichendorffa”, której nie odbudowano, pozostawiając puste miejsce zapelnione później skwerem z drzewami i zielenią. Nie wiedziałem, że Rosjanie spalili znajdujący się przed zamkiem pałac rodziny Guradze, bo już go w moich czasach nie było (ale zapamiętałem, że jako chłopcy natrafialiśmy w tym miejscu na resztki marmurowej posadzki, co było dość niezwykle). Jednak dziesięcioletni chłopcy nie zastanawiają się nad takimi drobiazgami.

Wiosną 1945 roku władzę przejmowała w miasteczku nowa administracja polska. Zaczęły się wysiedlenia, przybywali pierwsi przybysze ze Wschodu. Po dziesięciu czy kilkunastu latach jakieś echa tego procesu jeszcze się odzywały, chociaż kilkuletni chłopiec nie zdawał sobie sprawy, jak wiele dramatów z niedawnej przeszłości go otaczało. Jeszcze w latach sześćdziesiątych, gdy chodziłem już do szkoły średniej, nie wiedziałem, że np. rodzinę licealnego kolegi usunięto z mieszkania, które



Jeśli kto mieszkał w Toszku długo, widział jak zmieniały się pomniki przy Strzeleckiej





Możliwe, że trzeci pomnik OFIAROM WOJEN przetrwa tu najdłużej

dopiero po pewnym czasie odzyskała. Podobnych historii było wiele.

Długo panowała atmosfera niepewności, co dalej będzie. Rozpoczęły się weryfikacje narodowe miejscowej ludności. Planowane wysiedlenia nastąpiły latem 1945 roku do obozu przejściowego w pobliskich Pławniowicach. Jeśli w Toszku znaczną część ludności wysiedlono, to na moim Oraczu na miejscu pozostali niemal wszyscy. Młodszy, którzy przeszli niedawno przez niemieckie szkoły, przechodzili teraz ekspresowo naukę polskiego (to dotyczyło pokolenia moich rodziców).

Z dziećmi rozpoczynali pracę nowi nauczyciele, którzy wiosną 1945 roku otwierali polską szkołę (w solidnym gmachu szkoły poniemieckiej). Jak zapisał w maju 1945 roku kierownik szkoły Ignacy Chmura: „Na pierwszej lekcji powstał problem, jak uczyć? Tylko jedno dziecko na ogólną ilość w grupie 90 umiało po polsku i rozumiało nauczyciela. Na przerwie wszyscy rozmawiali z sobą po niemiecku”.

Po kilkunastu latach, gdy poszedłem do tej szkoły w 1959 roku, wszystko wyglądało już inaczej. Zdaje mi się, że rodzice starali się nawet nie rozma-

wiać z dziećmi po niemiecku, żeby nie narażać je na szkolne kłopoty. Były to spokojniejsze czasy, chociaż przeżycia 1945 roku trwały podskórnie. Nieraz odczuwało się przygnębiającą atmosferę, podszytą niedawnym strachem. Zapanowało pogodzenie się z losem. Nie chciano wracać do przeszłości. Normą stało się rozdzielenie pamięci domowej i szkolnej. Dziecko nie potrafiło jej zrationalizować, a potem miały lata i życie toczyło się swoją koleją.

Jeśli kto mieszkał w Toszku wystarczająco długo, powiedzmy kilkadziesiąt lat, mógł jednak widzieć, jak zmieniały się pomniki na placu przy Strzeleckiej. Za czasów niemieckich pomnik poległych na I wojnie światowej, odsłonięty w 1924 roku. Potem przez cztery dziesięciolecia obelisk z gwiazdą. Jeszcze mógł dotrzeć do głazu poświęconego najsprawiedliwiej OFIAROM WOJEN, postawionego w 1991 roku. Możliwe, że trzeci, najskromniejszy pomnik przetrwa tu najdłużej. ■

Jan F. Lewandowski – doktor, historyk i filmoznawca, redaktor naczelny „Fabryki Silesia”



z profesor EWĄ CHOJECKĄ, historykiem sztuki, rozmawia KRZYSZTOF KARWAT

Zwykło się sądzić, że Górny Śląsk aż tak bardzo nie ucierpiał w czasie II wojny światowej, bo duże miasta – w przeciwieństwie do Warszawy, Wrocławia czy Gdańska – nie zostały zburzone. To nie jest cała prawda, skoro już na początku okupacji niemieckiej zniszczono gmach Muzeum Śląskiego w Katowicach. Straty przyniósł też rok 1945. Wywieziono do ZSRR nie tylko wiele fabryk, lecz grabiono mienie publiczne i prywatne. Spalono wiele zabytkowych kamienic i pałaców. **Nakreślmy dokładniejszy obraz zniszczeń i strat...**

■ Dla mnie tamte straty i zniszczenia, widziane z dzisiejszej perspektywy, wywołują sprawę daleko szerszą. Dotyczącą spuścizny całego XX wieku, którego dotąd nie przetrawiliśmy do końca. Ten wiek naznaczony został dwiema wojnami, które pozostawiły pobojuwiska i gruzy, nie tylko polityczne, ekonomiczne, ale też mentalne i kulturowe, wraz z pokiereszowaną pamięcią. Okres międzywojnia, epoka II Rzeczypospolitej z ówczesną śląską autonomią, historykowi sztuki kojarzy się z narodzinami wspaniałej nowoczesności, ale w tle było coś zgoła innego. To wtedy w Europie z mizernym skutkiem próbowano utrzymać kruchą równowagę „powersalską”. A wyrastały dwa totalitaryzmy: brunatny i czerwony, które, choć ideologicznie przeciwstawne, w sierpniu 1939 roku

w osobach Ribbentropa i Mołotowa podały sobie ręce. Mała dziewczynka z Bielska, jaką wtedy byłam, nie miała o tym wszystkim pojęcia, ona tęsknie wyczekiwała 4 września, gdy po raz pierwszy miała pójść do szkoły... Tymczasem jej świat się zawalił, a ona jako jedna z pierwszych doznała ucieczki i bezdomności.

Dziś widzę to wszystko szerzej, panoramicznie. Oto Europa doświadczyła w czasie II wojny dwóch potopów, którym na imię było: nienawiść, a jej sługami byli strach i donos. Pierwszy potop w postaci brunatnej niszczącej fali ruszył najpierw z zachodu na wschód, rozlał się szeroko, dotarł aż po Stalingrad, został zatrzymany, odbił się w odwrotną stronę i runął w drugiej odsłonie na powrót, tym razem pod czerwonym znakiem sierpa i młota, niosąc tę samą nienawiść odwróconą. Jej sługami pozostali, jak przedtem, strach i donos. Obydwie fale potopu głośiły przy tym wzniosłe hasła o wyzwaniu, niesieniu wolności „spod polskiego jarzma”, „spod narodowego zniewolenia”, „spod klasowego ucisku”. Obiecywały świetlaną przyszłość, budowaną na zadekretowanej przez każdorazową władzę – nienawiści, strachu i donosie. Ale na nienawiści, strachu i donosie jeszcze nikt kultury nie zbudował. Stąd i przerażone Muzy uciekły albo pochowały się po kątach.

Pyta Pan o 1945 rok. Istotnie, Górny Śląsk ominięły bombardowania lotnicze, co uznano za dar losu. Miasta tutejsze, także te leżące po stronie dawnej granicy niemieckiej, nie podzieliły losu Drezna, Kolonii czy Berlina. Ludzie mieli dach nad głową, ale wielu z nich miało go i tak utracić: jedni uciekali, innych wypędzano, jeszcze innych przypędzano. Pamiętam tych biednych, Bogu ducha winnych ludzi, jak przychodzą do mojej matki z nieśmiałą prośbą o przechowanie... pierzyny. Dlaczego pierzyna tak ważna? Ano dlatego, że dawała szansę przetrwania, dawała choć trochę możliwości ogrzania się, żeby tylko nie zarekwirowali, nie rozpruli albo nie ukradli. Takie obrazy nie mieszczą się w monumentalnej narracji historii, niemniej tak właśnie wyglądała codzienność chaosu i prawa pięści. Muzy nie miały tu czego szukać.

Szczęśliwie Pani rodzinne Bielsko nie zostało zniszczone.

■ To prawda. Ale, podobnie jak w innych miastach śląskich, nastąpiła tu niemal całkowita wymiana ludności, nowi mieszkańcy zastali sytuację zerwanej ciągłości kulturowej i historycznej pamięci, z którą nie wiedzieli, co począć. „Niemiecka wyspa językowa”, obok tego ośrodek wielowątkowej kultury żydowskiej – od syjonizmu, po Bund i ortodoksję, cesarsko-austriacki mit pamięci „dawnych dobrych czasów”, sanacyjna przedwojenna nowoczesność, echa protestanckości – wszystko to było odległe, dla wielu obce, w dodatku wzbudzało dezaprobatę nowych władz i cenzury politycznej. Dopiero od lat osiemdziesiątych XX wieku co odważniejsi przymierzają się do badania i przywracania pamięci tych spraw. A Muzy nieśmiało powracają.

Gorzej było w Katowicach. Rynek i najbliższe ulice spłonęły, najprawdopodobniej wskutek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem przez żołnierzy sowieckich.

■ To miasto za niedługo zostanie Stalinogrodem. Jednak w rzeczy samej przygotowywano je do tego od końca wojny. Miasto według nowo obowiązujących norm polityki propagandowej nie mogło się powoływać ani na dziedzictwo czasów pruskich, ani na epokę „Polski sanacyjnej”. Stawało się pozbawione tożsamości ze wszystkimi tego skutkami. Do tego już przedtem, w czasie okupacji niemieckiej, podczas fali pierwszej, brunatnej nienawiści zniszczono wiele. Zniknęła synagoga, przepadło Muzeum Śląskie. Także w 1945 roku władze PRL nie były zainteresowane odbudowaniem Muzeum. Jego przedwojenny dyrektor Tadeusz Dobrowolski daremnie kołaczał w tej sprawie do miejscowych urzędów, wreszcie rezygnuje i osiada w Krakowie. O Muzeum Śląskim milczano przez długie dziesięciolecia, pamięć o nim zanikła. Muzy były bezdomne. Ale co

tam, liczył się węgiel, wysyłany za 10% wartości do ZSRR.

Daleko większe zniszczenia dotknęły miasta górnośląskie leżące na zachód od dawnej granicy niemieckiej – Głogówek, Nysa, Racibórz, ten ostatni spalony już po przejściu frontu. Spłonął też słynny cysterski kościół w Rudach Wielkich, celowo podpалony, runęły gotyckie sklepienia z XIII wieku, przepadły barokowe stiuki i freski. Lista strat jest długa – nie tu miejsce, aby je wszystkie wyliczać – wśród nich znaczące pałace i rezydencje: Świerkianiec, Miechowice, Dobra, Kopice, Tworów i wiele innych. A działa się to na ziemiach, które propaganda nazywała czule ziemiami odzyskanymi. Do tego realne zniszczenia szły w parze z degradacją innej natury. Głoszono, że są to dzieła bezwartościowe, bo obce. Nie trzeba ich ochraniać czy ratować, ponieważ nie należą do polskiej kultury narodowej. Ta retoryka, nawet jeśli nie znajdowała powszechnej akceptacji, stwarzała aurę obojętności. Zwłaszcza przybyłszy, nowi mieszkańcy z Polski centralnej lub Kresów, nie posiadali wiedzy i sposobów odniesienia do tego dziedzictwa, dla nich niezrozumiałego, obcego. Na to nakładała się powszechna bieda, niepewność egzystencji, epidemie. Muzy naprawdę zamilkły.

Co wtedy utraciliśmy?

■ Powiem może inaczej: nie stworzono wtedy programu integrowania, asymilowania zastanego dziedzictwa kulturowego. Utracono szansę zespolenia nowych ziem zachodnich we wspólny kulturowy krwiociąg całego kraju. Polska wyobraźnia i pamięć pozostała zakotwiczona nadal w legendzie Kresów i ziem Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, a to tutaj, to był „dar Stalina”, za który zapłacono wschodnią połową Polski wchłoniętą przez ZSRR. Dorobek kulturowy śląski pozostał obcy. Nie dziwny się temu, w tamtych warunkach trudno, żeby było inaczej. Musiały minąć dziesięciolecia, niemal dwa pokolenia, nim sprawy zaczęły nabierać innego obrotu, ale to już osobna historia. Powiem tylko, że dzisiaj Wrocław, odbudowany z ruin, jest nowoczesną europejską metropolią o suwerennym własnym obliczu, już bez kompleksów osadzoną w dawnym niemieckim podglebiu. Tymczasem Górny Śląsk nadal zмага się w niepojęty sposób z trudnościami zrozumienia miejscowego dziedzictwa, piętnowanego przez ideologów niepotrzebnie jako niemieckie.

To paradoks, bo – jak nigdzie indziej w kraju – powinniśmy przenikanie się różnych wątków historii najlepiej rozumieć.

■ Te kłopoty i spory, w tym niedoszła wystawa historii Górnego Śląska w nowo powstającym Muzeum Śląskim, oprotestowana przez polityków jako



fot. Katarzyna Jeruszka

proniemiecka, są w istocie rezultatem dwóch rzeczy: braku pomysłu na kulturowe sprawy śląskie władz centralnych oraz trwania PRL-owskich ksenofobicznych stereotypów, na których pielęgnowaniu niektórzy budują krótkotrwałe kariery polityczne.

Wróćmy do roku 1945 i zajrzyjmy do Opola albo Raciborza...

■ Przypomina mi się głośna sprawa, niewyjaśniona do dziś: co stało się w 1945 roku ze słynną Kustodią Raciborską, która przepadła bez śladu? To było czołowe dzieło sztuki średniowiecznej śląskiej, powstałe w 1495 roku, przechowywane w raciborskim kościele Wniebowzięcia NMP, ponad metrowej wysokości kompozycja ze złożonego srebra, ważąca 13,5 kg, zdobna emalią, perłami i drogimi kamieniami, mająca kształt ażurowej wieży z postaciami Chrystusa i Madonny. Służyła do przechowywania wielkiej hostii. Ufundowana została przez księżną Magdalенę, wdowę po księciu raciborskim Janie III młodszym. Przepadła wtedy bez wieści.

Sowieci wywieźli?

■ Krążą pogłoski, że znajduje się w magazynach muzealnych Ermitażu bądź na zachodzie Europy. Ale sprawa ma aspekt szerszy. Rewindykowanie zrabowanych w czasie wojny dzieł sztuki poprzedzone było – o czym mało kto wie – dobrze zorganizowaną dokumentacją tego rabunku, zorganizowaną jeszcze podczas wojny. Akcję zorganizował ówczesny rząd polski na emigracji w Londynie, lecz z oczywistych powodów nie obejmowała ona obecnych ziem zachodnich, tylko kraj w granicach

przedwojennych. Grupa historyków sztuki, na czele z profesorem Jerzym Żarneckim, kompletowała – na podstawie nadchodzących z kraju informacji – dane o dziełach sztuki i pamiątkach kultury, księgozbiorach, kolekcjach rabowanych i wywożonych przez obu okupantów – niemieckiego i sowieckiego. Pod koniec wojny część dotyczącą spraw niemieckich wydano w Londynie drukiem pt. *Cultural Losses of Poland*, natomiast władze angielskie nie zezwoliły na publikację części sowieckiej. Dla nich ZSRR był wtedy sojusznikiem, taka publikacja byłaby „nietakowna”. O tym w kraju też nie wolno było mówić.

Do dzisiaj?

■ Dziś sprawę przykrył kurz zapomnienia. Nie wiem, co się z tym drugim katalogiem stało. Ale tematów śląskich w tych zestawieniach nie ma – katalog londyński rabunku i zniszczenia dzieł sztuki na Śląsku w 1945 roku nie obejmuje. Natomiast – jak dotąd – nikt nie podjął trudu katalogowego zestawienia tych strat. Władza ludowa zamykała sprawę pod dywan, a dziś jest za późno. A mała dziewczynka zapamiętała dwa obrazy z tamtych lat: najpierw rekwirowanie dzieł sztuki z polskich domów, starannie, z dokumentami i pieczętką, jak należy, a potem, gdy potop poszedł w drugą stronę: stosy mebli, dywanów, obrazów, książek wrzucanych przez kolejnych wyzwalających w mundurach w szale niszczenia i podpalanych. Te stosy paliły się długo, całymi dniami. Kto dziś dojdzie, co zostało zniszczone, a co wywiezione? My obecnie staramy się ocalić bardziej pamięć niż przedmioty.

Gdzieniedzie rany się zasklepiły. Nawet już zapomnieliśmy, jak bardzo naruszono na przykład śródmieście Gliwic.

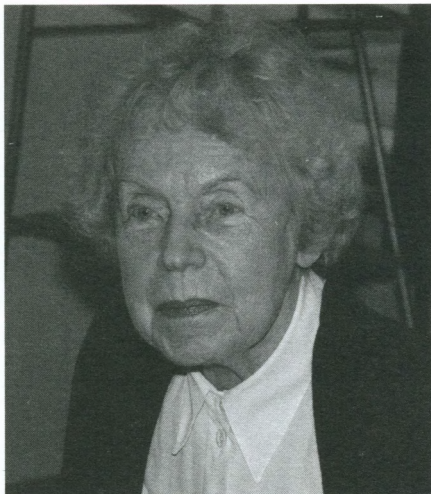
■ Mamy współcześnie rozległą literaturę na ten temat, dokumentację fotograficzną, relacje świadków. Ale w ludziach, którzy tamte czasy przeżyli, pozostała pamięć opleciona lękiem, podejrzliwością, niepewnością. Odżywa, gdy zaczynamy do tego wszystkiego wracać. Oni bardziej pamiętają każdy ludzki gest pomocy, będący wtedy na wagę złota.

Na Górnym Śląsku jednym udało się uniknąć rzezi, gwałtów, wywózek, inni mieli mniej szczęścia. To samo dotyczy pałaców. W Pławniowicach, majątku Ballestremów, zatrzymał się sowiecki sztab dowódczy, więc pałacu nie zniszczono, choć uszkodzono rzeźby ogrodowe, spalono meble, wytłuczono porcelanę i wykradziono srebra. Zginęło też wiele obrazów i sztychów.

■ Dziwi się Pan? Tu zadziałał jeszcze jeden dodatkowy czynnik zniszczenia: ideologiczny, i to podwójny. To było niemieckie i wroga klasowego. Pałac „feudalno-kapitalistycznego” wyzyskiwacza i krwiopijcy, który gnębił polski proletariatus. Świat szlachty i arystokracji śląskiej przez dziesięciolecia był tabuizowany, w miejscowej świadomości kulturowej wymazywany. Przecież dopiero w 2014 roku miały miejsce trzy wielkie wystawy, dwujęzyczne, poświęcone tym sprawom pod polsko-niemieckim tytułem: „Szlachta na Śląsku – Adel in Schlesien” w trzech muzeach prezentowane: w Görlitz, w Legnicy i we Wrocławiu. Jaką satysfakcją napawa, że z pożogi 1945 roku ocalała Pszczyna, a co byśmy dziś dali, żebyśmy mieli także Świerklaniec.

To akurat dowód, że długo po 1945 roku sami dokończyliśmy to, czego Armia Czerwona nie zdążyła. To również przypadek zamku Tiele-Wincklerów w Miechowicach. Bez związku z działaniami zbrojnymi zniknął pałac Karola Goduli w Szombierkach i wiele innych.

■ Doktryna walki klasowej pożeniona z polskim nacjonalizmem dała mieszaną toksyczną i destrukcyjną, przed czym przed laty Jan Józef Lipski daremnie przestrzegał. Ale mamy jeszcze jeden aspekt tematu, widziany z perspektywy nie tej ideologicznej, uwikłanej narracji historycznej, ale dziejów historii sztuki. Do połowy XX wieku badacze historii architektury w swych przemysleniach dochodzili do początków XIX wieku, do klasycyzmu. W odniesieniu do dziedzictwa późniejszego wyka-



zywali stosunek ambiwalentny, w historyzmie (kierunku stylowym dominującym w XIX wieku, z którym związana była większość śląskiej substancji architektonicznej, w tym nasze pałace i rezydencje) widzieli wykwit „złego smaku”, niegodny zainteresowania. To wpisywało się mimowolnie w politykę ideologiczną władz. Można było tę substancję dowolnie niszczyć. Długo też nie dostrzegano dobrodziejstwa międzywojennego modernizmu zarówno po polskiej, jak niemieckiej stronie granicy.

Naukowcom przyszło przełamywać te postawy swoimi badaniami i publikacjami, dopiero poczynając od lat osiemdziesiątych. Niemniej jesteśmy świadomi tego, jak trudno z tej rozbitej masy różnorodności i poharatanej historii zrekonstruować spójną całość, która by nas wszystkich łączyła w szacunku dla kulturowej spuścizny i tworzyła podstawę regionalnej tożsamości.

Świątynie, niektóre kamienice, trochę starych murów odbudowano. Resztę trzeba było rekonstruować. W Nysie, Opolu, Raciborzu... Nieraz dziwnie to wygląda.

■ Uśmiecha się Pan, bo zapewne przywołuje Pan obraz np. dzisiejszego Raciborza. Dziwnie prezentuje się ten rozerwany rynek, z kamieniczkami zdobnymi attykami przypominającymi Kazimierz nad Wisłą. Tymi pseudoattykami, niby renesansowymi, kreowano wizerunek „miasta odwiecznie polskiego”. A powstały socrealistyczne atrapy. I tak stoją do dziś. Swoisty dokument epoki. Ale spróbujmy wyciągnąć z tego wszystkiego wnioski dla nas. Minęło 70 lat od tragicznego 1945 roku i стоимy dziś przed zadaniem dwojakim: dokonania pełnej akceptacji i asymilacji tej substancji, jaka zdołała się zachować na tej ziemi, oraz uzupełnienia jej o pamięć tego, co uległo zniszczeniu bądź rabunkowi. Dodam z naciskiem, że nie jest to zadanie dla politycznych propagandzistów, ale dla ludzi nauki i kultury. Żeby Muzy na powrót przemówiły.

Pani Profesor, dziękuję za rozmowę. ■

Ewa Chojecka – profesor, historyk sztuki, b. kierownik Zakładu Historii Sztuki Uniwersytetu Śląskiego, redaktor i współautorka *Sztuki Górnego Śląska od średniowiecza do końca XX wieku*

Krzysztof Karwat – pisarz, publicysta, autor cyklu *Górny Śląsk – świat najmniej w Teatrze Rozrywki w Chorzowie*

NAJDŁUŻSZA PODRÓŻ

Do tej pory nie wiadomo, co było właściwie powodem aresztowania mojego ojca... Z opowiadań znam nerwową, a dla wielu nawet przerażającą atmosferę tamtych dni. Wracam z niechęcią do tych wspomnień, ale to wprowadzenie jest istotne, aby odsonić chociaż część prawdy, która nigdy do końca nie została opowiedziana. Polska część Śląska przetrwała, była wierna, cierpiała, a później zwycięży sprzymierzeńcy w tych pierwszych dniach rzucili ją na kolana.

Po wyzwoleniu, 27 stycznia 1945 roku, Katowice znalazły się przez kilka tygodni w strefie przyfrontowej. Do najbliższej linii frontu było tylko 30 kilometrów. Front przeszedł przez Śląski Okręg Przemysłowy szybko i niespodziewanie i teraz przebiegał pod Rybnikiem, Żorami, Pszczyną, Bielskiem i Żywcem.

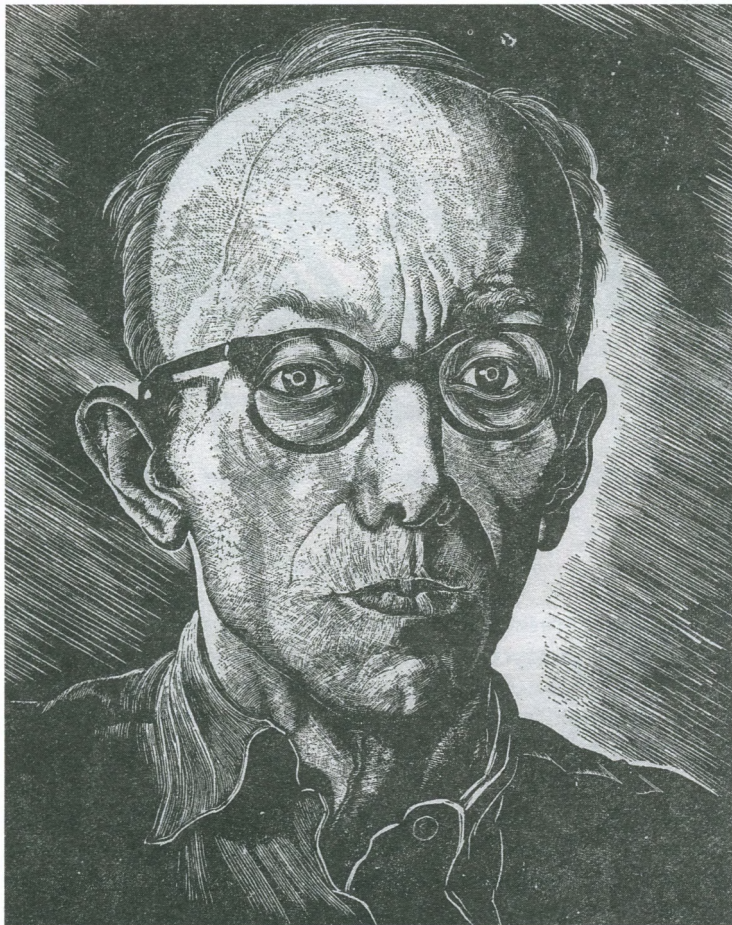
Ta bliskość frontu pogłębiała zamieszanie i nerwowość. Ulicami miasta przewalały się transporty wojskowe przemieszane z uchodźcami, uciekinierami, dezterterami, maruderami, byłymi partyzantami, kolaborantami i po prostu różnymi mętami. Najwięcej było żołnierzy sowieckich. Wydawało się, że główne ulice wypełnia niekontrolowana masa ludzka i że jest to żywioł nie do opanowania. Byli też Niemcy i Ukraińcy, którzy starali się ukryć swoją przeszłość, wykazując teraz przesadną nadgorliwość. Najdziwniejsze, że część z nich pracowała później w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego...

Przerażeni mieszkańcy Katowic byli dostatecznie świadomi niebezpieczeństw i bez potrzeby nie wychodzili z domu, zresztą rozsądniej było wtedy pilnować własnego dobytku. W tym czasie, gdy nie wychodziła jeszcze prasa, a radio śląskie nie działało, apele i odezwy były jedynym źródłem informacji. Odezwa gen. Aleksandra Zawadzkiego wywieszona już dwa dni po wyzwoleniu na ulicach miasta Katowic głosiła: „Oczyszczajcie Wasze miasto i wsie z wszelkich śladów panowania germańskiego”.

Odezwa, która brzmiała jak rozkaz, była na pewno przez wielu upojonych siłą zwycięstwa i niezbyt rozgarniętych żołnierzy i milicjantów obu sprzymierzonych armii – przekonanych, że już wkroczyli na tereny poniemieckie – wykonywana z przesadną gorliwością. Ten okres nie trwał wprawdzie długo, ale poczucie zagrożenia i niepewności pozostało jeszcze przez pewien czas.

Od wschodu ciągnęła już pierwsza fala szabrowników z ręcznymi wózkami. Wtedy uważano, że mienie poniemieckie jest niczyje i każdy traktował je jako łup wojenny. Najwięcej mieszkań poniemieckich znajdowało się w centrum miasta przy Rynku. Wtargnięto nawet do ratusza przy ulicy Pocztowej, wynosząc niemal wszystko, co się wynieść dało. Na podłodze walały się podeptane stosy dokumentów, papierów, pism, skoroszytów i ksiąg. Wystarczył wtedy jeden niedopałek papierosa, aby zdarzyło się nieszczęście. I tak też się stało. Po latach trudno dociec, kto był sprawcą podpalenia. Po powrocie do Katowic słyszałem, że zrobili to pijani żołnierze sowieccy. Spłonęło wtedy kilkanaście budynków w części północnej ulicy Pocztowej, mogło dojść do jeszcze większej tragedii, gdyby nie sprawna akcja ratownicza mieszkańców miasta.

Nowy ład dopiero się tworzył, a chwilowy bałagan wykorzystywali ludzie najczęściej z marginesu i spoza Śląska. W tym chaosie przystąpiono do normalizacji życia i przygotowania do odbudowy kraju. Do Katowic niemal razem z wojskiem przyjechali



Paweł Steller *Autoportret*, 1965, drzeworyt
(w zbiorach Muzeum Historii Katowic)

grupy operacyjne – partyjne i administracyjne. Kopalnie rozpoczęły pracę na drugi dzień po wkroczeniu wojsk radzieckich. Powoli następowała normalizacja życia. 6 lutego ukazał się pierwszy numer „Dziennika Zachodniego”. 7 lutego otwarto pierwsze szkoły.

W tym to czasie, na początku lutego, zjawił się u ojca major Włodzimierz Stahl, który był naczelnikiem Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy, i zaproponował ojcu pracę. W jego Urzędzie miał powstać Wydział Kultury i Sztuki.

Ojciec przyjął starego znajomego nadzwyczaj serdecznie i z szeroko otwartymi ramionami. W tym okresie witano tak wszystkich, którzy przeżyli wojnę. Razem przecież uczyli przed wojną w Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych przy ulicy Krasieńskiego.

! Odżyły wspomnienia !

Ojcu przypominały się pierwsze lata powojenne, niemal tuż po ostatnim powstaniu śląskim, gdy w roku 1925 po studiach na warszaw-

skiej ASP wrócił na Śląsk, ale nie do rodzinnego Ustronia, lecz do Katowic, ponieważ słusznie uważał, że tylko większe środowisko daje szansę stworzenia prawdziwego ośrodka kulturalnego. Od pierwszych lat pobytu na Śląsku ojciec zabiegał też o zorganizowanie Związku Artystów Plastyków Śląskich. Był jego współzałożycielem razem ze Stanisławem Ligoniem.

Pamiętam, że wtedy prowadzono niekończące się dyskusje, dotyczące spraw organizacyjnych i wysuwano różne propozycje ożywienia życia artystycznego Śląska. Myślę, że była to wtedy prawdziwie pionierska praca. Czyżby po dwudziestu latach historia miała się powtórzyć?

Z niebywałym entuzjazmem ojciec zabrał się do pracy w nowym miejscu, ściągając do pomocy malarza Tadeusza Zamiara, a ten z kolei młodą plastyczkę Amelię Wieczorkównę. Zima wtedy była ostra, a w budynku Urzędu Wojewódzkiego instalacja c.o. niesprawna. W pokojach biurowych pojawiły się piecyki żelazne, a rury wystawiono przez okna. Jeszcze dzisiaj podobno są gdzieś ślady zakopconych murów, wspomnienia trudnych początków roku 1945. Były to prawdziwie frontowe warunki, ale wszystkich rozgrzewał zapał do pracy i wizja odbudowy kraju. Większość urzędników chodziła do pracy jeszcze w mundurze.

24 lutego ojciec otrzymał rozkaz od Aleksandra Zawadzkiego, wojewody śląskiego, aby w ciągu trzech dni zaprojektował i wykonał pomnik wdzięczności dla Armii Radzieckiej. W tych wojennych warunkach za niewykonanie zadania groził sąd polowy. W pierwszej chwili ojciec był przerażony, ale szybko dzięki znajomym udało mu się znaleźć kamieniarza i termin został dotrzymany.

Tymczasowy obelisk z kamienia odsłonięto 27 lutego na placu Wolności. Stał tam jeszcze siedem lat, aby ustąpić miejsca zaprojektowanemu przez Stanisława Marcinowa nowemu pomnikowi. Na początku marca, z inicjatywy gen. Zawadzkiego, który pochodził z Będzina, utworzono województwo śląsko-dąbrowskie.

! Za kratami !

Już 4 marca w domu naszym zjawił się żołnierz NKWD, który zaprowadził ojca do więzienia. Mamy w tym czasie nie było w domu. Wyobrażam sobie przerażenie ojca i zupełną bez-

radność. Jego działalność i twórczość została tak brutalnie przerwana. Inaczej wyobrażał sobie powojenną Polskę. Wierzył jednak, że to nieporozumienie szybko się wyjaśni. Przesłuchania przeprowadzano jednak krótko, chaotycznie i raczej formalnie. W tym przyfrontowym okresie na nic nie było czasu.

Podczas przesłuchania padały nazwiska nieznanymi osobami, ale między innymi również jego byłego ucznia, Wiśniewskiego, który zapisał sobie na ulicy adres ojca, a który wcześniej został aresztowany.

Czyżby to było powodem...?

Ale wtedy wystarczył nawet zwykły donos. W więzieniu katowickim przesiedział ojciec przylepiony niemal do szpary w oknie, patrząc w kierunku ulic Mikołowskiej i Kozielskiej. Była to dla niego jakby namiastka wolności, nie mógł patrzeć na ponure mury więzienne. Rozmyślał nad swoim beznadziejnym losem, zamartwiając się jednocześnie o swoją mamę i o siebie. Ode mnie nie miał bowiem już od dłuższego czasu żadnych wieści. Matka próbowała interweniować u samego Zawadzkiego, ale okazało się, że podobno władze polskie nie miały żadnego wpływu na NKWD.

Po miesiącu, 3 kwietnia, ojciec znalazł się na dworcu katowickim, gdzie cały transport współwięźniów ładowano do wagonów bydłowych. Przed samym wyjazdem udało się ojcu jeszcze przestać mojej mamie krótką wiadomość.

I W bydłowym wagonie I

Podróż na wschód trwała przeszło trzy tygodnie. Razem z ojcem w transporcie było prawie 180 więźniów, przeważnie mieszkańcy Katowic, wśród nich przedwojenny komendant straży pożarnej, który zorganizował sprawną akcję gaszenia pożaru przy Rynku katowickim oraz piekarz Nowak z ulicy Andrzeja. Żaden ze współtowarzyszy ojca nie orientował się, za co naprawdę został aresztowany.

Mimo tragicznych warunków ojciec był zafascynowany tym, co widział z okien bydłowego wagonu. Największe wrażenie zrobił na nim przejazd przez malownicze Góry Uralskie. Chciałbym tu jeszcze wrócić, ale już w innych warunkach – powtarzał sobie. Za Uralem monotonna syberyjska tajga, która ciągnęła się w nieskończoność.

Do celu dojechała tylko połowa więźniów i, co dziwniejsze, niekoniecznie tych, którzy wyglądali



Z wielu rysunków Pawła Steller z czasu zesłania zachowały się nieliczne (w zbiorach Muzeum Historii Katowic)

krzepko i zdrowo. Ojciec po powrocie powtarzał mi wielokrotnie, że najważniejszy w tych trudnych chwilach był hart ducha i silna wola przeżycia, a nie krzepa fizyczna. Często najsilniejsi załamywali się pierwsi i pozostawali wzdłuż torów kolei transsyberyjskiej.

I Uratował go talent I

Transport dojechał do Zagłębia Kuźnieckiego za Nowosybirskiem. Ojciec znalazł się w obozie nr 503 w Kemerowie (do roku 1932 Szczegłowski) nad rzeką Tom, ważnym ośrodkiem przemysłowym i węglowym, nieopodal łańcucha gór Kuźniecki Ałatau, z najwyższym szczytem 1871 m n.p.m. o nazwie Bolszoi Kanym. To niemal centrum Syberii. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że o ucieczce stąd nie ma mowy. Do Katowic odległość wynosiła przeszło 6000 km.

Początkowo ojciec się przeraził, że zostanie zmuszony do ciężkiej pracy fizycznej, co było równoznaczne ze śmiercią. Ale już od samego początku



Zachowały się także kopie portretów towarzyszy z zesłania (w zbiorach Muzeum Historii Katowic)



zdobył sobie sławę jako dobry portrecista. Został więc w obozie. Brakowało tylko ołówków i dobrego papieru. Rysował resztkami grafitów, kredkami szkolnymi i ołówkami zdobytymi dziwnymi sposobami i na papierze pakunkowym lub nawet na kartonach.

W tym obozie ojciec poznał wielu ludzi ze Śląska i Zagłębia, między innymi rzeźbierza Seretę z Pawłowic oraz architekta, który projektował zespół kąpielowy w Wiśle, a którego nazwiska niestety nie pamiętam.

Ojciec wiedział, że tutaj życie ludzkie nie miało większej wartości, ale znosił wszystkie upokorzenia z prawdziwą pokorą franciszkańską. Najbardziej jednak dokuczało mu osamotnienie, a rozgwieżdżone, pogodne niebo syberyjskie wznagało poczucie tęsknoty za krajem.

O wywiezieniu ojca dowiedziałem się dopiero po powrocie z Niemiec, z tzw. pracy przymusowej. Po przyjeździe do kraju nie mogłem się przez długi okres przyzwyczaić do nowej rzeczywistości. Początkowo nic nie rozumiałem, bo to, co mnie otaczało, było tak różne od moich przedwojennych doświadczeń.

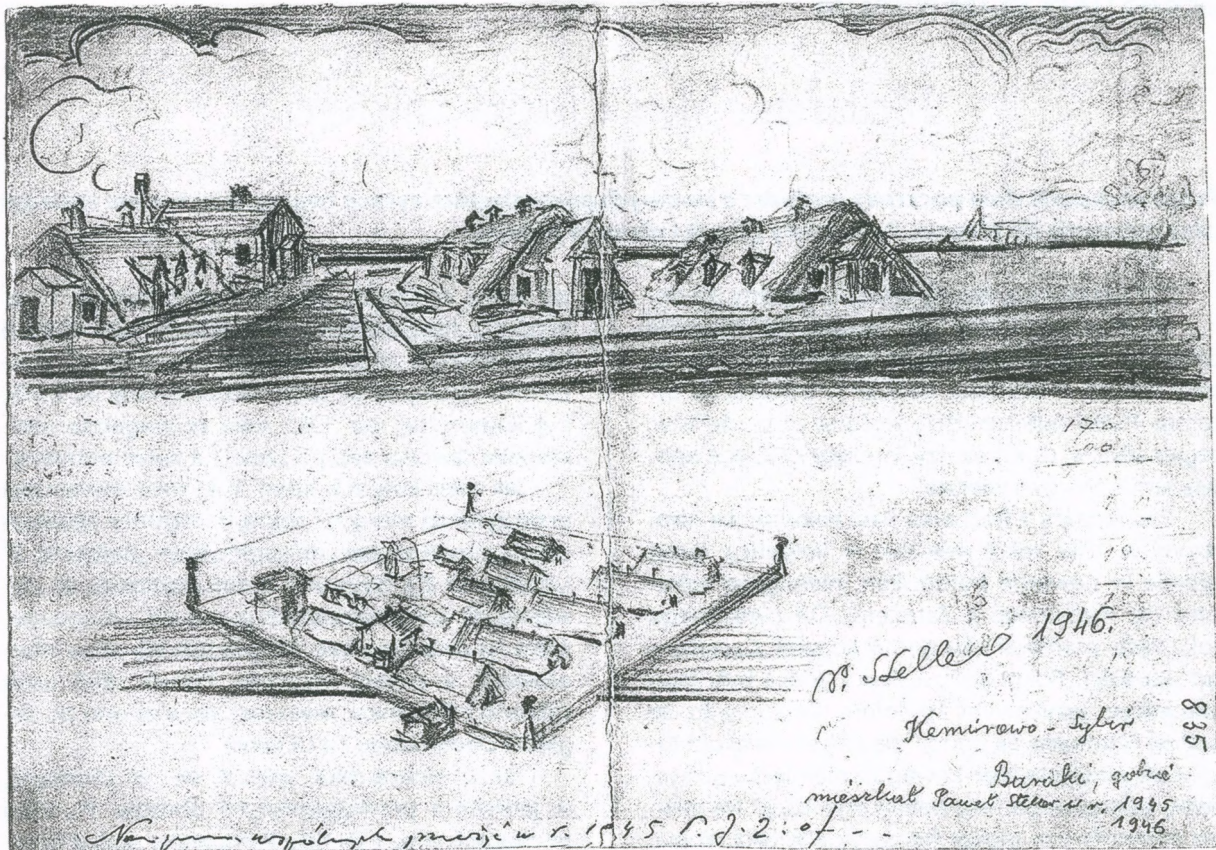
I Powrót do domu I

Tymczasem ojciec cały czas czynił starania i rozpaczliwe wysiłki, aby pozwolono mu się zrehabilitować, zaproponował nawet zorganizowanie szkolnictwa artystycznego na Syberii w zamian za zwolnienie. Ale na nic się to zdało. Dopiero pod koniec października 1946 roku zaczęto zwalniać pierwszych więźniów na podstawie jakiejś amnestii.

Ojciec został zwolniony jako jeden z pierwszych. Schował swój skromny dobytek i swoje skarby i 9 listopada znalazł się w Brześciu nad Bugiem. Tam musiał przejść dokładną rewizję, zabrano mu ponad 200 rysunków, które przywiózł z obozu, a które celnikom wydawały się podejrzanym. Reszta została na Syberii. Już nigdy pewnie ich nie ujrzemy...

Na drugi dzień, w niedzielę był już w Katowicach. Bał się po dwudziestu miesiącach nieobecności przyjść bezpośrednio do domu i wolał najpierw skierować się do swego przyjaciela, sędziego dr. Jerzego Badury. Uspokojony, poszedł do naszego mieszkania przy ulicy Andrzeja. Trudno opisać tę radość. Padliśmy sobie w objęcia. Słowa były niepotrzebne. Gdy ma się dużo do powiedzenia, nie można mówić.

Dla ojca skończyła się najdłuższa podróż jego życia. Pytań mieliśmy wiele, ale radość z jego powrotu przysłaniała konieczność pytań i odpowie-



W obozie w Kemerowie przebywał Paweł Steller na zesłaniu (ze zbiorów IPN w Katowicach)

dzi. Wszystko wobec powrotu ojca wydawało się nieistotne. Wprawdzie schudł, wyglądał mizernie, ale był zdrowy i szczęśliwy, i nawet miał twarz ogorzałą od syberyjskiego słońca. Ku naszemu zdziwieniu bardzo sobie chwalił klimat syberyjski, kontynentalny, z upalnym latem i mroźną zimą. Temperatura w zimie przekraczała często minus 40 stopni C. Wiele dolegliwości przeszło mu w tym klimacie. Pozbył się reumatyzmu i kłopotów żołądkowych, przeszły nawet skłonności do częstych przeziębień.

Chodził po mieszkaniu jak urzeczony, dziwiąc się, że jest tyle pokoi i tyle niepotrzebnych rzeczy. Musimy uprościć nasze życie – mawiał. Ze wzruszeniem oglądał swoje narzędzia artystyczne, farby, pędzle, papiery, rylce i deski do drzeworytów. Wszystko zastał tak, jak zostawił. Dla ojca twórczość była tym, czym węgiel dla górnika. Gdy przychodzili zaciekawieni znajomi, opowiadał dużo, ale odnosiłem wrażenie, że wszystkiego nie chciał powiedzieć, był powściągliwy. Przypuszczam, że siedziało to w nim głęboko, a może nie mógł tych przeżyć wyrazić słowami?

Dla niego to zesłanie miało w sobie coś z męki Krzyża. Było w nim też chrześcijańskie przebaczenie wszystkim prześladowcom. To biedny naród – ma-

wiał, a mnie to było potrzebne, bo dużo się nauczyłem i dużo zrozumiałem. Dodawał później: – Dlaczego jest tyle nędzy wokół nas, i to nie tylko materialnej, ale duchowej? Bo nędza duchowa rodzi nędzę materialną – odpowiadał sam sobie.

Ze zdziwieniem oglądałem jego sybiracki strój i drewnianą walizkę, z której był dumny. Ubrany był w ciepłe walonki, jakąś długą kurtkę podszytą ciepłym materiałem, czapkę z futerkiem i – o ile pamiętam – były i rękawiczki na dwa palce, przerobione z rękawic roboczych. Szokujące były dla mnie niektóre guziki własnej produkcji. Były to małe, podłużne kamyczki przeborowane w środku.

Wyczułem, że było w nim trochę dumy i satysfakcji, że w takiej beznadziejnej sytuacji dał sobie radę, nie wrócił w łachmanach, ale przywiózł jeszcze drewnianą walizkę pełną pamiątek.

Tak zakończyła się najdłuższa podróż mojego ojca. Obawiam się, że już nigdy nie dowiemy się, dlaczego go aresztowano i wywieziono na Syberię. ■

Wspomnienie Stefana Stellera, syna znanego grafika i drzeworytnika Pawła Stellera (1895–1974), ukazało się w 1996 roku na łamach miesięcznika „Śląsk” w Katowicach (w numerze 9). Przedrukujemy je za zgodą Autora i redakcji miesięcznika.

Habraschka i jego relacja

Przez większość dnia poczciwy grubiorz o surowych górnośląskich rysach twarzy, wieczorami zasiadał przy maszynie do pisania. Prawdziwy górnik i pisarz w jednym.

Zdarzało się, że gdy wracał z szczyty do domu, to zakładał frak, muszkę, inteligentne okulary, wsuwał pod pachę rękopisy i na przystanku przy ratuszu w Rokitnicy wsiadał w tramwaj do Bytomia. Przed publicznością złożoną ze studentów, regionalistów, dziennikarzy, inteligencji czytał opowiadania, nowele i wiersze.

Pochodzący z Rozbarku Paul Habraschka (urodzony w 1897 roku) mieszkał w Rokitnicy, dużej gminie w powiecie bytomskim (niemającej wówczas nic wspólnego z Zabrzem). Od piętnastego roku życia pracował jako górnik kopalni „Castellengo” (później „Rokitnica”), a śląska godka była jego pierwszym językowym żywiołem. Co sprawiło, że stał się Niemcem, że poddał się nawet nie akulturacji, czyli przyjęciu tego i owego z niemieckiego systemu kulturowego, lecz pełnej asymilacji? Na pewno dorzuciła trzy grosze formacyjne Wielka Wojna, w której wziął udział jako ochotnik. Ranny w 1916 roku, powrócił do domu i na kopalnię. Niewiele wtedy zapowiadało przyszłego literata.

Dopiero wypadek na dole sprawił, że Habraschka przestał jedynie odczuwać i przeżywać żywioł górniczej „Tiefe” (głębi), podziemnego świata, a zaczął go opisywać. Rozpoczął od krótkich szkiców na łamach regionalnej prasy, m.in. gliwickiego dziennika „Der oberschlesische Wanderer”. Był samoukiem, edukację zakończył na poziomie Volksschule (ośmioro rodzeństwa skłaniało do szybkiego podjęcia pracy zarobkowej). Ale drzemał w nim talent, nie brakowało mu uporu. W dobie polsko-niemieckiego konfliktu o Górny Śląsk był dla Niemców świetnym argumentem: polskojęzyczny Górnolązak, który odnalazł siebie w obrębie kultury niemieckiej i języka niemieckiego.

Jego książki pociągały potrójną egzotyka: precyzyjnie odtwarzane realia górnicze otwierały czytelnika na nieznany świat. Oddziaływała też aura naturalszczyka, który był pisarzem i jednocześnie czynnym zawodowo górnikiem. Po trzecie – etniczny i językowy profil Grenzlandmenscha, człowieka pogranicza. Jego prace czasem ocierały się o grafomanię, ale działała specyficzna aura autora.

W okresie międzywojennym i w czasie wojny Habraschka opublikował kilka pozycji książkowych, drukowanych głównie we Wrocławiu i Opolu, jak

też wiele drobnych utworów prozatorskich i poetyckich, rozsypanych po gazetach, periodykach i kalendarzach. Jego twórczość, wyrastającą z lewicowych intuicji (brat, także deportowany do ZSRR, był komunistą), po 1933 roku propaganda nazistowska zawłaszczyła po części na swoje potrzeby.

Jak wielu innych w lutym 1945 roku Habraschka przeczytał na murach i słupach Rokitnicy obwieszczenia z wytłuszczonymi nagłówkiem „Befehl Nr. 2” („Rozkaz nr 2”). Wzywano w nim mężczyzn do stawienia się w wyznaczonych punktach z zaopatrzeniem na dwa tygodnie. Rozpoczęła się akcja internowania, a potem wywózki. Ponad 1800 osób zabrano z Rokitnicy, większość wywieziono do Zagłębia Donieckiego na Ukrainie.

Także Habraschka znalazł się w Donbasie, w jednym z przykopalnianych obozów. Po kilku miesiącach wraz z dwójką kompanów podjął decyzję o ucieczce. 2 sierpnia 1946 roku, po trwającej dokładnie rok odysei, dotarł do domu w Rokitnicy. Aresztowany przez MO, dwa miesiące przebywał w więzieniu, po zwolnieniu wrócił do pracy w kopalni. W 1957 roku przeszedł na emeryturę.

W tym czasie stał się obiektem starań Wilhelma Szewczyka, który usiłował wobec Habraschki wykonać ten sam zabieg, który powiódł się z Rafałem Urbanem spod Głogówka: z pisarza niemieckiego stworzyć polskiego literata. Bez powodzenia. Bo w 5 maja 1958 roku Habraschka wraz z żoną, w ramach akcji łączenia rodzin, wyjechał do Niemiec Zachodnich i zamieszkał w Hildesheim. Publikował niemal wyłącznie na łamach prasy ziomkowskiej.

Trzy lata przed śmiercią, w 1966 roku, opublikował autobiograficzną powieść *Meinen Tod will ich selber sterben! Erlebnisse als Internierter in der Sowjetunion* (O swojej śmierci zdecyduję sam! Przeżycia internowanego w Związku Sowieckim). Jest ona ciekawym świadectwem tragicznego losu Górnolązaków na deportacji w Sowietach.

Z liczącej 255 stron powieści zamieszczamy kilka fragmentów, które opisują wywózkę oraz początek pobytu w obozie. Wspominany w nich Józef (w powieści Josef Pampuch), to pochodzący z sąsiedniej gminy Górniki (obecnie dzielnica Bytomia) kompan Habraschki z kopalni „Castellengo”. Wspólnie zbiegli z sowieckiego obozu. ■

O SWOJEJ ŚMIERCI ZDECYDUJĘ SAM

Gdy długa kolumna ponad 1500 mężczyzn ruszyła, zaczęła się gwałtowna śnieżycą. Szliśmy pod silną eskortą. Po obu stronach co pięć metrów strażnik z pistoletem maszynowym. Z przodu jechał czołg T-34, na końcu kolumny drugi. Ulice, którymi nas prowadzono, zostały odgródzone, tak, abyśmy nie mogli z nikim z zewnątrz się skontaktować. Kolumna bezimiennych, ludzi zrezygnowanych, bez poczucia celu wiła się w głuchej ciszy przez Gliwice. Marsz w mrok, w nieznane. Dopiero gdy opuściliśmy miasto, odgadliśmy, że idziemy ku Łabędom.

Była gołoleź. Ale ustała śnieżycą i szło się trochę łatwiej. Wielu mężczyzn osłabło i z trudem wlekli się przed siebie, ale każdy natężał ostatnie siły, byle iść dalej, bo nie ustawały okrzyki „dawaj!”. Gdy ktoś się przewracał, podnosili go sąsiedzi, aby marsz nie zatrzymywał się. Dla nikogo nie było tajemnicą, że wyzwoliciele bez przyczyny niejednego zamordowali – strzałem w tył głowy. Strach przed takim losem pędził nas wszystkich w przód. (...)

Maszerowaliśmy dalej ku Pyskowicom. Kije wędrownie stukały miarowo po oblodzonej szosie, заглушая niemal terkot i dudnienie dwóch czołgów. (...) Na dworcu towarowym [w Pyskowicach] sznur ludzi utknął nagle, poruszając się naprzód znużonymi zrywami. Czołg odjechał, za nim poszli strażnicy. Kolejarz stojący przy budce dawał nam do zrozumienia, żebyśmy uciekali, wskazując ukradkiem ręką na wschód. Zbliżył się nieco bliżej i wyszeptał: „Mogę was i kilkoro waszych kompanów, jeśli ich macie, ukryć tak długo, aż pociąg nie odjedzie”. (...) „To za duże ryzyko – powiedział Józef – ale bardzo dziękujemy”.

Wolnym krokiem kolumna ruszyła wzdłuż długiego rzędu sowieckich wagonów bydlęcych, wyraźnie niedawno naprawianych. (...) Wagon był dwudziestotonowy, pełen szpar i otworów. Nagle rozległy się głośnie rozkazy i okrzyk „dawaj!” zaczął wibrować bez ustanku. Żołnierze odsunęli na bok drzwi do wagonów i zaczęli wpuszczać ludzi do środka. Nie obeszło się bez poszturchiwania i przekleństw. (...)

48 mężczyzn upchnięto do jednego wagonu. Po obydwu jego stronach były prycze, wbudowane

w ściany w trzech rzędach, jedno nad drugimi. Pośrodku stał mały, żelazny piec, z którego rura biegła do dachu. Wokół leżały może z dwa cetnary węgla. (...) Odcięci od świata zewnętrznego, załadowani jak bydło, a nawet gorzej, bo bydło się w takiej ilości do jednego wagonu nie upychało. Bydło miało swoją wartość, a my, ludzie, zdawaliśmy się być dla tego systemu bezwartościowi. (...)

Z jednej z górnych prycz ktoś zawołał z poruszeniem: „Kobiety i mężczyźni pracują przy szynach, jedziemy tak wolno, że każdy piechur nas dopędzi. Piszę list do żony, z jej adresem i prośbą o dostarczenie”. Pomysł chwycił i dosłownie wszyscy poczęli szybko pisać. (...) Po krótkiej chwili listy furkotały już z wagonu, rozwiewane przez wiatr na polach. [...] Widzieliśmy jak ludzie na zewnątrz rzucili się za tymi listami, ale Rosjanie zaczęli strzelać jak oszaleli. Sądziliśmy, że w ten sposób ich odstraszono, ale gdy wróciliśmy, okazało się, że listy dotarły jednak do adresatów. (...)

Pociąg zatrzymał się na dużym dworcu. Otwarto drzwi wagonów, ale nikomu nie było wolno wychodzić, tylko tym, którzy roznosili jedzenie. Zimny wiatr nawiewał do wagonów śnieg, aż trzęśliśmy się z zimna. Zbliżyłem się do wyjścia, a za mną Józef. (...) Ujrzelśmy, jak z trzeciego wagonu za nami wyniesiono dwóch zmarłych. Dwie kobiety w grubych płaszczach futrzanych zawiązały im stryczki na szyi i zaciągnęły ich do nasypu, za którym zniknęli. Ślad po ciągniętych zwłokach już po chwili zasypany został przez sypiący wściekle śnieg. (...) Nad granicą [polsko-sowiecką] zatrzymaliśmy się ponownie, drzwi otwarto. Musieliśmy zamykać oczy, bo niebo było bezchmurne i oślepiał nas śnieg. (...)

Dwa wagony dalej stali dwaj polscy kolejarze, rozmawiający z mężczyznami z wagonów. Wtem nadszedł kierownik transportu, oficer, wraz z czterema żołnierzami. Dał im sygnał, na który żołnierze złapali obydwu kolejarzy i wpakowali ich do tego wagonu, gdzie wcześniej zmarło dwóch mężczyzn. Obaj urzędnicy gwałtownie protestowali, broniąc się rozpaczliwie. (...)

Pochód nowoczesnych niewolników zatrzymał się jak uderzony pejcem. Było już po północy, ciemności, że oko wykol. Mieliśmy uczucie, że znajdujemy się w mrocznej pustce, zawieszeni nad przepaścią – choć po kostki tkwiliśmy w błocie. Gdzieś w głębi migotało ognisko, rzucając upiorny blask na otoczenie. Przed nami stał płot z drutu kolczastego i szeroka brama z wartownią. Za nimi tonęły w mroku baraki, na których widok odetchnęliśmy z ulgą.

Padł rozkaz, by ustawić się piątkami i wmaszerować do obozu. Powoli wchodziły kolejne grupy, przy głośnym poganianiu przez cywilne stráže. Józef i ja dziwiliśmy się, że ognisko co rusz rozpala się i wyrzuca w niebo iskry. Dopiero, gdy zbliżyliśmy się, ujrzeliśmy, że były to kije wędrownie, które kazano ciskać w ogień. Mój przyjaciel zauważył z ironią: „To żebyśmy ich tymi kijami nie zaatakowali”. (...)

Wreszcie dowlekliśmy się do baraku. Strażnik otworzył prymitywne drzwi z belek i wpuścił do środka trzydziestu mężczyzn, po czym pozostawił nas w ciemności. Czuć było wapnem, powietrze było wilgotne i stęchłe. Niektórzy zapalili ogarki świeczek. Znajdowaliśmy się w niskim pomieszczeniu o powierzchni około pięciu metrów kwadratowych, z piętrowymi pryzkami ustawionymi przy trzech ścianach. Zaczęła się walka o najlepsze miejsca, padały przekleństwa i obelgi. Józef i ja ulokowaliśmy się na małym kawałku wolnej przestrzeni na pierwszym piętrze. (...)

Józef obudził się jako pierwszy. Przez małe, brudne okienka wpadało do środka nieco światła. Powietrze w przepełnionym pomieszczeniu było okropne. Prawie wszyscy jeszcze spali, co zdradzało chrapanie w najrozmaitszych tonacjach. Zwlekliśmy się z pryczy i wyjrzelśmy na dwór. Już świtało i mogliśmy dobrze rozejrzeć się po otoczeniu. Nasz barak, wykonany z drewna i gliny, leżał kilka metrów od płotu z drutu kolczastego. Za drutami znajdowa-



Paul Habraschka

ła się kopalnia z typowymi szpiczastymi hałdami, tworzącymi kulisy w jej tle. Wieże wyciągowe były zburzone, podobnie jak maszynownia i wszystkie inne budynki. W prawo ciągnął się rząd nędznych, parterowych domków. W żadnym oknie nie było pełnej szyby, jedynie kawałki, które prowizorycznie tam powtykano. (...) Nigdzie nie widzieliśmy czystych firanek. (...) Spoglądaliśmy w milczeniu na ten beznadziejny krajobraz, który z powodu gęstych chmur wydawał się jeszcze bardziej beznadziejny. Gdy zaczął padać deszcz, wróciliśmy do baraku.

W środku rozjaśniło się i wszystko dało się dobrze obejrzeć. Ubite gliniane klepisko stało się śliskie od naniesionego

wczoraj błota. Brakowało pieca, stołu, ław, a między pryzkami było tak ciasno, że każdy musiał trzymać się swojego miejsca na pryczy. Wszyscy mężczyźni obudzili się. Dziwne, ale nie panował hałas. Każdy zdawał się głęboko przejęty myślą, że ten „raj robotników” stanie się dla nich piekłem. Pograżeni w ponurych myślach, tkwili na pryczach. Na twarzach braci Minkusów malowało się wyraźne rozczarowanie, tym głębsze, że byli oni od 1919 roku przekonani komunistami, pokładającymi fanatyczną wiarę w system sowiecki. Wydawali się chyba bardziej ugodzeni ostatnimi przeżyciami niż my wszyscy. (...)

Nieludzkie warunki bytowe, ciasnota, coraz większe od deszczu i śniegu błoto wkrótce niszcząco się na nas odbiły. Ludzie byli wyczerpani, nogi ciążyły jak ołów, u wielu członki mocno nabrzmiały – zaczęła się puchlina. Mój przyjaciel nazwał tę przypadłość chorobą donbaską. Inni cierpieli już na wycieńczenie. Pojawiła się grupa ciężko chorych, których trzeba było odtransportować. Dokąd? „Niczewo!” Ślad po nich zaginął. A potem przyszła bieżanina do ustronnego miejsca, które składało się z rowu z deskami z dwóch stron, na których trzeba się było ustawić, by ze zgiętymi kolanami załatwić potrzebę. Niemal wszyscy nosili już brody, skrywające wychudłe albo, przeciwnie, napuchnięte, twarze. (...)

Paul Habraschka, *Meinen Tod will ich selber sterben! Erlebnisse als Internierter in der Sowjetunion*, Grenzland-Verlag, Wolfenbüttel 1966 (tłumaczył z niemieckiego Sebastian Rosenbaum)

ŁAPANKA

Pierwsze spotkanie z „oswobodzicielami” – tym razem radzieckimi – przeżyłem w szpitalu. Stamtąd słyszałem strzelaninę, wybuchy pocisków armatnich, padające bomby. Prawdziwa wojna u nas w Szopienicach. Trwało to niedługo, bo zaledwie parę godzin.

Nawet nie spędzono nas do schronu, gdyż personel szpitalny za bardzo był zajęty pakowaniem się w pośpiechu, zaskoczony nagłą ofensywą sowiecką. Niemieccy lekarze nie zdążyli nawet zabrać z sobą najbardziej im potrzebnych rzeczy osobistych, jak pędzle i maszynki do golenia. W naszej łazience szpitalnej pozostała niewyczyszczona maszynka do golenia, mimo że młody lekarz był okropnym pedantem. Nie wiem, czy zdążył się ogolić i czy wygolił starannie włosy w uszach. Z całego personelu szpitalnego pozostały tylko siostry zakonne i lekarz naczelny, który był Ślązakiem. Reszta przysła. Nastąpiła śmiertelna cisza i wszyscy wyczekiwalismy ludzi radzieckich. Wyglądaliśmy przez okna na podwórko szpitalne, ze strachem wyglądaliśmy na ulicę. Było bardzo zimno. Nagle jak na komendę znaleźliśmy się wszyscy chorzy w łóżkach, grzecznie przykryci kołdrami, niektórzy udawali, że śpią. Otworzyły się drzwi naszej sali, w której leżało 20 chorych, i siostra wprowadziła trzech żołnierzy radzieckich. Jeden był starszy rangą i wyglądał jak normalny Europejczyk, dwaj pozostali mieli skośne oczy i robili wrażenie dzikich. W rękę trzymali pistolety maszynowe, ubrani w długie postrzępione szyniele, przy boku wisały dosyć spore wojskowe torby. Jak się później dowiedziałem, były to torby na prowiant, w których znajdował się cukier zmieszany razem z machorką. Na głowach typowe papachy, na które wciśnięte były hełmy z dużą czerwoną gwiazdą. Wyglądali identycznie jak na niemieckich propagandowych „Sieg – oder Bolschewismus” („Zwycięstwo albo bolszewizm”).

Pamiętam, że słyszałem łomot mojego serca. Przyszli. Ten wyglądający po europejsku zapytał łapanką

maną polszczyzną, czy jesteśmy Polakami i czy nie ma wśród nas Niemców: „Germaniec tu jest, czy nie ma?” Odpowiedzieliśmy wszyscy zgodnym chórem, że Niemców nie ma, a my wszyscy Polacy. Była to prawda – poza jednym wyjątkiem. Był wśród nas Niemiec, gdzieś z Bawarii. Przywieziono go poprzedniego dnia do naszej sali nieprzytomnego. On też jedyny nic nie wiedział, co się dzieje. Siostra nawet nie mogła go dobudzić, by coś zjadł. Leżał i głośno chrapał. Zwróciło to uwagę żołnierza radzieckiego europejskiego wyglądu. Podszedł do mnie i zapytał, czy on też Polak. Na co odpowiedziałem stanowczo, że tak. Widocznie uznali moją odpowiedź za wystarczającą, bo zabrali się i poszli. Wtedy dopiero zrozumiałem niebezpieczeństwo, które mi groziło, gdyby dowiedzieli się, że był to żołnierz niemiecki. Z tego przejścia zasnąłem jak kamień. Obudziła mnie siostra, która przyniosła kolację. Na moim łóżku przy nogach leżała malutka kartka z jednym tylko słowem po niemiecku „danke”. Spojrzałem w stronę mojego sąsiada, nieprzytomnego żołnierza, lecz łóżko było już zasłane. Zdaje się, że uratowałem życie człowieka.

Gdy mogłem już chodzić, zrobiłem pierwszy spacer po budynku szpitalnym, a raz zapuściłem się aż do ogrodu szpitalnego, gdzie była kostnica. Zatrzymał mnie widok trupów, które leżały pod murem budynku szpitalnego. Nie wiedziałem, co robić – czy iść dalej, czy zostać. Byłem wstrząśnięty. Leżało tam kilkunastu żołnierzy niemieckich, wszyscy mniej więcej w moim wieku – 17, 18 lat. Przeleciała mi przez głowę okropna myśl, że mógłbym leżeć pomiędzy nimi. Wszyscy mieli ściągnięte buty, ich sinobiałe, bose stopy ułożone były starannie i równo, jakby stały na baczność. Przez uchylone drzwi w kostnicy na marach widziałem trupa radzieckiego żołnierza. Mogłem już z daleka rozpoznać, że był to oficer, gdyż miał na patkach złote gwiazdki. Podszedłem, by go zobaczyć z bliska. Zamiast twarzy zobaczyłem jamę. Wyglądało to jak wydrążony fioleto-czerwony arbuz.

Po paru dniach wyrzucono mnie ze szpitala, gdyż potrzebne były miejsca dla rannych żołnierzy radzieckich. Potrafiłem o własnych już siłach poruszać się i jakoś doszedłem do domu. Szpital odległy był od domu o parę kilometrów, więc wędrówka moja trwała bardzo długo. Musiałem co chwila przystawać i odpoczywać. Po drodze widziałem tylko pijanych radzieckich żołnierzy, którzy nie zwraca-

Jeszcze jedną relację z tego czasu przynosi „Nieukończona autobiografia” malarza Hilarego Krzysztofiaka (1926–1979). Pochodzący z Szopienic, a zmarły w USA artysta zapisał w niej m.in. lata dzieciństwa i młodości na Górnym Śląsku. Z tej autobiografii, zamieszczonej w ostatnim numerze kwartalnika „Zapis” w 1981 roku, przytaczamy rozdział „Łapanka” ze wspomnieniem wejścia Armii Czerwonej do Szopienic w 1945 roku.

cali na mnie uwagi. Na głównej ulicy, przed splądrowanym przez żołnierzy i ludność konsumem, stał pijany Rosjanin – oczy w słup, nieprzytomny, ścisnął przegub prawej ręki, która oczekiwała krwi. Zdaje się, że przed nim leżała dalsza część ręki – tak jakby ochłap krwawy. Drugi żołnierz leżał pijany na ulicy i okropnie kłął na tego stojącego, miotając wyzwiskami w ojczystym języku. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i zwymiotowałem.

Pierwsze dni mojego pobytu w domu – a był to już inny dom – przeleżałem jeszcze w łóżku. W czasie mojego pobytu w szpitalu brat zdobył mieszkanie poniemieckie, które składało się z trzech pokoi i autentycznej łazienki z blaszaną chmurką, z której leciała woda. Był to prysznic. Mieszkanie było jeszcze ciepłe po poprzednich lokatorach. Pozostały nawet przedmioty codziennego użytku. Reszta pochodziła z tak zwanego szabru. Szabrowano wtedy na lewo i prawo, gdzie się dało. Aha, zapomniałem napisać, że nowe mieszkanie należało do niemieckiego kata, więc nie trzeba mówić, jak się człowiek w nim czuł.

Pewnego dnia rodzina postanowiła pójść do kina. Otwarto bowiem pierwsze kino w Szopienicach. W programie była *Królowna Śnieżka* Disneya. Wysłało mnie, bym kupił bilety na wieczorny seans. W drodze do kina zatrzymała mnie milicja – jeszcze w cywilu – i kazano mi się wylegitymować. Nie posiadałem żadnych papierów, gdyż wyszedłem dopiero co ze szpitala. Miałem tylko zwolnienie szpitalne, ale nie zabrałem go z sobą. Tłumaczyłem jak mogłem, że jestem rekonwalescentem, lecz na nic się to nie zdało. Skoro nie posiadałem papierów, uznano, że jestem niezatrudniony, a Polska Ludowa potrzebuje sił do pracy na terenie kopalni „Giszowiec”. Oddali mnie żołnierzom radzieckim, którzy zbierali ludzi na dziedzińcu szkolnym, aby ich potem odtransportować do pracy w kopalni, a niektórych wywieziono nawet gdzieś w niewiadome. Podobno do Rosji. Pod eskortą radzieckich żołnierzy część mężczyzn, zabranych z grupy na dziedzińcu szkolnym i po uprzednim zaklasyfikowaniu kto do czego się nadaje, zaprowadzono do kopalni „Giszowiec”, która oddalona była mniej więcej o 8 kilometrów. Było zimno. Nie miałem nawet palta, gdyż wyszedłem tylko po bilety. Rozpacz moja była ogromna. Bałem się przede wszystkim nawrotu choroby. Próbowałem tłumaczyć „towarzyszom radzieckim”, że jestem chory. „Niczewo, niczewo! Znamy takich, którzy chcą się wymigać od obowiązków obywatelskich!” Był to pierwszy chrzest od nowej „władzy ludowej”.

Kiedy uszliśmy pierwsze parę kilometrów, poczułem strach. Wiedziałem, że sytuacja jest beznadziejna. Co robić? Przecież nie pozwolę, by „oswo-

bodziciele” robili ze mną, co chcą. Szukałem usilnie jakiegoś wyjścia. Pomiędzy Szopienicami a Giszowcem był las, mały zagajnik. Podszedłem pod pierwsze lepsze drzewo, by się wysuszyć. Natychmiast podszedł żołnierz, grożąc, że mnie zastrzeli, jeśli nie wrócę z powrotem do szeregu. Lecz w tym momencie zauważyłem, że inni poszli za moim przykładem i też jak na komendę siusiali pod drzewami. Mój strażnik zwrócił się do innego z nas, grożąc mu tak samo jak mnie, że go zastrzeli. Już chciałem wrócić do szeregu, kiedy zauważyłem, jak jeden z transportowanych uciekał przez las. Strażnik zaczął strzelać za nim, a inni żołnierze poszli jego śladem. Wtedy wykorzystałem chwilę nieuwagi i wskoczyłem w rów – kanał szopienickich fekalii. Nie bacząc na strzały zacząłem tym rowem biec, taplając się być może w moim własnym gównie.

Na szczęście rów ten zaraz zakręcał, tak że byłem już niewidoczny. Ponieważ takich uciekinierów jak ja było więcej, więc żołnierze stracili panowanie nad grupą. Raz obejrzałem się tylko, by sprawdzić, jak daleko udało mi się zbiec i zobaczyłem dosyć duże zamieszanie w transporcie. Biegłem co tchu. Rów kończył się rurą, która wychodziła z pagórka. Wydrapałem się na powierzchnię i biegłem dalej, zostawiając ślady gówna na chodniku. Pół martwy przybiegłem do domu. Rodzina moja była zawiedziona, że nie przyniosłem biletów do kina... Moje opowiadanie o łapanie na ulicy nie zrobiło większego wrażenia. Nikt nie miał w tej dziedzinie żadnego doświadczenia, więc nie mogłem im się dziwić. Przypląciłem to jednak następnymi paroma dniami w łóżku. Nie mogłem jakoś wykaraskać się z choroby.

Innym razem padłem ofiarą „przyjaźni polsko-radzieckiej”. Brat mój jako jeden z projektantów (nie mając o tym pojęcia) budował wraz z saperami radzieckimi most na Brynicy. Otwarcie mostu nastąpiło dosyć uroczystie, a uroczystość ta odbywała się w naszym mieszkaniu. Oficerowie radzieccy przynieśli tak zwaną zagrychę w postaci wędzonego paprykowanego boczką i nieograniczoną ilość samogonu. „Mili towarzysze” postanowili mnie schorowanemu prawie siłą wlać tego samogonu do gardła. Twierdzili przy tym, że jest to jedyny środek na wszystkie choroby. Przypląciłem to pijaństwo znów następnym tygodniem choroby i niemocy. Uroczystość ta zakończyła się pościgiem za narzeczoną mojego brata, udało się jej jednak uciec do rodziców i uniknąć zgwałcenia. Brat miał z tego powodu nieprzyjemności ze strony oficerów radzieckich. Tłumaczyli mu, że wyzwolili jego ojczyznę, a on zachował się wobec nich niegodziwie, ukrywając przed nimi narzeczoną. (...) ■

W PŁEKKLE

trawa nie rośnie

Jaki obraz zapamiętałam...? Ręce... Wyciągnięte po chleb... Wszędzie to samo... Najbardziej bałam się tych rąk... Dlaczego ci ludzie tak krzyczą...? Dlaczego tu jesteśmy...? Nie byłam już dzieckiem, skończyłam czternaście lat...

Doktor Glombitza podcinał żyły tym, którzy dostawali za duże paczki... Kiedyś przemknęłam się do jego gabinetu... – Co tu robisz...? – zapytał. Tu jest moja matka, ona nie ma tu nikogo... – Zgłosisz się do bunkra... Już wtedy nikt nie pilnował bunkrów... Ludzie stali po pas w wodzie... Ale to już nie byli ludzie... Ci, którzy oddawali na nich mocz, też nie byli ludźmi... Proszę mi powiedzieć, kim byli ci ludzie... Pana interesuje, kim byli ci w środku...? Naziści, proszę pana, już dawno byli w Niemczech...

Kobieta coraz bardziej opadała z sił... Męczyło ją opowiadanie... Opowiadanie stawało się coraz bardziej chaotyczne... ..

Nie śpiewało się dużo w obozie... Rano śpiewaliśmy „Kiedy ranne...”, wieczorem – „Wszystkie nasze dzienne...”. Polscy oficerowie i strażnicy zdejmowali czapki... Nie robili tego na widok trupów... Widok chleba był rzadszy niż widok trupów... Tym samym drabiniastym wozem, co wywożono trupy, przyjeżdżał chleb... Potem już nie było chleba... Potem było już tylko umieranie... Na ziemi nie było ani

kępki trawy... Ludzie jedli trawę razem z ziemią... Mniej wybredni polowali na szczury... Polowali na puszki po konserwach... Puszki były bardzo cenne... Bo nabierało się do nich wody... Czatowali na umierających...

Najcenniejszą rzeczą, jaką miał umierający, była puszka po konserwach... Frau Igła leżała na podłodze... Szeptala: „Kawy, Kawy...” – Jak miałaś tyle do żarcia, to sama żarłaś, a teraz chcesz, żebyśmy ci coś dały... – baby z baraku otoczyły ją, zaczęły wrzeszczeć i szarpać... „Ja za chwilę umrę, zostawcie mnie...”, wyszeptala... Zdarły z niej suknię... I zaczęły wymacywać podszewki... Uschi miała nieoprawione brylanty, zaszyte w spódnicy... Bochenek za brylanty... Jej trzy córki – najmłodsza miała szesnaście, druga osiemnaście, najstarsza dwadzieścia jeden – zostały zgwałcone... Jedna po drugiej... Jednoręki kapo wizytował baraki i szukał młodych dziewczyn... Uschi wzięła nas pod spódnice, kazał jej podciągnąć spódnice i pokazać nogi... „Za stare...” Uratowały nas jej stare nogi... Kiedy zaczął się tyfus i matka dostała wysokiej gorączki, zdjęłam biust-

Publikowany fragment pochodzi z przygotowywanej do druku powieści Stanisława Mutza, sagi rodzinnej rozgrywającej się na górnośląskim pograniczu i na czterech kontynentach w ciągu czterystu lat.



rysunek: Magdalena Wojtyła

nosz i majtki i podarłam na okłady... „Co, umierają...?”, zapytał Morel... „Chorych wyprowadzić, resztę może się da uratować...”

Nie wiem, czy dokładnie powiedział to... Nie powtórzyłam tego przed sądem... Nie chciałam, żeby ktoś ulitował się nad tym bydlakiem... Pan wie, że nawet wyciągnęłam do niego rękę...? Zobaczyłam niechlujnego, brudnego starca... Powiedziałam: „pan mnie poznaje, panie Morel?” Odsunął się tylko ze wstrętem, tak jakbym to ja była brudna i śmierdząca, może pamiętał mnie taką – zawszoną, z łysą głową, śmierdzącą... On wtedy był innym człowiekiem – postawny mężczyzna, z czarną czupryną... Można się było w nim zakochać... Powiedział, że jestem wariatką... Powiedział to na sali sądowej... Szkoda, że nie kazał mnie zbadać...! Ja nie mam żadnego numeru...! Kobieta zaczęła zakasywać rękawy... Nie mam nic – żadnego śladu...! Mam tylko chorą głowę, która o niczym innym nie potrafi myśleć...

Pelka stał wyprostowany przed kobietą. Też był postawnym mężczyzną w sile wieku i miał czarną czuprynę. – Ja muszę to opowiedzieć do końca! Jutro mogę się nie obudzić i będzie koniec...! Kobieta znowu zaczynała wpadać w tę swoją drobnomieszcząńską, zakłamaną histerię – egzaltacja i histeria, z technicznego punktu widzenia lub z punktu widzenia dobra sprawy, niczemu nie służyły, były marnowaniem energii...

„Proszę kończyć”, powtórzył Pelka, skinieniem odprawił kompanów za drzwi, sam usiadł: „Teraz, niech pani opowiada. Co powiedział pan Morel? To ważne. My to mamy w aktach sprawy i możemy skonfrontować.” Kobieta chyba nie zrozumiała pogroźki. „Gdy umrę, każdy będzie mógł opowiadać bajki...” Oficer uśmiechnął się uprzejmie: „Tego chcemy uniknąć. Nie powiedziała pani czegoś, co mogło uratować człowieka, zataiła pani prawdę...” – „Człowieka!? Pan nazywa go człowiekiem!? On sam się uratował, nie potrzebował mojej pomocy...! Państwo Izrael nie wydaje swoich

obywateli – nie to co Polska! Nie powiedziałam... Tak, nie powiedziałam...! Ale czy to ważne, co ja mówię, co on mówi!? Ważne, co robił...!

Mężczyzna posmutniał. Po raz pierwszy też spojrział na kobietę: „Proszę nam opowiedzieć o matce.” Pokój był pusty. Była tylko ona i on. Dwa krzesła przedzielone stołem. Nam – czyli komu? Sobie, przede wszystkim, sobie...

Nie cieszyłam się na widok matki... Kiedy przyczołgała się do mnie na czworakach... Łysy szkielecik z owrzodzoną raną z tyłu czaszki... To od tego uderzenia w beton, kiedy zrzucili ją z pryczy... Opowiadałam już, jak ją znalazłam...? Przemknęłam pod barakiem – były tam takie niskie okienka... Robiłam jej okłady... Podarłam swoją bieliznę... Biustonosz i majtki... Kiedy się obudziłam, plac był prawie pusty – wszędzie było tylko pełno szczurów – szczurów było więcej niż ludzi... Zobaczyłam swoją matkę... „Czy ktoś widział moją córkę, Dorotę, taką małą dziewczynkę...?” powtarzała... To nie była moja matka... Moja matka nosiła eleganckie kapelusze, buciki, długi sznur prawdziwych pereł i futra z norek... To brudne, śmierdzące stworzenie nie przypominało mojej matki... Nie czułam nic – żadnej radości ani smutku...

Kazali nam sprzątać baraki... Protezy, okulary, laski... I wszędzie te szczury... Obozowy przysmak... Nigdzie nie było kępki trawy... Ludzie ją zjedli... Tak, ludzie jedli trawę... Mówiłam o trawie...? Kiedy nasz pies wyszarpuje kępki trawy w naszym ogrodzie, to widzę ludzi na czworakach, którzy robią to samo... In der Höle wächst kein Gras! Pan to rozumie...? Rozumie pan po niemiecku...? W piekle nie rośnie trawa... W przedsiönku też nie... A to był dopiero przedsiönek... Byliśmy wolni... Sanitarisze z Czerwonego Krzyża kręcili się po placu... A Morel krzyczał do Glombitz i bił go na pokaz... „Du, deutsch Murder...!” Po raz pierwszy krzyczał po niemiecku...! Wcześniej, pewnie pan słyszał, układał z więźniów piramidki i bił ich nogą od krzesła i kazał śpiewać „Horst Wessel Lied”... Najpierw trzeba było się tego nauczyć... Kto nie śpiewał, dostawał nogą od krzesła...

Tych spod spodu wyciągali martwych... Ja nie powiem panu, ilu było w obozie faszystów, ilu sympatyków, a ilu zwyczajnych prostych ludzi, którzy akurat weszli w łapy panom z biało-czerwoną opaską... Ja do dziś się boję tej kolorystycznej kombinacji...

Ostatnio, byłam na spacerze i usłyszałam ryk – podobny do wybuchu bomby, od strony dworca – teren dworca, więzienia na Mikołowskiej, Komendy też należał kiedyś do naszej rodziny... Mówiłam: ryk – detonacja – atak wojska... Potem, powiedzieli mi,

że to kibice wracają z meczu... „Polska – Białe-Czerwoni”, wrzeszczeli... I wie pan, co...? Ja słyszałam tylko „Polska” i „Czerwoni”... Podczas państwowych świąt, nigdy nie wychodziłam z domu... Aż nie pozdejmowali flag...

A można tego wszystkiego było uniknąć... W tak prosty sposób... Był początek stycznia, między ósmą a dziewiątą pojawił się u nas taki potężny esesman z końską szczęką, dzwonił na dwa dzwonki i ryczał: „Bis sieben müssen Sie die Wohnung verlassen...! Die Letzte Züge aus Kattowitz...! Bis sieben...!” I tak chodził od klatki od klatki i ryczał... Mama znalazła sanki... Poowijała babcię w kocę i futra... Do środka wcisnęła biżuterię i pieniądze, i bunclok złota. Ze smalcem na wierzchu... Moja babcia miała siedemdziesiąt osiem lat... Powiedziała tylko: ratujcie się wy – zabierzcie dziecko... Ja swoje życie przeżyłam... Uciekajcie przed bolszewikami... Mama postanowiła: albo wszyscy albo nikt... Niedługo potem babcia miała skończyć swoje życie, w piwnicy... My z matką przeżyliśmy...

Siedziałam przed bramą obozu, na takim wielkim kamieniu... Pamiętam zachód słońca i moją matkę... Nie miała siły iść... Szła na czworakach... Niedaleko miała stragan nasza była dozorczyń, sprzedawała zioła i przyprawy... Pomogła mi zaprowadzić matkę do tramwaju... Nie miałyśmy żadnych pieniędzy... Ja miałam tylko wypis z obozu... Matka nie dostała nawet tego... Wypchnęli ją za bramę jak psa zarażonego świerzbem... Trzymałam potem ten wypis w skrzynce licznika na prąd... Potem wyrzucili nas z mieszkania babci... Ojca aresztowało UB... Roniker mówił do mojego ojca: „Uciekajmy, Karol, sowieci idą...” A mój ojciec żartował: „Nie bądź głupi, za chwilę przyjadą piękne Rosjanki...”

Przypomniała mi się Elfrida... Urażyli ją obiadem w hotelu „Polonia”, a potem gwałcili jeden po drugim... Bandyci...! Bandyci kazali nam milczeć...! Nawet przed sobą... Wie pan, że mój brat zginął w powstaniu... Na takiego Niemca wychował go mój ojciec...! Ojca uniewinnili...

Ale najpierw skasowali mu cały majątek... Porucznik Światło osobiście zajął się jego sprawą... Inny prokurator paradował w jego futrze... Po rozprawie, ojciec podszedł do niego i mówi: „czy pan wie, do kogo należy to futro...” A on tylko pochylił się nad nim i powiedział: „a pan wie, do kogo należy ten kraj...?” Odwrócił się na pięcie i wyszedł... A pan może mi odpowiedzieć na to pytanie...? Bo ja nie wiem... ■

Stanisław Mutz – poeta, eseista, dramaturg, autor sztuki w dialekcie śląskim *Polterabend* wystawionej w Teatrze Śląskim w Katowicach w 2008 roku



W TYM MIEJSCU
W LATACH 1942-1943
NA TERENIE HUTY „ZGODA” W ŚWIĘTOCHŁOWICACH
MIESZCILI SIĘ OBOZ PRACY PRZYMUSOWEJ
DLA LUDNOŚCI POCZUDZENIA ŻYDOWSKIEGO
A W LATACH 1943-1945 FILIA NIEMIECKIEGO
OBOZU KONCENTRACYJNEGO AUSCHWITZ
NEBENLAGER EINTRACHTNÜTTE
W KTÓRYM WIEZIONO TYSIĄCE WIEŹNIÓW
RÓŻNYCH NARODOWOŚCI.

W 1945 ROKU
KOMUNISTYCZNE WŁADZE ZORGANIZOWAŁY TU
OBOZ MINISTERSTWA BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO
GŁÓWNIEM DLA MIESZKANCÓW GÓRNEGO ŚLĄSKA.
WSRÓD WIEZIONYCH TU W NIELUDZKICH WARUNKACH
ZNALEZŁO SIĘ WIELE NIEWINNYCH OSÓB.

BRAMA TA JEST JEDYNĄ POZOSTAŁOŚCIĄ
FUNKCJONUJĄCYCH W TYM MIEJSCU OBOZÓW.

PAMIĘCI PONAD DWÓCH TYSIĘCY OFIAR
TOTALITARNEJ PRZEMOCY SYSTEMÓW
NAZISTOWSKIEGO I KOMUNISTYCZNEGO,
KTÓRE ZA TĄ BRAMĄ STRACIŁY ŻYCIE.

NIECH ICH IOS BĘDZIE PRZESTROGĄ
DLA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ

ŚWIĘTOCHŁOWICE
2009

W TYM MIEJSCU
W LATACH 1942-1943
NA TERENIE HUTY „ZGODA” W ŚWIĘTOCHŁOWICACH
MIESZCILI SIĘ OBOZ PRACY PRZYMUSOWEJ
DLA LUDNOŚCI POCZUDZENIA ŻYDOWSKIEGO
A W LATACH 1943-1945 FILIA NIEMIECKIEGO
OBOZU KONCENTRACYJNEGO AUSCHWITZ
NEBENLAGER EINTRACHTNÜTTE
W KTÓRYM WIEZIONO TYSIĄCE WIEŹNIÓW
RÓŻNYCH NARODOWOŚCI.

W TYM MIEJSCU
W LATACH 1942-1943
NA TERENIE HUTY „ZGODA” W ŚWIĘTOCHŁOWICACH
MIESZCILI SIĘ OBOZ PRACY PRZYMUSOWEJ
DLA LUDNOŚCI POCZUDZENIA ŻYDOWSKIEGO
A W LATACH 1943-1945 FILIA NIEMIECKIEGO
OBOZU KONCENTRACYJNEGO AUSCHWITZ
NEBENLAGER EINTRACHTNÜTTE
W KTÓRYM WIEZIONO TYSIĄCE WIEŹNIÓW
RÓŻNYCH NARODOWOŚCI.

Nienapisana powieść

Wyobraźmy sobie, że w 1947 roku ukazuje się powieść, nie żadna saga czy dziejowy fresk, bardziej długie opowiadanie niż nowela. Jej treścią byłby powrót górnośląskiego górnika, wcześniej wywiezionego podstępnie na dwa lata do morderczej pracy w kopalniach Doniecka albo Workuty.

W tej prozie mogłoby być wszystko, czego oczekiwano od realistycznej powieści. Tragedia rozłąki rodzinnej, starania żony w urzędach – być może u samego wojewody śląsko-dąbrowskiego – o uwolnienie małżonka, wreszcie radość powrotu przyćmiona wspomnieniem mordu. Pod nieobecność męża czerwonoarmiści zastrzelili rodziców żony, ją samą zgwałcili. Nie obronili jej sąsiedzi wywiezieni do jednego z opustoszałych hitlerowskich obozów. Połączeni na nowo małżonkowie mogliby żyć, postarać się o rehabilitację narodowościową, gdyby nie ciąża żony i myśl o ruskim bękarcie, którego trzeba będzie pokochać i wychować (bo katolicka pobożność Górnoślązaczki nie pozwoliłaby jej na aborcję). Powieść mogłaby zakończyć się pochwałą człowieczeństwa.

Niestety żaden z pisarzy nie podjął takiego tematu. Zresztą nie było to możliwe, bo polska proza podryfowała już w stronę realizmu socjalistycznego. Dlatego Górny Śląsk musiał kojarzyć się z odbudową przemysłu, współzawodnictwem pracy, internacjonalistycznym patriotyzmem zachowanym mimo germańskiej niewoli, wszystko zgodnie z propagandowym modelem.

Już prędzej dzieło mogłoby powstać na fali odwilży 1956 roku. Przez kilka miesięcy można było spróbować rozliczenia ze stalinizmem. Ale pryncypia socjalistycznej ojczyzny, w której czerwonoarmista pokazywany był jako wyzwoliciel, a Związek Radziecki jako państwo przyjazne – szybko odyskały pisarski rząd dusz. Z kolei twórcy emigracyjni bez przeszkód walczyli o sowieckie wywózki, lecz tylko w kontekście Kresów Wschodnich. Rozliczenia Górnoślązaków z wpisem na volksliście, Wehrmachtem czy deportacjami lub wysiedleniami nie nęciły pisarzy za żelazną kurtyną.

Zatem temat pozostał w rękach miejscowych literatów. Do prozaików, którym znana była powojenna niedola Górnoślązaków, należał Wilhelm Szewczyk. Ze zrozumiałych względów nie mógł otwarcie nazywać faktów. Mimikra pisarza polegała na potępianiu zachodnioniemieckich rewizjonistów czy narodowych zaprzańców znęconych cudem gospodarczym nad Renem. Do takich czarnych charakterów zaliczyć można postaci z powieści *Trzciny* opublikowanej w 1964 roku.

Akcja powieści – napisanej w konwencji małego realizmu – działa się na Opolszczyźnie w okresie małej stabilizacji. Wydarzenia lat powojennych były już odległe, ale powieściowi bohaterowie, rodzina autochtonów Wodeckich, wciąż odczuwali ich skutki i ciążące na nich odium niemieckości. Podobnie jak Klara, podstępem zmuszona przez znudzonego nią polskiego kochanka do wysiedlenia do Niemiec, mimo że z ducha czuła się Polką. Poprzez nakreślenie konfliktu pomiędzy polską ludnością napływową a Ślązakami udało się Szewczykowi nakreślić, chociaż powierzchownie, rozliczenia śląskiej ludności z przeszłości. Pisarz podejmował temat także w publicystyce, gdzie bardziej wprost występował jako obrońca Górnoślązaków. „Polska wróciła tu w majestacie wyzwolicieli, ale i w towarzystwie bezprawia, które spadało na ocalone tutaj skupiska ludności rodzimej” – pisał w przedmowie do wydania śląskich reportaży Jana Wiktora.

Konflikt pomiędzy autochtonami i przybyszami z centralnej Polski zarysowano także w prozie Jerzego Gałuszki. Bohaterami powieści *Poznani nocą* (1962) byli Maria i były partyzant Karol, który z nienawiści do Niemców gwałcił Ślązaczkę, z którą potem połączył go uczucie. Nieco karkołomna i mało wiarygodna fabuła obrazowała kontakty pionierów z ludnością rodzimą. Pod wpływem uczucia bohater rozumiał życiowe zakręty Ślązaków, a jego przemianę odzwierciedliły słowa szpitalnego portiera, że wojna na Śląsku też była koszmarem.

Nieliczne utwory podejmujące częściowo los Górnoślązaków są odpryskami rzeczywistości nieprzedstawionej w polskiej literaturze. Po transformacji zmieniło się niewiele. Mimo że ukazało się wiele opracowań historycznych czy publicystycznych, nadal brak prozatorskich. Młodzi prozaicy, jak Wojciech Kuczok czy Radosław Kobierski, dość demonstracyjnie odwracają się od tej tematyki plecami. Nawet Szczepan Twardoch, rozdrapujący polsko-niemieckie blizny, jakoś nie kwapi się do sięgnięcia po ten temat. Tragedia górnośląska wciąż czeka na autora, który – co bardzo prawdopodobne – może się nigdy nie pojawić. ■

Ryszard Bednarczyk – krytyk literacki, dziennikarz, poeta



Wysiedlałem Horsta Bienka

z socjologiem ANDRZEJEM ZIEMIŁSKIM rozmawia ADAM KRZEMIŃSKI

Adam Krzemiński: Panie Andrzeju, to pan wysiedlał Horsta Bienka z Gliwic?

Andrzej Ziemiński: ■ Może nie dosłownie, ale w Gliwicach znalazłem się bardzo wcześnie. W lutym 1945 roku wyszedłem z partyzantki akowskiej w Tatrach, w Krakowie zgłosiłem się do PPS, partii mego ojca. Pierwszymi osobami, które spotkałem, byli Jan Mulak i Maciej Weber (serdeczny przyjaciel Jana Strzeleckiego jeszcze z czasów wojny). Oni mnie namówili, bym z grupą operacyjną PPS pojechał na już zdobyty, ale jeszcze nieurządzony Górny Śląsk.

Ile pan miał wówczas lat?

■ O, dużo, miałem już 22 lata i parę doświadczeń wojennych oraz ogromną potrzebę działania. Zajechaliliśmy na ulicę św. Jana w Katowicach, gdzie była PPS i pełniłem różne funkcje, np. zostałem wiceprzewodniczącym OM TUR. Byłem też komendantem milicji PPS, trwało to przez tydzień i było zupełną fikcją, ale wtedy byłem strasznie z tego dumny. Potem w Urzędzie Wojewódzkim trafiłem do wydziału informacji i propagandy, którego szefem był mjr Stahl, przedwojenny nauczyciel, bardzo sympatyczny człowiek. Przez parę dni byłem „referentem świetlicowym”. Ale pewnego dnia zamknięto nas w urzędzie, wszedł generał Zawadzki i zostaliśmy pełnomocnikami rządu do spraw administracji polskiej na ziemiach przyłączonych czy odzyskanych, bo używano obu nazw. Mnie skierowano do Gliwic.

Z rozkazu czy na ochotnika?

■ I jedno, i drugie. W ciężarówce jechało nas czterech nieznających się młodych ludzi (jeden później wylądował w UB, widywałem go w Warszawie) oraz trzech przyszłych prezydentów. Był więc wśród nas pan Szpaltowski, przedwojenny działacz chadecki z grupy Korfanteo, pochodził z rodziny niemieckiej, ale nazwisko zmienił na polskie jeszcze przed wojną. Było też dwóch wiceprezydentów, jeden z nich nazywał się Gruszczyński, był komunistą, a drugi, bardzo elegancki i kulturalny pan, szybko wywiał do Francji. Przyjechalśmy do Gliwic i zgłosiliśmy się do komendanta miasta, Torisznego.

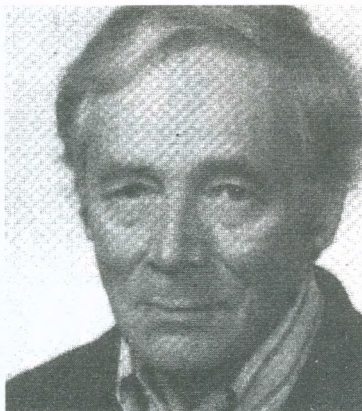
Radziecki komendant miasta?

■ Tak. Ukraińiec, zajmował pałacyk – zdaje się – dawnych administratorów majątku Hohenlohe, na przeciwko dworca. Przyrzekł nam pomoc. Ja zająłem mieszkanie przy Klosterstraße 27, która potem nazywała się Klasztorna, a dziś Wieczorka. Wybraliśmy wspólnie ten dom dla bezpieczeństwa, bo był naprzeciwko radzieckiej prokuratury. W tym domu jeszcze mieszkali ludzie. Niemieccy Ślązacy, przeważnie o słowiańskich nazwiskach, nie mówili po polsku, choć w bramie ktoś napisał kredą: „Twische zapschetsch”, „dźwierze zaprzeć”, zamykać drzwi. W mieszkaniach wisiały zdjęcia synów w mundurach najróżniejszych formacji. Po tylu milionach trupów po naszej stronie w tej wojnie nie miałem zbyt cierpliwego i słodkiego serca.

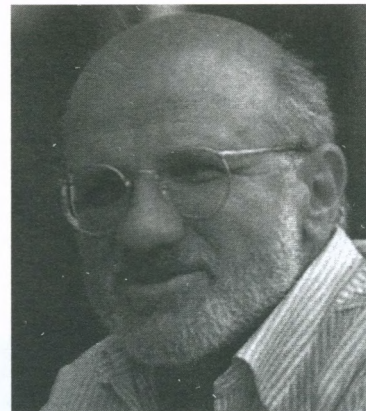
Rozmowa Adama Krzemińskiego z socjologiem Andrzejem Ziemińskim (1923–2003) ukazała się w tygodniku „Polityka” w 1988 roku (nr 16 z 16 kwietnia), po wcześniejszej rozmowie z Bienkiem. Przedrukowujemy ją, za zgodą Autora, jako świadectwo przybysza, który trafił do Gliwic w 1945 roku, a po latach powraca do tego fragmentu swego życia; dzisiaj to także ciekawe źródło pamięci historycznej, szczególnie recepcji tamtego Górnego Śląska w Polsce.

To było już po Jałcie?

■ Już było pewne, że te tereny będą przyłączone do Polski. Zastaliśmy tam niemiecki komitet antyfaszystowski, który nas przyjął kwaśno, ale ja z nimi nie rozmawiałem. Mówiono, że bardzo szybko postarał się, by wielu Polaków z okolicznych wsi, jak na przykład Wójtowej Wsi, zadenuncjować u władz radzieckich jako zagorzałych hitlerowców, a były to czasy, kiedy się z nikim nie pacyzkowano.



Andrzej Ziemiński



Horst Bienek

To byli niemieccy komuniści?

■ Sądząc po wypowiedzi i powieści Horsta Bienka, to byli ludzie dość podejrzani, być może karierowicze, trudno to mi dziś ocenić. Sytuacja była strasznie skomplikowana, ale ja to rozumiem dzisiaj. My, na fali już zaczynającego się napływu Polaków z Buga czy z Sanu, nie bardzo mieliśmy ochotę na roztrząsanie tych spraw. Staliśmy się nieprawdopodobnymi entuzjastami tych ziem i prawdopodobnie zachowywaliśmy się w stylu „How the West was won”. Mieliśmy poczucie pionierstwa. Było to przeniesienie naszych klęsk, kompleksów i upokorzeń na triumf nowej przestrzeni, na jej zdobywanie i uruchomienie.

Poczucie utraty Wschodu nie było tak silne, jak poczucie obejmowania ziem odzyskanych?

■ I ten Paryż wart był mszy. To było zdumiewające, jak bym tego dziś nie potrafił wytłumaczyć. Przyjeżdżały transporty z repatriantami. I myśmy pomagali lokować Polaków, usuwając miejscową ludność z ich mieszkań, albo domagając się, żeby dość szybko pakowała manatki.

A jak wyglądało miasto?

■ Potem na seminarium socjologicznym u Stanisława Ossowskiego zrekonstruowałem układ narodowościowy Gliwic według układu przestrzennego. Wokół rynku, ratusza i kościoła Wszystkich Świętych było małe, stare miasto, gdzie zostało trochę dawnych mieszkańców, często o słowiańskich nazwiskach. Księża doskonale mówili po polsku. Wokół tego starego miasta było miasto dziewiętnastowieczne, właściwie niemieckie, które w plebiscycie 1921 roku głosowało zdecydowanie za Niemcami i z którego w latach 1944–1945 uciekła większość mieszkańców. Dalej był pierścień zewnętrzny: paradoksalnie im bardziej na zachód, a więc dalej od płyty węglowej, tym więcej było wsi polskich, a im bardziej na wschód wraz z przemysłem, koleją i administracją proces germanizacji posunął się bardzo daleko.

Przybyliście w drugiej fali zajmowania Gliwic.

■ Wyprzedzili nas tylko kolejarze, ale myśmy

przyjechali, kiedy jeszcze dymił Haus Oberschlesien. Gdzie w *Pierwszej Polce* Bienka odbywa się to wesele 31 sierpnia 1939. Jeszcze widziałem w gruzach trupy chłopaków z Hitlerjungend, którzy próbowali się bronić. Jeszcze dymił spalony teatr. Trzeba sobie zdawać sprawę, że wojska radzieckie wchodząc do miasta, nie bardzo się pacyzkowały. W wąskich zaułkach i piwnicach żołnierze przyświecali sobie płonącymi gazetami. I myślę, że połowa z tego, co spłonęło na Śląsku, to nie skutek rozmyślnych podpaleń, lecz braku wody, elektryczności, ludzi i ochoty gaszenia pożarów.

A morderstwa, gwałty, rabunek?

■ Trochę tego było. Zauważyłem jedno, mężczyzn już w ogóle nie było, poszli do roboty i zniknęli.

To Bienek opisuje w ostatniej części swej gliwickiej tetralogii w *Ziemi i ogniu*.

■ Natomiast wszystkie kobiety zostały skierowane do pracy przy demontażu maszyn. Nawiasem mówiąc, myśmy parokrotnie interweniowali u generała Zawadzkiego w Katowicach w sprawie tego demontażu. Zawadzki dzwonił do Rokossowskiego do Legnicy, a raz dzwonił przy mnie w dość drastycznej sprawie.

Jakiej?

■ Był chyba 1 maja, Berlin już zdobyto. Radość, strzelanina. W Gliwicach u prezydenta miasta i u komendanta wojennego zorganizowano uroczyste przyjęcie. Na wielkim placu za owym Haus Oberschlesien w pewnym momencie rozległy się polskie wołania na ratunek, ktoś napadł na nowych repatriantów. Zawsze w takich wypadkach mówiono, że wysiedlani Niemcy stawiali opór. Prezydent Gruszczyński chwycił pistolet i pobiegł na drugą stronę placu, za nim woźny magistracki, pan Szostak, to jego syn był pierwszym polskim dzieckiem urodzonym w naszych Gliwicach, ja byłem jego ojcem chrzestnym. Po chwili usłyszeliśmy strzały i pan Szostak wrócił przerażony. Okazało się, że na schodach w jednym z domów Gruszczyński natknął



W okolicy rynku w 1945 roku

się na jakiegoś żołnierza radzieckiego, może któregoś z rannych, tam były dziesiątki lazaretów. Obaj strzelili równocześnie i obaj padli trupem. Potem byłem na uroczystym pogrzebie Gruszczyńskiego w Zagłębiu. Nie byłem z nim w najlepszych stosunkach – to był KPP-owiec – ale uznawaliśmy w nim siłę charakteru. I był też demonstracyjny pogrzeb tego żołnierza radzieckiego. Za trumną szli ranni, bez rąk, o kulach...

Demonstracja pod waszym adresem?

■ Tak.

I w tej sprawie Zawadzki dzwonił do Rokossowskiego?

■ Komisja porozumiewawcza złożyła skargę w sprawie rabunków dokonywanych na Polakach. Muszę powiedzieć, że ja ten list redagowałem i lekko przesoliłem. Zaatakowaliśmy komendanta wojennego, że toleruje ekscesy. On miał oficera do spraw gospodarczych, który prawdopodobnie nie był uczciwym człowiekiem, a sprawy gospodarcze są śliskie. I przypuszczalnie był nagradzany przez Niemców za interwencje przeciwko Polakom szturmującym owe mieszkania. Zwykle, gdy Polacy wdzierali się do mieszkań, pojawiał się patrol radziecki... I muszę powiedzieć, że ja dziś nie umiem się utożsamić z sobą samym z tamtego okresu, ale pamiętam swoje zachowanie, swój język. Nie byliśmy nadmiernie czuli i mało kto zdaje sobie dziś z tego sprawę. Kiedy na zjeździe kombatanatów PPS w Warszawie (czerwiec 1946) Osóbka-Morawski przedstawił nam jakiegoś niemieckiego antyfaszystę, sala zaczęła gwizdać, nie wierząc, że coś takiego w ogóle istnieje. I Osóbka zaczął krzyczeć, że to hańba. Myśmy przechodzili jak kolumna czołgów. Ja druzgotałem w sobie z marszu najmniejsze wątpliwości.

Byłem świadkiem makabrycznej sceny. Przyjechał na gliwicki dworzec pociąg z repatriantami, nagle rozległy się krzyki, ludzie z widłami wyskakiwali z wagonów, wrzask mordowanego człowieka i straż ochrony kolei strzelająca bezradnie w powietrze. Okazało się, że jakaś kobieta rozpoznała banderowca, mordercę z jej wsi. Tłum rzucił się na niego, zadźgał go na śmierć, nim zdążył uciec. Ale potem bardzo sprawnie działał urząd repatriacyjny, komitety społeczne, Czerwony Krzyż. Póki nie zaczęły się papiery, przydziały, spory i pokusy, którym trudno się było przeciwstawić. Między innymi pewien działacz komuni-

styczny z Zagłębia musiał odejść, bo zaczął kraść. Po pierwszej fali egalitaryzmu repatrianckiego zaczęły działać mechanizmy różnicowania społecznego, cwaniactwo. Ale zasiedlanie było bardzo sprawne. Już jesienią miasto było w pełni zasiedlone przez Polaków, wszystkie sklepy otwarte, kawiarnie czynne, wszędzie polskie napisy. Moim wstępnym zdaniem w marcu 1945 roku było usunięcie napisów niemieckich. Wydałem afisz wzorowany na afiszach znanych mi z okupacji w Warszawie – po polsku i po niemiecku. Oczywiście nie było mowy o Stadt Gleiwitz, lecz o Stadt Gliwice, tak jak na hitlerowskich plakatach było „miasto Warschau”. Ten rozkaz zaczynał się tak: „Im Auftrage des Pan Wojewoda śląsko-zagłębiowski generał dywizji Aleksander Zawadzki befehle ich hiermit...”, a kończył się tym, że nieściąganie niemieckich napisów będzie karane śmiercią.

Zgodnie z treścią hitlerowskiej „Bekanntmachungen”?

■ Dokładnie. Ja to tak miałem zakodowane. I kiedy przyjechała polska milicja, to się wściekli: człowieku, czyś ty zwariował, według ciebie trzeba by tu na każdym rogu postawić karabiny maszynowe. Zresztą nie było komu ściągać tych niemieckich napisów w dzielnicach zupełnie wyludnionych, w spalonych domach. Mieli do mnie pretensję, że chcę stosować najwyższą karę w sprawie, która już im wydawała się błaża. Ale u mnie decydowało doświadczenie warszawskie.

A jak wyglądały pańskie zetknięcia z Niemcami, przecież znał pan język. Czy wdawał się pan w jakieś rozmowy, dyskusje?

■ Panie Adamie. Toczyła się jeszcze wojna, a ja pomagałem przy wysiedlaniu. Tzn. zmuszaliśmy tych ludzi, aby przenosili się (tymczasowo) do in-

nych mieszkań, do swych rodzin itp. Kiedy lamentowano „O Jezu, o Jezu!”, to ja mówiłem, że jesteśmy szalenie humanitarni, bo dajemy ileś tam (np. 12) godzin na zabranie rzeczy, w Poznańskim w 1939 roku Niemcy dawali nam pół godziny na jedną walizkę. W pewnym sensie byłem okrutny, wstydzę się tego dzisiaj jako człowiek, ale także trochę siebie rozumie z tamtego okresu. Czy pan wie, że w lutym 1945 roku w jednym z pierwszych numerów *peperowskiej „Trybuny Robotniczej”* w Katowicach ukazał się wiersz Romana N. – byłego więźnia obozów, był tam taki fragment:

I ciebie także odnajdę.

Herr Obersturmfuehrer Wiese,

Swastykę z twojej piersi wyciętą

do trupa twojej przypnę Elizy...

A kończył się:

CZASZKAMI ZABITYCH NIEMCÓW

WYBRUKUJĘ ULICE BERLINA

Czułem niesmak, ale nie protestowałem. Nawet internacjonalista, gen. Aleksander Zawadzki powiedział wtedy, że „Z Niemcami rozdzieliła nas przepaść, której nie zapełnią wieki...” (mowa z 11 marca 1945 roku na utworzenie województwa śląsko-zagłębiowskiego). I chyba mało kto myślał wtedy inaczej. Tym bardziej w „Gleiwitz”. Poza tym trzeba sobie zdać sprawę z tego, że już uprzednio w Katowicach mieliśmy do czynienia z ostrym problemem narodowościowym na Śląsku. Niech pan pamięta, że było ileś tam *volkslist*, że te najbardziej niemieckie *volkslisty* (I i II) broniły się teraz w ten sposób, że kiedy ich ściągano na UB, to niejednen wychodził w roli konfidenta; szli na całość, akceptowali wszystko. Oczywiście dokładnej prawdy trzeba by szukać w archiwach, ale pamiętam, że my w PPS byliśmy oburzeni na te praktyki.

Ze się werbuje ludzi z taką przeszłością?

■ Których można od siebie całkowicie uzależnić. Brałem później także udział w wysiedlaniu z Katowic. To była nocna akcja, dość tragiczna, dla nas rodzaj mobilizacji. Mieliśmy listę adresową, chodziliśmy od mieszkania do mieszkania i wysiedlaliśmy pierwszą *volkslistę*. W Gliwicach ten problem nie istniał, natomiast istniał problem opcji za Polską z 1921 roku, ale tych ludzi, kiedy przyszliśmy, w większości już nie było.

Bienek powiedział, że można było „podpisać obywatelstwo”.

■ Można było. Ale bardzo dużo ludzi się wahało. Oto przykład. Moja matka zaczęła pracę w Gliwicach najpierw w muzeum, potem w bibliotece. Dyrektorem muzeum był niedawno zmarły profesor UJ, wtedy jeszcze doktor. Uroczy człowiek. Pracowała u niego Ślązaczka, piękna dziewczyna, stanowiła parę. Matka tej dziewczyny należała przed woj-

ną do Związku Polaków, mówiły świetnie po polsku. Pewnego dnia matka moja dowiedziała się, że obie postanowiły wyjechać do Niemiec. Szok! Otóż dyrektor niestrudzenie zbierał ze zniszczonych w okolicy zamków i pałaców wartościowe rzeczy do muzeum i robił to wspaniale. (Odnalazł np. obraz ze szkoły Holbeina, który służył już jako deska pod taczki). Na strychu była graciarnia z gipsowymi popiersiami. Postanowił je wyrzucić, by zyskać miejsce. Wyrzucał na dziedziniec, wśród tych popiersi był Goethe, szkolny gips z obtłuczonym nosem. I gdy dziewczyna zobaczyła Goethego leżącego na podwórzu, uświadomiła sobie, że ciąży bardziej w tamtą stronę. Myślę, że tak dramatycznych sytuacji było o wiele więcej.

Uczestniczył pan w wysiedlaniu ludzi, panie Andrzeju, chodził pan po cudzych mieszkaniach, co pan czuł, co pan robił?

■ Coś panu powiem. Kilka miesięcy wcześniej na Podhalu brałem udział w wykonywaniu wyroku na pewnym góralu, kolaborancie. Stałem obok jego żony i dzieci, gdy strzelano do niego. On ocalał. Trzy lata później, gdy już go wypuszczono z obozu dla kolaborantów, bo jednak był jakoś kolaborantem, znalazłem się tam znowu. Szedłem w południe słoneczną ulicą od stacji kolejowej i widzę, że on, żona i dorastające dzieci wpatrują się we mnie zza płotu. I wtedy pierwszy raz pomyślałem sobie, że jednak dobrze, iż go nie zabilimy. Nikt mu nadal nie podawał ręki, odsuwano się od niego w kościele, ale w tej podhalańskiej wiosce uważano, że kara nasza była zbyt surowa. Ale tuż po wojnie na Śląsku miałem jeszcze serce twarde. Tak to trzeba widzieć.

Wojna jako środek generalnie znieczulający.

■ Oczywiście. Kiedy po raz pierwszy widziałem film według powieści Bienka *Pierwsza Polka* i gdy czytałem jego tetralogię, uświadomiłem sobie, że oni w tę noc z 31 sierpnia na 1 września 1939 jeszcze są niewinni, jak Łza, ale wiosną 1945 roku było już 6 mln trupów po naszej stronie, i to jest owa *petite difference*. To było już nieporównywalne. Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, co miał zrobić młody człowiek w Niemczech w czasie wojny, zdezerterować z Wehrmachtu? Ale w moich oczach niewinny nie był, nawet jeśli sądził, że przez te lata wojny nie zrobił nic złego. Poza tym nie było moim obowiązkiem odpowiadać na to pytanie. Wchodził pan do mieszkania, w którym widział pan fotografie mężczyzny w mundurach SA, Wehrmachtu czy SS i na łóżku znajdował pan poduszeczkę z napisem: „Für ein kleines Mittagsschlaefchen”. Zabrałem taką poduszeczkę, by ją pokazywać jako kuriozum.

Czy nasi przesiedleńcy ze Wschodu na Zachodzie od razu czuli się jak u siebie, czy na obcym oddanym na szaber?

■ Byliśmy wszyscy obdarci, nie mieliśmy niczego. To co wywoziłem w czasie wojny ze Lwowa, spaliło się w czasie powstania w Warszawie. I nagle wpadliśmy w sytuację pewnego komfortu, bezpieczeństwa rzeczy, bezpieczne lub prawie bezpieczne mieszkania. Łatwo się było ześliznąć w rabunek. Miałem bardzo przykrą sytuację, bo musiałem zeznawać w sądzie przeciwko urzędnikowi miejskiemu, panu z dobrej warszawskiej rodziny, zaręczonego z córką polskiego generała. On szabrował dla siebie maszyny budowlane, jak mu zdałem warsztat, a on to rozgrał. Widywałem go potem w Warszawie, jego nienawistny wzrok. Tak to było. Może dziś bym na to patrzył inaczej, nie wiem. Trzeba sobie zdawać sprawę, że myśmy się wtedy przenieśli na drugi brzeg cywilizacji, zwłaszcza ludność wiejska, małomiasteczkowa ze Wschodu.

Ale przecież nie pan, inteligent ze Lwowa, Gliwice nie były aż takim awansem...

■ W Gliwicach z tego mieszkania na Klasztornej przenieśliśmy się do zupełnie wyszabrowanej, ale wspaniałej willi na Windhukstraße 30, czyli na Płowieckiej. To też symboliczna zmiana nazwy, od stolicy niemieckich kolonii w Afryce, do bitwy z Krzyżakami. To jednak był i dla mnie szok cywilizacyjny. Mój ojciec był lwowskim lekarzem z prywatną praktyką, ale nam się nie śniło o takim standardzie. Gliwice oczywiście to nie Lwów, ale Wrocław?

Z tego co pan opowiada, wyczuwam wyraźną dwoistość: z jednej strony uznaje pan to co się działo za słuszne i konieczne, z drugiej wstydzi się pan jako człowiek.

■ Nie wstydzę się tego, co robiłem, tylko tego, jak to robiłem. Na przykład okrucieństwa słownego. Gdy oni lamentowali, mówiąc, że spotyka ich niegodziwość, odpowiadałem, że wojna się jeszcze toczy, że jeszcze może uratuje was Wunderwaffe i wielki führer. Prawdopodobnie wbijałem im igłę pod serce. Ja nikogo nie dotknąłem ręką, nie uderzyłem. Ale w jakiejś mierze się znęcałem. Na przykład wchodziłem do mieszkania, stawałem przed biblioteką, otwierałem okno i zaczynałem wyrzucać książki.

I to pan, intelektualista?

■ A tak. Wyrzucałem Johsta, *Mein Kampf*, Goebbelsa *Od Kaiserhofu do Kancelarii Rzeszy*. Wyrzucałem ten szmelc i pokazywałem im, że wiem, co wyrzucam. Znajdowałem gdzieś ukrytego Heinego i drwiłem: a cóż u was robi ten żydowski poeta. Chciałem, żeby sobie zdawali sprawę, że nie przyjechałem na czołgach radzieckich na rabunek. To była taka moja infantylna, trochę dziecinna zemsta. Ale widziałem ich nienawiść, bo orientowali się, że nie wyrzucam tego Eichendorffa, o którym wspomnieli panu Bienek. Ale nie starałem się o rozmowy, prze-

konywania, kontakty. Zresztą w tych mieszkaniach przeważały stare lamentujące albo młode, już cyniczne kobiety. Zdarzały się poruszające sytuacje, na przykład przyjaźń mej matki ze starym Ślązakiem – ogrodnikiem, byłym powstańcem, dobrym, spokojnym, zmęczonym tymi burzami. Człowiek z prawdziwego śląskiego plebsu, przyjaciel Ziętka, szanowałem go i podziwiałem. Czy i on wyjechał do Niemiec? Ja nie miałem kontaktu ze wsią, ale przechodząc przez cmentarz do tej mojej willi na Płowieckiej, widziałem groby: „Tu leży Paweł Lebek, rolnik z Wójtowej Wsi”. Nie wiem, czy zachowaliśmy te groby. Boję się, że je starannie zniszczyliśmy, likwidując cmentarz.

A jak wygląda pański stosunek dziś do tego przejścia ze Wschodu na Zachód. Czytał pan całą tetralogię Bienka, czytał pan Grassa. Zna pan również całą tę naszą falę odkrywania dawnego, polskiego Wschodu. Gdzie pan dziś bardziej ciągnie, w stronę własnego dzieciństwa?

■ Nie. To zresztą nie tylko dzieciństwo, bo ja spędziłem we Lwowie 18 lat. Proszę pana, ja chcę, żeby to trwało, żeby się nie waliło. Chcę, żeby grób Fredry był uszanowany zarówno przez Ukraińców, jak i przez Polaków, a nie działo się tak, że ktoś podwiózł po wojnie polskiego uczonego pod kryptę Fredrów, odłamał Fredrze kawałek palca, by Polak zabrał z sobą na pamiątkę do Wrocławia! Drastycznych przypadków byłoby więcej. Złazcza jeśli chodzi o Ukrainę, to jest to sprawa pewnej polsko-ukraińskiej wspólnoty, ratowania tych wartości, które razem tworzyliśmy. Myślę, że naród wypierający się obcych wpływów czy to z Rosji, czy z Polski nie bardzo może funkcjonować. Nie można wszystkiego budować na tańcach i ukrainizowaniu wszystkiego na siłę. I dlatego los zamków i pałaców na Śląsku jest dla mnie tak samo ważny, jak los tamtych dworów i pałaców na naszych dawnych kresach. Ja po prostu mam poczucie europejskiej więzi kulturowej, mówiąc bardziej patetycznie. I zniszczenie tu i tam sprawia mi straszliwą przykrość.

Wróćmy do Bienka.

■ Bienka czytałem z dużym przejęciem, choć ten jego cykl jest miejscami rozwlekły. Ale nasuwały mi się przy lekturze różne myśli. Kiedy ta młoda dziewczyna jedzie w czasie okupacji do Warszawy, żeby pójść do kościoła Świętego Krzyża, by zobaczyć serce Szopena, chciałem wiedzieć, czy była to dla niej wycieczka turystyczna jak do Sacre-Coeur w Paryżu, czy coś więcej. Czy ona zauważyła Warszawę pod okupacją, czy to tylko figura literacka. Rozumiem, że Bienek nie ma obowiązku zastanawiać się nad wszystkim, bo on patrzy z tamtej strony, ale jeśli już posuwa się tak daleko, to chciałbym rozszfrować, jak głęboka jest jego więź z polskością.

I czytał pan książki Bienka ze wzruszeniem.

■ Tak, bo pomyślałem sobie, że to byli ci sami ludzie, do których włożyłem z butami. I wzruszyło mnie to, że można było niejako cofnąć mój własny zegar. Zobaczyć tych ludzi przed ich klęską moralną i fizyczną. I wymazać ich współudział w złem, chociaż historia wypycha ludzi we współudział w złem często bez ich chęci czy woli.

Tu nasuwa się wieczne pytanie, gdzie zaczyna się mój czy czyjś udział w zbiorowej winie i czy coś takiego istnieje. Cóż bowiem winne były te kobiety, które pomstowały na pana „mój Bosche”. Subiektywnie niewinne, ofiary historii, a zarazem uczestniczki w największej zbrodni, popełnianej w ich imieniu i za ich przyzwoleniem. Teraz wyrzucane z mieszkań przez Polaków, których dawniej nie dostrzegali.

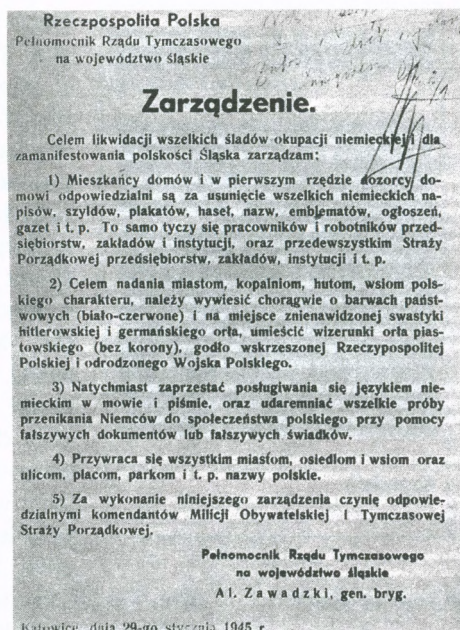
■ Albo uważali nas za ludzi bardziej prymitywnych, nasze struktury za bardziej proste. Ale myśmy nie byli barbarzyńcami pędzącymi na tatarskich koniach pod Legnicę w 1241 roku. Widzi pan, wyzwolenie ziem zachodnich w 1945 roku przez armię radziecką było tragiczne. Oto armia, utraciwszy 20 mln zabitych, wkracza na tereny wroga, trzeba sobie zdawać z tego sprawę. Przecież oni nie wkroczyli do żadnych Gliwic, tylko do goroda Głajwic, taki napis widniał na pomniku postawionym przez Rosjan zaraz po zwycięstwie, dopiero potem zmieniono to na Gliwice. Podobnie było na Mazurach. Było to pierwsze dopadnięcie wroga na jego terenach. Wroga, wobec którego pałano żądzą zemsty. Kto ze zwycięskich żołnierzy miał czas zastanawiać się, że na tych terenach są Polacy?

Myśmy wielu z tych Polaków utracili już naszą politykę, po wojnie.

■ Na tołożyło się wiele przyczyn. Stanisław Ossowski prowadził badania na Opolszczyźnie i zostały one opublikowane. Wynikało z nich, że germanizacji mogli się oprzeć jedynie zamożni rolnicy, bo nie musieli posyłać swoich dzieci do Deutsche Reichsbahn czy do przemysłu.

A potem jako kułacy stali się wrogami klasowymi, zostali starci na proch między kamieniami młyńskimi stalinowskiej doktryny i narodowej nieufności.

■ Badaliśmy też z Ossowskim sytuację pogranicza warmińsko-mazurskiego. Warmia dłużej nale-



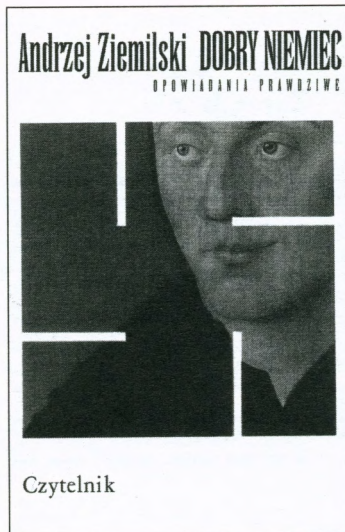
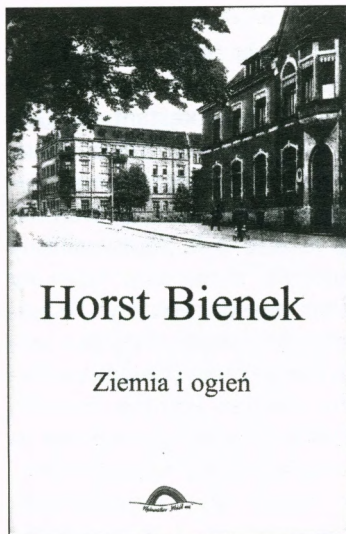
żała do Polski, zachowała katolicyzm, była stolicą biskupstwa, Mazury zaś po hołdzie pruskiemu przeszły na protestantyzm. Gdy w 1947 roku robiliśmy badania, to już spora część Mazurów wyjechała do Niemiec, ale Warmia-cy jeszcze byli. Zapisywaliśmy piosenki, które nam śpiewały miejscowe dziewczyny: „Wszystko jedno wojna, wszystko jedno Krieg, komm panienka schlafen, morgen kommst zurück”. A także piosenka na melodię Lili Marlen: Stalin hat befohlen... co należy robić z niemieckimi dziewczynami. I te dziewczyny nam to śpiewały. Ale i tak w końcu losy wielu Warmiaków i Mazurów złączyły się w Republikę Federalną.

A jak pan widzi przyszłość tej tradycji niemiecko-polskiej. Czego zapowiedzią jest fakt, że tu i tam powstaje bogata literatura piękna, czy to znaczy, że kiedyś Niemcy i Polacy będą wspólnie spisywać historię tej ziemi?

■ Historię trzeba będzie napisać taką, jaką była i na nią składają się również niemieckie świadectwa, ale nie widzę „sentymentalnej wspólnoty”, o której pan mówił. Przypuszczam, że w jakiejś białej księdze wysiedlonych figuruje również moje nazwisko jako jednego z „katów” niemieckich Gliwic. I nie ma znaczenia, że ja takim katem nie byłem. Rozumiem, że szereg ludzi mogło mnie zapamiętać jako sprawcę ich nieszczęścia, jako tego, który wyrzucił ich z rodzinnego mieszkania. Dlatego dostrzegam potrzebę epiki, nie liryki. Bienka czytałem ze wzruszeniem, ale bez fascynacji. Należę do innego pokolenia niż pan i pogłębienie historii rozumiem bardzo pozytywnie. Zgadzam się, że istnieje oczyszczająca rola sztuki, która się nie mieści w nauce. Conrad, Tolstoj, Vargas Llosa... Literatura dysponuje sposobami przełamania czysto behawioralnego punktu widzenia. Literatura może się starać odtworzyć stany ducha i strumienie świadomości. To się lepiej w RFN udaje Bienkowi, to się gorzej udaje innym.

Jednakże również poza literaturą następuje prze wartościowanie i odwrócenie nastrojów. Mam tu na myśli Niemców, którzy odwiedzają swe dawne strony ojczyste. Niektórzy, jak pastor Heinrich Albert z Berlina Zachodniego, długą chwilę stoją przed swym dawnym domem i nie mają odwagi zapukać do obcych ludzi...

■ Dobrze to rozumiem. Ja tak samo stałem przed bramą domu przy Czarneckiego 3 we Lwowie.



Wszedłem klatką schodową, tam był jeszcze dozorca, który mnie pamiętał...

Ale też są przykłady, gdy dawni i obecni mieszkańcy zaczynają z sobą rozmawiać, a nawet się zaprzyjaźniają.

■ Myślę, że ta idea wspólnoty jest dziś dla Niemców o tyle łatwiejsza, że zastają Polskę spauperyzowaną, lichą rządzoną przez całe lata. Zaś Polakom łatwiej znaleźć z nimi wspólny język, gdyż są wyzuci z mnóstwa podstawowych rzeczy. Ale gdzie jeden daje, a drugi tylko bierze, nie powstaje jeszcze wspólnota. Myślę, że stosunki między Niemcami i Polakami układałyby się inaczej, choć może równie dobrze, gdybyśmy byli między równymi. Nie pod względem dochodu narodowego na głowę, bo to jest niemożliwe, ale bez tej dysproporcji zwycięzców – pariasów. Otóż my w 1945 roku nie byliśmy pariasami, mimo naszej nędzy i obdarcia. Proszę pana, profesor Kulczyński tworzył uniwersytet i politechnikę wrocławską w czasie, gdy jego żona z lwowskiej delegatury AK była zesłana na Wschód i kopała węgiel w Donbasie. Hart tych tysięcy akowców, którzy mimo wszystko działali, tych ludzi z Ministerstwa Ziem Odzyskanych, z Londynu, z AK, których aresztowano dziesiątkami – dajmy na to w Krakowie, ale którzy robili we Wrocławiu cuda...

To historia moich rodziców. Gdy w Radzynie zorganizowali teatr szkolny i zaczęli wystawiać Wyspiańskiego, zjawił się u nich oficer NKWD, zresztą Polak, i powiedział: albo natychmiast znikniecie stąd, albo się obudzicie na Wschodzie. Obudzili się na Zachodzie we Wrocławiu, gdzie dalej robili swoje.

■ I mnie chciano przymknąć, powiedział mi o tym major Stahl towarzyszący Bierutowi, Osóbce i Zawadzkiemu w uroczystym przejmowaniu

Opolszczyzny pod administrację polską. Tyle, że ja zbudowałem wtedy u wlotu do Gliwic wspaniałą bramę triumfalną (z rekwizytów znalezionych w magazynach spalonego teatru) i zapewne to mnie uratowało. Dodam, że przy tej bramie stała mała garstka ocalałych miejscowych Polaków, radzieccy żołnierze stanowili obstawę, a orkiestra NKWD odegrała hymn polski... Mimo wszystko to był naprawdę wielki, wspaniały zryw narodowy, który został starannie storpedowany, posiekany dogmatami, scholastyką, tępotą, wszystkimi okropnościami stalinizmu. Lecz wprawdzie było ciągnięcie w górę, polskie nauczycielstwo, polskie harcerstwo. Starzy, ciężko doświadczeni lu-

dzie, którzy się na nic nie oglądali. Tramwajarze, profesorowie. Te kluby sportowe, to życie kulturalne we Wrocławiu czy w Szczecinie.

I mówi pan, że nie było nostalgii za utraconym Wschodem?

■ Nie, nie tak. Nie chcę posługiwać się tym słowem, które trzeba by na nowo zdefiniować. Nostalgia wymaga dystansu czasowego. Wtedy nie było na to czasu. I myślę, że młodzi ludzie, którzy teraz piszą tęskne opowiadanie o Wilnie, Krzemieńcu czy Lwowie, są jakoś niewiarygodni. Może szukają egzotycznego lub lirycznego tematu?

A ja to traktuję jako wysłowione pożegnanie.

■ Wtedy nie było o tym mowy. Myśmy przejmowali wspaniałe gabinety lekarskie i kościoły, kancelarie adwokackie i murowane domy wiejskie, w których ludzie z chat Podola i Wołynia daliby sobie radę, gdyby im pozwolono zagospodarować, gdyby im nie odebrano cegły, papy, cementu. Tytułów własności. Nas było stać na to, by te pompy wodne nie wysiadały po dwóch, trzech latach. Mogliśmy produkować części zamienne, podkładki, dachówki – te nieco inne niż w Polsce centralnej. Katastrofa zaczęła się w 1948 roku. Kłodzko, które przejęliśmy bez jednej wybitej szyby, trzeba było potem budować na nowo, a rynek w Jeleniej Górze... Pierwszy okres Gliwic był nieprawdopodobnym sukcesem, polski fryzjer obejmował niemiecki zakład fryzjerski, polski malarz przemalowywał szyld i polski elektryk wkręcał żarówki. Przestało funkcjonować wraz z prowadzeniem stalinowskiego porządku, w czasie walki z odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym, bo się okazało, że ziemie zachodnie to jedno wielkie odchylenie, które trzeba było złamać i stworzyć anonimowe spółdzielnie imienia Jasia Kowalskiego. Jeśli wychodzimy dziś z tej smugi cienia, to jakim kosztem? ■

PIOTR ZACZKOWSKI

SMUTEK TEATRU

Gdyby doszło do premiery *Hamleta* w Starym Teatrze, wojsko koczowałoby poza murami Elsynoru, czyli na placu Szczepańskim. Dużo koni, wozy załadowane łupami. W finale żołnierze wtargnęliby do teatru. Jerzy Skarżyński tłumaczył intencje reżysera: „I miała włożyć właściwie taka banda, armia żołdaków, którzy zwyciężyli, a więc wszystko do nich należy. Może jeszcze moment, a zaczną publiczności zdejmować zegarki i zabierać portfele...”.

Według rodzinnej tradycji Swinarscy wywodzą się z Krotoszyna. Ale ojciec Konrada, Karol Swinarski, urodził się w 1890 roku w Poznaniu, a szkołę realną ukończył i zdał maturę w Cottbus. Po dwóch semestrach zrezygnował ze studiów rolniczych we Wrocławiu. Osiedlił się i zapewne pracował w Skidzynie pod Oświęcimiem, w zaborze austriackim. Mimo to nie przestał być poddanym cesarza Niemiec.

! Rodzina !

W 1913 roku Karola Swinarskiego wezwano do odbycia jednorocznej służby wojskowej. Podczas wojny światowej walczył na froncie zachodnim, nad Sommą i pod Verdun. Dosłużył się stopnia podporucznika. Otrzymał odznaczenia za męstwo, w tym Krzyż Żelazny I i II klasy. Jak wielu zdemobilizowanych żołnierzy z Poznańskiego uczestniczył w powstaniu wielkopolskim. W czasie wojny polsko-radzieckiej dowodził kompanią, później batalionem. Kawaler srebrnego krzyża *Virtuti Militari* i trzykrotnie Krzyża Walecznych. Pozostał w wojsku, w latach 1925-1927 pracował jako kierownik referatu wyszkolenia w departamencie piechoty Ministerstwa Spraw Wojskowych.



Konrad Swinarski w latach młodości



Irmgarda Swinarska z synami – Henrykiem (z lewej) i Konradem (z prawej) 1933 rok



Pułkownik Karol Swinarski, ojciec Konrada

Do Katowic rzuciły go zapewne obowiązki służbowe. W 1926 roku poznał Irmgardę Liczbińską, która pracowała prawdopodobnie jako kasjerka w kawiarni „Wiedeńska” przy katowickim Rynku. Właścicielem (czy może dzierżawcą) lokalu był ojciec Irmgardy – Franciszek Ksawery Liczbiński.

Matka Irmgardy, Maria z domu Fiskal (lub Fiscal), nie żyła od 1923 roku. Ojciec Franciszek Liczbiński, rocznik 1879, uczestnik powstania wielkopolskiego, przywędrował z rodziną do Katowic z Wrocławia.

Wszystkie dzieci Franciszka i Marii Liczbińskich przyszły na świat we Wrocławiu. Irmgarda (Irmgard Marie), urodzona w 1901 roku, była najstarsza. Miała trzy siostry i dwóch braci. O rok młodsza Prakseda Zofia (Praxedas Sophie) podobno uciekła z dyrektorem cyrku pcheł. Poniosło ją do Berlina. Konrad będzie do niej jeździł – przed i po wojnie.

Franciszek Liczbiński – jak podkreślano: „znany obywatel i patriota polski” – zmarł w 1932 roku. W kondukcje grała orkiestra huty „Baildon”, stawiły się delegacje stowarzyszeń, rozwinęto osiem sztandarów i niesiono poduszkę z odznaczeniami zmarłego. Proboszcz kościoła Mariackiego ks. Emil Szramek wspominał nad grobem Liczbińskiego jego „zasługi dla sprawy narodowej”. Czy jego najstarsza córka uważała się za Niemkę? W aktach personalnych Karola Swinarskiego w rubryce „narodowość żony” odnotowano narodowość polską.

! Wieliczka i Katowice !

Rodzice Konrada Swinarskiego pobrali się w lutym 1927 roku. Jednym ze świadków na

ich ślubie w kościele Mariackim w Katowicach był znany dziennikarz „Polonii” Stanisław Nogaj, drugim Edmund Kosicki, zasłużony działacz i sędzia piłkarski.

Starszy brat Konrada, Henryk Wacław, urodził się w 1927 roku w Różanie nad Narwią, gdzie major Swinarski dowodził batalionem Szkoły Podchorążych Piechoty. Dwa lata młodszy Konrad w Różanie został ochrzczony, ale przyszedł na świat w Warszawie. Po kolejnych awansach Karolowi Swinarskiemu w 1933 powierzono dowództwo 2. pułku strzelców podhalańskich w Sanoku. Generał Kazimierz Sosnkowski pisał w opinii służbowej: „Bardzo pracowity i sumienny, o wysokim poczuciu obowiązku. Zamiatowany, solidny żołnierz”. Zmarł w 1935 roku na raka nerki, w wieku zaledwie 45 lat. Pochowano go z wielkimi honorami w Krotoszynie.

Po śmierci męża Irmgarda Swinarska kupiła dom w Wieliczce. Piękny, modrzewiowy dom. Po wojnie Konrad długo nie przyjeżdżał do Wieliczki. Dopiero kiedy pracował w Starym Teatrze, wieczorami wsiadał do taksówki i kazał się zawozić pod dom z dzieciństwa. W czasie prób *Hamleta* było to jego obsesją. Wysiadał. Krążył wokół domu. Jak wokół dzieciństwa. I nigdy nie wszedł do środka.

W latach wojny Irmgarda była współwłaścicielką rozlewni piwa i wód mineralnych w Wieliczce. Korespondencję urzędową podpisywała jako Irmgard von Swinarsky. Podobno kogoś ukrywała, kogoś innego wybroniła przed wyjazdem na roboty. Podobno w jej domu odbywały się konspiracyjne odprawy żołnierzy Armii Krajowej. W jakiejś relacji wspomnieniowej pułkownik Wojska Polskiego Karol Swinarski na łożu śmierci nakazał Irmgardzie,



W Katowicach Konrad Swinarski zamieszkał z matką u Anety i Mieczysława Cybińskich przy ulicy Żwirki i Wigury 4

aby wychowała synów na dobrych Polaków. Co naprawdę mógł jej nakazać?

Na początku sierpnia 1944 matka zawiozła Konrada do Jugendheimu w Pradze. Sama pojechała do Kant bei Breslau (Kęty Wrocławskie) zakopywać złoty dobytek. U krewnych w ogrodzie. Konrad nie mógł wytrzymać w Pradze. Matka zabrała go do Wieliczki. Ostatnie miesiące 1944 przebywał tylko ze służącą Stasią. Irmgarda jeździła – do Berlina, Gliwic, Wrocławia, Chorzowa.

Dwujęzyczność Irmgardy jest oczywista, ale i ojciec Konrada, były oficer pruskiej armii, doskonale władał niemieckim. Przed wojną Irmgarda zatrudniła nauczycielkę. Maria Kansy uczyła Henryka i Konrada polskiego, niemieckiego, angielskiego, francuskiego i wszystkiego, co umiała. Pozostała przy chłopcach również w latach okupacji.

Trzy lata po wojnie Konrad, odnosząc się do 1945 roku, napisał w liście do przyjaciół: „Przybyłem wtedy jedynie do Katowic, gdzie spotkałem się

z mamą. Przebywaliśmy u krewnych (u których zresztą jestem po dziś dzień). Po paru tygodniach nastąpiła bardzo przykra chwila, zostaliśmy zaaresztowani. Jakie wówczas istniały zarzuty, nie wiem, ale wiem tyle, że w ogóle ich nie było potrzeba. Ja zostałem wkrótce zwolniony. Mama została, zresztą nie na długo. [...] zmarła na bardzo rozpowszechnioną chorobę – zmarła z głodu i wycieńczenia”.

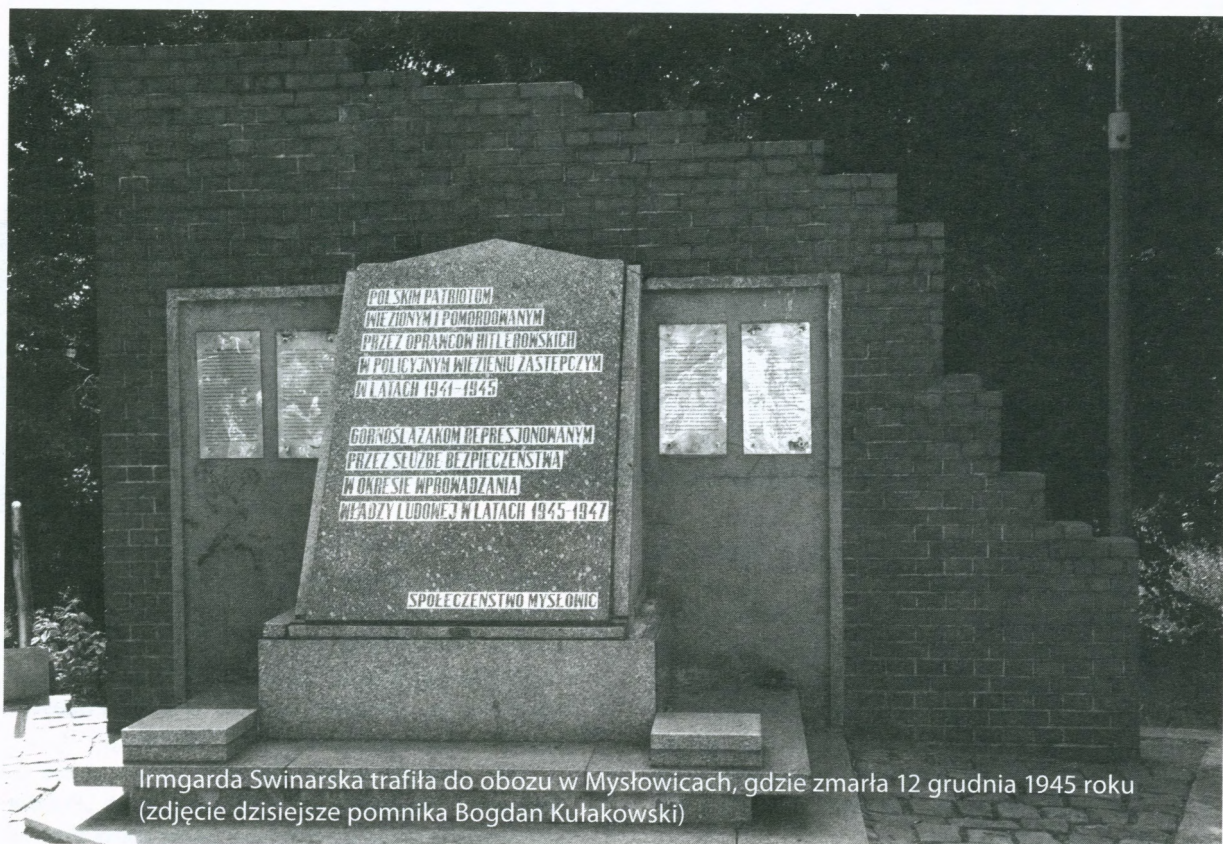
I Obóz I

W Katowicach Konrad Swinarski zamieszkał z matką u Anety i Mieczysława Cybińskich przy ulicy Żwirki i Wigury 4. Mieczysław był kuzynem ojca Konrada. Irmgarda nie ukrywała się, na ulicy zauważył ją ksiądz Śliwa z Wieliczki. Doniósł o tym odpowiednim organom. Funkcjonariusze przyszli po Irmgardę i Konrada do Cybińskich pod koniec lutego.

Przejęty po Niemcach obóz w Mysłowicach nazywano „Ogrodem Róż”. A to dlatego, że przed budynkiem głównym ustawiono kołowrót nabity gwoździami. Przywiązywano do niego więźnia. Czterej inni wprawiali narzędzie kaźni w ruch. Krew tryskała na ściany. Niektórzy jednak twierdzili, że nazwę obóz zawdzięczał istniejącemu tam przed wojną rozarium.

W Mysłowicach osadzano osoby posiadające niemieckie obywatelstwo lub wpisane w czasie wojny na jedną z trzech pierwszych kategorii niemieckiej listy narodowościowej. Nakaz osadzenia wydawał Urząd Bezpieczeństwa. Rówieśnik Konrada, Henryk z Knurowa, wspominał: „Następnie połączono naszą grupę z innymi grupami i pieszo udaliśmy się do Mysłowic. Tam zostaliśmy umieszczeni w starym obozie karnym. Taka nazwa widniała na jego bramie. Wcześniej nikt nas nie poinformował, gdzie idziemy i dlaczego”. Według niektórych świadectw tych, którzy nie mogli podołać trudom marszu, rozstrzeliwano na miejscu. Według jeszcze innych świadectw na przedzie zmierzającej do obozu kolumny szedł więzień z flagą ze swastyką.

W obozie przetrzymywano z matkami dzieci, które jeszcze nie skończyły półtora roku. Nie miały wielkich szans na przeżycie. Śniadanie składało się z kromki czarnego chleba. Według relacji więźniów porcja chleba miała wielkość dłoni. Wspomnienia nie precyzują, czy wzięto pod uwagę dłoń męską, kobiecą, czy może dziecięcą. Rano wydzielano również czarną kawę lub ciepłą wodę z mąką. Obiad składał się z zupy z brukwi z kawałkami zepsutych buraków lub liści buraczanych. Na kolację rozdawano znowu czarny chleb i kawę. Ale zdarzało się, że nie było kolacji. Miski i sztućce pochodziły z okupa-



Irmgarda Swinarska trafiła do obozu w Mysłowicach, gdzie zmarła 12 grudnia 1945 roku (zdjęcie dzisiejsze pomnika Bogdan Kułakowski)



Boże Narodzenie u Cybińskich w Katowicach, od lewej: Mieczysław Cybiński, jego matka, Konrad Swinarski Aneta Cybińska (zdjęcie z końca lat 40.)

cyjnego wyposażenia więzienia policyjnego. Dla wszystkich nie wystarczyło. Wiele osób jadło z puszek po konserwach, często zardzewiałych. Panował głód. Z czasem pozwolono rodzinom na dostarczanie paczek żywnościowych. Nadzór nad zatrzymanymi kobietami sprawowały strażniczki. Więźniarkom zrywano kolczyki i odbierano pierścionki.

Mieczysławowi Cybińskiemu udało się przekonać (lub przekupić) kogo trzeba i wydobył Konrada z Mysłowic. Irmgardy nie objęła zapobiegliwość bądź determinacja Cybińskiego. Zmarła na tyfus 12 grudnia 1945 roku (a nie w październiku, jak pisał w pewnym liście Konrad). Od jesieni codziennie umierało 10–20 osób. Irmgardę, gorliwą katoliczkę, pochowano w masowej mogile na cmentarzu ewangelickim. Zapewne jej rzeczy osobiste strażnicy wymienili na wódkę. Była to powszechna praktyka w obozie.

W 1974 roku Konrad wyreżyserował w Düsseldorfie *Marię Stuart* Wolfganga Hildesheimera. Przygotowaniom do egzekucji zdekonizowanej królowej asystowała publiczność. Widzowie zasiedli tuż obok miejsca gry, za balustradkami. Oglądali ostatnie chwile życia Marii w brudnej komnacie, w której cuchnęło zgnilizną i łajnem. Stara kobieta siedziała na katowskim pniu. Nim została – jak manekin – przysposobiona do egzekucji, z resztek majątku ograbiła ją służba. Na przemian modliła się i przeklinała, raz grała dziecko, raz męczennicę. Udawała, że

obsadzono ją w roli królowej, ale strach nie pozwolił jej panować nawet nad własną fizjologią. O ten strach, o namacalną bliskość śmierci ocierała się publiczność.

Niedługo po śmierci Irmgardy Teatr Śląski zaprosił na *Misję Mr. Perkinsa w kraju bolszewików* Aleksandra Kornijczuka, komedię w trzech aktach i czterech odsłonach. Jak zauważył recenzent „Trybuny Robotniczej”, tytułowy bohater przekonał się, że obraz wrogiej propagandy nijak się ma do rzeczywistego obrazu Związku Sowieckiego, państwa, gdzie dominowała prostota i prawda. Być może katowiczanie dostrzegli także odpowiednią dawkę ironii, gdyż kraj bolszewików przyszedł do nich osobiście.

Po zwolnieniu z obozu Konrada u Cybińskich odbyło się coś na podobieństwo rady rodzinnej. Z rodzeństwa Karola Swinarskiego żyła tylko siostra, Wanda Lesińska. No i miała dobre, polskie papiery. Cybińscy wysłali więc Konrada do Ostrowa Wielkopolskiego. Konrad nocami czytał, w dzień sypiał, o żadnym obowiązku szkolnym nie myślał. Doszło do konfliktu z wujem i zamieszkał znowu u Cybińskich.

I Szkoła I

Nie wiadomo, w jakich butach poszedł Konrad do gimnazjum Mickiewicza w Katowicach. Przy jakiejś teatralnej okazji zauważył: „Kwe-

stia butów była kwestią wolności – czy ktoś ma buty i może wyjść”. Nie wiadomo, czy zabierał z domu drugie śniadanie. Na pewno – jak inni uczniowie – korzystał z dożywiania, gdyż staraniem komitetu rodzicielskiego wydawano uczniom zupeł i kilka kromek chleba.

Był przeciętnym uczniem. Może nie lubił szkoły. Może nieszczególnie chciał być wychowywany na światłego obywatela, może nie odczuwał głębokiej wdzięczności za dar kształcenia, który w myśl propagandy otrzymała młodzież wcześniej „zapędzona do przymusowej pracy pod nąhijką hitlerowskich zbiorów”. Ale do korzeni kultury europejskiej miał także dystans. Zdarzyła mu się poprawka z łaciny. Najlepiej radził sobie z angielskim i „ćwiczeniami cielesnymi”. Za znajomość historii wystawiono mu w szkole ocenę dostateczną. Nie przepadał za lekcjami polskiego. Były dyrektor Staroego Teatru Jan Paweł Gawlik zapamiętał, że Konrad skrzywił się, kiedy zaproponował mu reżyserię *Dziadów*: „Znał je ze szkoły i nie mówił o nich nic dobrego”.

Skończył czwartą klasę, ale do matury nie przystąpił. „W gimnazjum miałem wiele trudności – napisał w liście – zaczęli wymagać papierów. Postanowiłem zatem ukończyć jedynie czwartą klasę i wynieść się”.

I Brat I

Konrad lubił filmy Viscontiego i Bunuela. Jednak aż kilka razy oglądał niemiecki film *Die Brücke (Most)* z 1959 roku. W kwietniu 1945 roku siedmiu uczniów ostatniej klasy gimnazjum w małym miasteczku dostaje powołanie do wojska. Po przeszkoleniu w koszarach trafiają do oddziału kapitana Froehlich. Nadchodzą Amerykanie. Dowódca pragnie chronić chłopców. Rozkazuje im strzec małego, nieważnego mostu. Nieważne bastiony są jednak tak samo absurdalne, jak wielkie wojny. Glinie sześciu chłopców, siódmy wraca do miasta. Odepiały i już obojętne.

Na Górnym Śląsku walczyły pod koniec wojny dywizje SS-Freiwilligen-Panzer Grenadier-Division „Horst Wessel” oraz 20. Waffen-Grenadier-Division der SS. Henryk Swinarski służył zapewne w tej drugiej. Ostatni list Henryka-Heinricha został napisany obcą ręką 2 marca 1945 roku: „Jestem ranny w głowę, ale niezbyt ciężko. Na pewno z tego wyjdę”. List był adresowany do Monachium, do Ksawery Liczbińskiej, żony brata Irmgardy. Kilka dni później na ten sam adres wysłano „Todesnachricht” (zawiadomienie o śmierci): Heinrich Swinarski zmarł 8 marca 1945 roku na skutek ran, poległ dla wielkich Niemiec.

Co zrobił Henryk-Heinrich w pisany obowiązkowo życiorysie z ojcem pułkownikiem Wojska Polskiego Karolem Swinarskim? Pominął? A może napisał tylko, że podczas I wojny światowej służył dla cesarza i że nie żyje od lat?

Gdy Konrad mieszkał w Katowicach, w kinach dominowały polskie filmy przedwojenne i dzieła radzieckie. Na pewno z uwagą oglądano powojenne premiery. Najbardziej popularne było kino „Zorza”, gdzie czasem organizowano procesy pokazowe.

I Dwa teatry, dwa mundury I

W czasie wojny Konrad chodził do szkoły w Krakowie, gdzie Irmgarda wynajęła mieszkanie. Zapewne należał do Hitlerjugend. Anna Polony ubolewała: „Konrad nie miał takiego dzieciństwa, jakie należy się dziecku. W głębi duszy pozostał nieszczęśliwym chłopcem”. To nieprawda. Konrad był szczęśliwym chłopcem. Urodził się w odpowiednim momencie. Mógł urodzić się dwa lata wcześniej. Wówczas strzelałby do innych chłopców.

Blisko 30 tysięcy widzów zobaczyło w Teatrze Śląskim w Katowicach *Dwa teatry* Jerzego Szaniawskiego w reżyserii Edmunda Wiercińskiego. Czy Konrad widział przedstawienie, którego premiera – 23 stycznia 1947 roku – przeszła do historii polskiego teatru? W Dyrektora wcielił się Bronisław Dąbrowski, w roli Chłopca z deszczu zadebiutował Tadeusz Łomnicki. Publiczność najsilniej reagowała na scenę z małymi żołnierzami w hełmach z papieru, scenę ze snu i niedawnej jawy.

U moich dziadków Z. też wisiła fotografia chłopca w mundurze. Na piersi naszyto mu orła, który nie wypuszcza ze szponów swastyki. Brat babci miał siedemnaście albo osiemnaście lat, kiedy zginął pod Stalingradem. Nie pamiętam rysów chłopca w szarym mundurze. I na pewno nie przychodził z deszczu, ale ze śniegu i ciemności.

W salonie domu Swinarskich w Wieliczce na honorowym miejscu spoczywała fotografia polskiego pułkownika, kawalera Virtuti Militari. Może Henryk Swinarski wpatrywał się w tę fotografię, w ten mundur. Może mu się pomieszały w głowie mundury, a może to mundury pomieszały się światu.

I Podpis nieczytelny I

Od jesieni 1946 roku Konrad Swinarski uczył się w katowickiej Państwowej Szkole Sztuk Plastycznych. Miała status szkoły średniej, a nie – jak powszechnie przeinaczają autorzy biografii Konrada – filii krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Dyrektorem był Stanisław Marcinów, autor pomnika Armii Czerwonej na placu

Wolności. Konrad pisał w liście: „Wybrałem w pierwszej chwili coś, co wydawało mi się bardzo ciekawe: plastykę”.

Po roku doszedł do wniosku, że w Katowicach „nie ma przyszłości”. Nie ma dowodów, że znał pismo okólne wojewody Zawadzkiego, w którym nakazano szczególną czujność wobec „zakonspirowanych” lub „niewysiedlonych” Niemców. Podkreślono potrzebę ujawnienia byłych członków Hitlerjugend, gdyż organizacja ta pozostawiła „głęboki osad niemiecki”. Kamuflujących się można było skierować „na czas dochodzeń” do obozu pracy w Gliwicach.

Konrad wolał Sopot. Przeniósł się na Wydział Architektury Wnętrz tamtejszej PWSSP. Po drugim roku uzyskał półdyplom, dający prawo do starań o indeks na innych uczelniach. Zdał do Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, ale zdecydował się kształcić na Wydziale Plastyki Sceny przy PWSSP. W Łodzi zetknął się z Władysławem Strzemińskim, który prowadził wykłady z historii sztuki, prezentując studentom swoją teorię widzenia. Z jego poglądami Konrad zapoznał katowickich kolegów plastyków, co doprowadziło do wspólnych wystaw i powstania grupy St 53. W nazwie utrwalono fascynację Strzemińskim i Katowice, czasowo przechrzczone na Stalinogród.

W 1951 roku Konrad zdał na Wydział Reżyserii Dramatu Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. To studiowanie, jak każde inne, wymagało złożenia stosownej dokumentacji o sobie. Wydział Społeczno-Administracyjny Prezydium MRN w Katowicach wydał Konradowi zaświadczenie, że „jest sierotą i majątku ruchomego na terenie m. Katowic nie posiada. Pochodzenie socjalne wymienionego jest: inteligencja pracująca”. Sygnował ktoś w zastępstwie kierownika wydziału. Podpis nieczytelny. Historia lubi takie podpisy.

Jako warsztat reżyserski Swinarski przygotował 30 września 1954 roku *Karabiny matki Carrar* Brechta. Spektakl zagrano w Teatrze Nowej Warszawy i transmitowała go telewizja.

Jak zauważyła po latach Joanna Walaszek, bohaterka spektaklu „nie pozwala synom włączyć się do walki o sprawę, którą uważa za słuszną. Lęka się o ich życie, życie, które w walce stracił ich ojciec, jej mąż. Gdyby nie optymistyczne zakończenie związane z agitacyjnym charakterem dramatu, sztuka mogłaby być prawie tragedią. Wydaje się, że Swinarski od razu, w pierwszym swoim przedstawieniu, w sposób porażająco bezpośredni, próbował uporać się z najbardziej go dręczącymi problemami”. ■

Piotr Zaczekowski – pisarz i publicysta, teatroznawca, dyrektor Instytucji Kultury „Katowice Miasto Ogrodów”





MILCZENIE OWIEC

Odjąć rygle! Na oścież drzwi!

T.S. Eliot: *Zbrodnia w katedrze*

Tragedia Śląska to wydarzenia, które miały miejsce na Górnym Śląsku siedemdziesiąt lat temu. Jest to czas długo przemilczany z powodów politycznych i etnicznych. Górnoślązacy byli zmuszeni milczeć o tym, co wtedy zaszło. Wydaje mi się jednak, że nie powinni byli milczeć.

Dawno temu Tales z Miletu uznał Okeanosa, czyli wszelką wodę opływającą świat, za prapoczątek wszystkiego. Być może łonem, z którego narodziła się dzisiejsza przebudzona górnośląskość, jest milczenie. Milczenie, które stało się czymś źródłowym. Milczeć można pół wieku, wiek, tysiąc lat. Milczenie zawsze jednak posiada walory treściowe. Nie istnieje prawdopodobnie milczenie beztreściowe.

Milczenie o Tragedii Śląskiej przełożyło się na inne milczenia i milczenie o innych rzeczach. Milczenie – jako domniemana, wychwalana cnota górnośląska – stało się poniekąd źródłem represji. Zagnieździło się milczenie w nas jako strach i obawa. Przeistoczyło się milczenie w smutne poddaństwo milczenia, przedziwny kunszt milczenia. Zablockowało samouwierzytelniające dążenie do własnej koncepcji szczęścia.

Przeto Górny Śląsk nie jest dobrym miejscem do życia. Dopóty Górny Śląsk nie będzie miejscem zamieszkiwanym, dopóki nie zacznie być miejscem mówionym i myślanym. Bowiem mieszkać oznacza poważać się na mówienie. Mówienie nie jest jakimś dodatkiem do świata. Mowa nie suplementuje świata, lecz jest światem. Mowa przechowuje świat. Dlatego milczenie jest negacją świata. Kto milczy, przyczynia się do utraty prawdy. Milczący i przemilczany, a także przemilczający sam siebie Górny Śląsk nie potrafi nikogo uszczęśliwić. Zasięg śląskiego doświadczenia milczenia i przemilczenia to rzecz niespotykana! Można rzec, że kultura na Górnym Śląsku po II wojnie światowej to ciąg nie-

dopowiedzeń i zamilknięć, przycichania i uciszania. Mam takie wrażenie, że ciągle jeszcze biorę udział w koncelebrze milczenia, żałości i utraty.

Zakneblowany – sam siebie niejednokrotnie kneblujący i cenzurujący – Górny Śląsk przypomina zagrodę owieczek. Owce są łagodne i milczą w sposób doskonały. Są jak gdyby bardziej milczące od innych zwierząt. Nawet od tych, które tradycyjnie w naszej kulturze uchodzą za ikony milczenia: ryby, króliki (trusie w staropolszczyźnie), myszy, a z ptaków łabędzie, które u Greków symbolizowały Reę z pokolenia Tytanów. Potulność i bezgłośność owcy zrobiła zawrotną karierę w świecie metafor. Owce nie tylko potrafią pięknie milczeć, lecz są także potulne i bierne. Milczą w podobny sposób, jak głazy, ściany, skały, słupy, kołki, pnie. Albo posągi. Bo Horacy użył w jednym ze swych poematów *Listów* wyrażenia *taciturnior statua*: bardziej niemy od posągu.

Zwartość, spójność i pasywność owczego stada może zostać uznana także za coś pozytywnego. Kiedy prorok Izajasz powie z wyrzutem: „rozproszyłście moje owce”, będzie przez to rozumiał takie nadwyżęgnięcie więzi wspólnoty Hebrajczyków, w którym doszło do katastrofalnej utraty spójności nie tylko między nimi wzajemnie, lecz także między nimi a Bogiem.

Zanik organicznej jednolitości, identyczności, monolityczności Ludu Bożego – to upadek, grzeszność, rozłączenie. Za pozytywne milczenie można uznać milczenie mistyczne, jak przekonuje Sergio Quinzio, który czyta *Psalm 65* ze znakami masoreckimi i wers drugi tego psalmu: „Dla Ciebie milczenie jest czią”. Jednakowoż myśl żydowska, traktująca istotnie milczenie jako coś negatywnego, ma w swej tradycji przemilczanie imienia Boga, zakaz wymawiania jego imienia (to samo serce tego prze-

konania). Dlatego żydowskie i górnośląskie milczenie, wyraźnie to czuję, mają ze sobą wiele wspólnego.

Kto milczy, wydaje się posłuszny. Można rzec, że owce są posągowo milczące i bezwolnie posłuszne. Wydają się przez to zupełnie głupie. Owce stać jedynie na owczy pęd. Ów owczy pęd, pojęcie giełdowe i konsumenckie opisane przez Harveya Leibensteina, to takie zachowanie, które nie daje się uzasadnić niczym innym, jak tłumnością i bezrozumnym naśladownictwem jednych osobników przez inne (w oparciu o wewnętrzne impulsy grupowe). Jak wiadomo, owce nie należą do grona indywidualistów i osobników niezależnych. W owczym kraju liderstwo uchodzi za występki. Dlatego świat stadności i świat indywidualistów to światy tak mocno się różniące.

Stadny świat owiec posiada tylko jedną wykładnię, którą obsługuje pojedyncza sylaba. Jest nią bezosobowe „się”: tak się robi, tak się żyje, tak się biegnie, tak się należy zachowywać, tak się myśli, tak się skubie trawę. „Się” zastępuje na Górnym Śląsku „ja myślę”, „ja uważam”, „ja chcę”, „ja żyję”. Milczenie górnośląskie (jako swoista i nieodgadniona autonegacja) sprzyjało łatwemu utrwalaniu, dość zazwyczaj przypadkowych, stosunków władzy narzucających się Górnoślązakom z tej czy innej strony. Z milczeniem górnośląskim nie tylko nie liczy się polityka i ekonomia, lecz także konsumpcjonizm oraz jeszcze kilka izmów. Milczenie jest nieetyczne.

W ten sposób zaczyna się neuroza. Występuje zawsze wtedy, gdy pragniemy nasze życie obrócić w zamiejscowy, importowany mit. Albo w wymyśloną lub narzuconą nieprawdę. Gdy decyzje o kształcie życia pozostawiamy stadu czy w ogóle komuś z zewnątrz (pasterzom?). Gdy wyrzekamy się podmiotowości.

Jak pisze Georg Wilhelm Friedrich Hegel w *Wykładach z filozofii religii*, podmiotowość jest mocą określającą samą siebie, Podmiot charakteryzuje się uszczegółowieniem się w sobie. Albo uszczegółowieniem siebie, ujednolicieniem siebie, ekspresją serca. Podmiot jest szczególny i niepodobny. Jest mocą mądrości. Podmiot uświadamia sobie swą samoświadomość. Jest przytomny wobec swego „sam” i wobec swego „tu”. Taki podmiot nie milczy owczo, ponieważ jedną z jego strategii zachowania tożsamości jest komunikacja i afirmacja tego, co go otacza. Sama tożsamość staje się nośnikiem sensu.

Tego właśnie Górnoślązakom brakuje. To gdzieś zostało uchylone i unieważnione spolegliwość milczenia o Tragedii Śląskiej i mniejszych

tragediach. Mimo coraz głośniejszego gaworzenia o tożsamości, Górnoślązacy pozostają owczo indolentni. Z powodu neurotycznej śląskiej milkliwości ciągle powtarzają się na Górnym Śląsku procesy tragiczne wyższej instancji, które nigdy nie wysławiają się, nigdy się nie wyjęzyczają, że tak się wyrażę. Po prostu są, a stado owiec czeka nowej biedy.

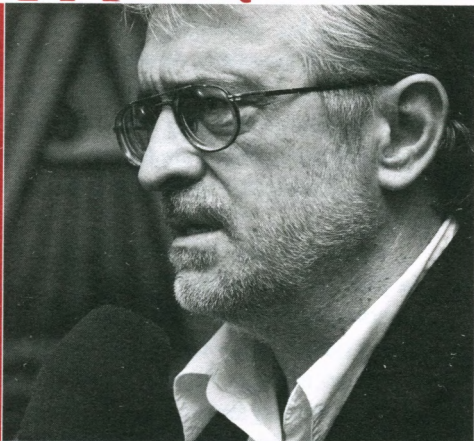
Zgadzam się, że wielokształtne nieszczęście nie jest samo w sobie tragiczne. To się przydarza ludziom i ludom na wszystkich kontynentach. Najgorszy nawet cios – to jeszcze nie tragedia. Tragiczne jest co innego. Rdzeń Tragedii Śląskiej zasadza się na głębokiej świadomości, że Górnoślązacy nie są konieczni, że ich życie jest zbędne. Że są niepożądani w żadnym wymiarze. Że mogą powiedzieć, jak król Edyp: lepiej byłoby się nie urodzić. Górnośląskość jest zdeterminowana przez tę zbędność i daremność istnienia.

Nawet dzisiaj Górnoślązak jest nieustannie weryfikowany, stale metaforycznie odsyłany, wywołony, przesiedlany, wypędzany, sekowany. Górnoślązaka ma się na oku. Górnoślązaka ma się na uchu, jeśli tak można rzec, bo przekrzywia samogłoski i interpretuje inaczej świat. Górnośląskie milczenie owiec zaprasza do insynuacji różnorodnych ukrytych opcji. Górnoślązak jest „Ślązakowcem” (inna nazwa piątej kolumny), a więc indywidualium w najwyższym stopniu podejrzanym i niepewnym. Słowem, Górnoślązak to trefny obywatel. Nie wolno mu ufać ani z urzędu, ani z ambony.

Co z tego, że Górnoślązacy starają się być dzielni i prometejscy, skoro mają na czołach pieczęć nieprzydatności do obywatelskiego użycia w państwie, w którym żyją? Że ustawicznie muszą udowadniać swoją lojalność. Dzielne rysy śląskiego charakteru nie przesądzą o niczym, gdy panuje obsesja czystości pochodzenia.

Milczenie może świadczyć o ukrywaniu czegoś, a niewerbalizowanie uchodzić za tajenie. Owce same zachęcają, by je obrażać; by pilnie ich strzec i je strzyc. Skończmy z milczeniem. Bez wyjścia z milczenia zgubne procesy toczyć się będą w nieskończoność. Bez exodusu z prowincji milczenia Górnoślązak pozostanie błędną owcą na nieznanym błoniach, po których nawet boi się stąpać, a milczenie będzie się powtarzało.

Dlatego jestem wdzięczny Sejmikowi Województwa Śląskiego za ogłoszenie roku 2015 Rokiem Pamięci Ofiar Tragedii Górnośląskiej. Jest to przecież okazja, żeby powiedzieć coś głośno nie tylko o ofiarach zbrodni sprzed siedemdziesięciu lat, lecz także o nieprawości względem Górnoślązaków w ogóle. ■



W MROCZNYM CIENIU STACHANOWA

Jest parę takich miejsc, które pchają moje myśli w stronę dramatycznych wydarzeń roku 1945. Ilekroć obok nich przechodzę czy przejeżdżam, próbuję ogarnąć ogrom cierpień i nieszczęść, jakie spadły na tamtą generację Górnślązaków. Doremnie.

Na początku lat 90., bo chyba nie wcześniej, na starym świętochłowskim cmentarzu pojawiła się skromna mogiła, symbolicznie honorująca te ofiary obozu w Zgodzie, których miejsc pochówku nigdy nie udało się ustalić. Do lagrów posyłano osoby z niskimi numerami volkslist, ale sztywnej reguły nie było, skoro wśród więzionych nie brakowało „trójkarzy”, Polaków z Generalnego Gubernatorstwa, AK-owców, a nawet obcokrajowców. Celem było wyizolowanie ludzi podejrzanych o sprzyjanie reżimowi hitlerowskiemu. Jednak funkcjonariusze niemieckich służb mundurowych byli wśród więźniów zdecydowaną mniejszością, notabene – w Zgodzie wyodrębnioną, bo zamkniętą w jednym baraku. Wystarczył donos, domniemanie winy, splot przypadkowych okoliczności.

O tym, że nie było podstaw do więzienia tych ludzi, świadczą ich późniejsze losy. Większości tych, którym udało się przeżyć, nie stawiano zarzutów prokuratorskich. I bynajmniej nie wszystkich wyeksmitowano za granicę.

W lagrach nie każdy pracował. Przeszkodę stanowiły epidemie chorób zakaźnych. Zresztą to nie chęć pozyskania taniej siły roboczej stała u podstaw organizacji tych obozów. Część z nich miała charakter przejściowy. Miały być narzędziem pomocnym w organizowaniu weryfikacji narodowościowych i przymusowych wyjazdów do Niemiec. Owszem, więźniowie byli również wyprowadzani do pobliskich zakładów pracy, do robót porządkowych, drogowych albo na kolej. Jednak nie dlatego tysiące Ślązaków przewinęło się przez Zgodę czy Jaworzno.

Inaczej było w przypadku wywózek do ZSRR, głównie do Donbasu. Kilkadziesiąt tysięcy górnośląskich górników (i nie tylko) potraktowano jako darmową siłę roboczą i niejako w ramach przyspie-

szonych reparacji wojennych rzucono w mroczne rewiry zdewastowanego sowieckiego przemysłu. Już od lutego 1945 roku mężczyzn zwabiano dwujęzycznymi obwieszczeniami ulicznymi, wskazującymi przymusowe punkty zborne. Swego czasu pokazywano mi budynek szkolny w Knurowie, który taką właśnie funkcję pełnił, bo trzeba pamiętać, że pozyskiwano niewolników także po polskiej stronie przedwojennej granicy, choć największych spustoszeń dokonano na terenie powiatów zabrzańskiego, gliwickiego i bytomskiego. Niewątpliwie więc kryterium narodowościowego nie brano pod uwagę, a w każdym razie nie było ono rozstrzygające.

Inna rzecz, że w tamtych warunkach odróżnienie „kto jest kim” było trudne, niekiedy niemożliwe. Nawet jeśli w jednym czy drugim przypadku wywózka była rodzajem politycznej retorsji za grzechy popełnione w latach wszechwładzy NSDAP albo wobec nowych porządków, to nie da się tego motywu rozciągnąć na całą populację internowanych (a taką eufemistyczną nomenklaturą wówczas się posługiwano). Bynajmniej nie wywożono przestępców wojennych. Ci w większości zdążyli uciec przed pojawieniem się Armii Czerwonej. Niekiedy więc od razu separowano całe zastępy górników kończących szczytę. Innym razem wyłapywano robotników (niekoniecznie wykwalifikowanych i przygotowanych do pracy pod ziemią) z domów i ulic. Jeszcze w innych przypadkach pacyfikowano brygady wyspecjalizowanych pracowników, którzy wcześniej rozmontowywali urządzenia w różnych fabrykach czy elektrowniach. Uznano, że to oni najlepiej nadadzą się do ich powtórnego zastosowania już w głębi ZSRR.

Na ogół jednak Górnślązacy nie wiedzieli, jaki czeka ich los. Mieli prawo przypuszczać, że będą użyci do odgruzowywania miast, do prac porządkowych, być może wiążących się z krótkotrwałymi wyjazdami poza miejsce zainstalowania. Tym tłu-

maczyli sobie, że ich koszarowano na kilka, kilkanaście dni, nie zachęcając wcześniej, by zabierali z sobą większy bagaż.

Znamy co najmniej kilka takich miejsc czasowego odosobnienia, z których droga wiodła zwykle do Pyskowic, a stamtąd – szerokimi torami – na wschód. Baraki zwykle znajdowały się w pobliżu linii kolejowych. Wykorzystywano infrastrukturę poniemiecką, obozy dla obcokrajowców przy dużych zakładach pracy. W Bytomiu był to wielki plac, znajdujący się naprzeciwko kopalni „Karsten” (później „Centrum”, „Dymitrow”, „Bobrek-Centrum”), graniczący z obrzeżami Parku Miejskiego. Dziś stoi tu osiedle mieszkaniowe, z kilkoma wieżowcami, spoglądającymi na wyprowadzającą z miasta ulicę Wrocławską. Nic nie przypomina i nie upamiętnia tamtego dramatu. Podejrzewam, że większość bytomian nie kojarzy już tego miejsca. Sam chyba też bym o nim nie wiedział, gdyby nie relacje tych, którzy przeżyli.

Z jednym z nich kilkanaście lat temu długo rozmawiałem. Był wtedy już emerytem, dorabiającym jako pracownik socjalny przy parafii protestanckiej w nieodległych Miechowicach. Bynajmniej nie czuł się Niemcem, a bytomskie baraki, do których trafił z ojcem i braćmi, doskonale zapamiętał. Dokładnie zapamiętał również daty. I trudno się dziwić. Gdy zgłosił się na punkt zborny koło kopalni „Karsten”, miał 17 lat i 12 dni. O 12 dni za dużo... Sowietci bowiem taką dolną granicę wieku określili w owych ulicznych obwieszczeniach.

Trafił do Kadijewki, do obozu Irmino, niedaleko Woroszyłowgradu. Obu tych miast nie znajdziemy na mapie. Pierwsze nazywa się dziś Stachanow. Swoją drogą, trochę dziwi, że po uzyskaniu niepodległości Ukraińcy nie powrócili do historycznej nazwy, nadal oddając hołd rosyjskiemu górnikowi, którego „rekord” – dziesięć lat wcześniej osiągnięty właśnie w kopalni „Centralnaja-Irmino” – wyznaczył katorżnicze warunki pracy akordowej także górnośląskim górnikom. Stachanowskie normy ich też objęły. Jeśli nie były osiągane, to zdarzało się, że górnikom po zakończeniu dniówki kazano wracać na stanowiska pracy.

W Kadijewce teoretycznie co siedem dni przysługiwał dzień wolny. Teoretycznie, bo w praktyce jakaś robota zawsze się znalazła. A to na terenie samego łagru, a to przy rozładunku wagonów, a to przy kopaniu rowów. Nie było więc mowy o godzinnym wypoczynku, a tym bardziej ucieczce. Łagry były szczelnie strzeżone. A nawet jeśli komuś udało się wymknąć, to i tak prędzej czy później wpadał w ręce NKWD. Nie można się było schować, ukryć, liczyć na pomoc zabiedzonych mieszkańców rosyjskich czy ukraińskich wiosek i miast.

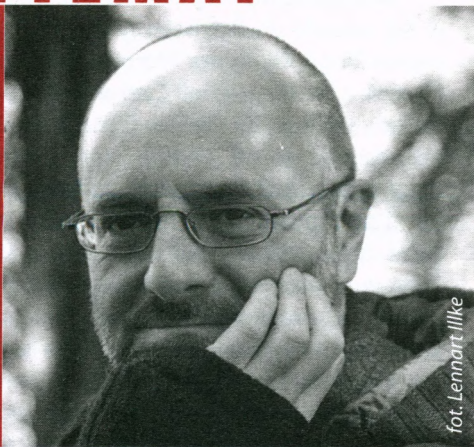
Woroszyłowgradu już też nie ma. Bez trudu w tej nazwie rozpoznajemy słynnego marszałka sowieckiego Klimienta Woroszyłowa, współautora czystek z lat 30. w Armii Czerwonej, a później mord katyńskiego. Za czasów Chruszczowa próbowano odsunąć go od władzy i zaszczytów, ale Breżniew przywrócił marszałka do łask, a po śmierci kazał pochować na Kremlu. Od roku 1991 roku to duże przemysłowe miasto nazywa się Ługańsk. I znowu w naszych uszach nazwa ta brzmi nieprzyjemnie. To przecież jeden z najważniejszych ośrodków antyukraińskiej rebelii i stolica separatystycznej „republiki ludowej”. Podobno w centrum miasta nadal stoi pomnik Woroszyłowa. Jak długo jeszcze?

Czy pamiętamy, że Donieck – także w czasach wywózek – nazywał się Stalino? Stalino miastem partnerskim Stalinogrodu? Tak, mimo że te nazwy się nie spotkały, tak jak potem rzadko (a właściwie wcale) spotykały się oficjalnie zaprzyjaźnione społeczności obu górniczych miast i regionów, choć pamiętam wizyty rosyjskojęzycznego teatru dramatycznego w Katowicach i gościnne reżyserie naszych artystów w Mariupolu (w tym czasie zwanym też Żdanowem, więc nie dziwi, że i my mieliśmy ulicę krwawego obrońcy Leningradu). Wątpliwe to związki i podobieństwa, nieprawdaż?

A jednak, gdy oglądam zdjęcia z obrzeży donbaskich kopalń, to trochę przypominają nasze pogórnice wertepy, chaszcze i nieużytki, obsiane rachitycznymi brzoźami i kępami krzaków. Tam jednak praca była cięższa. Węgiel zalegał płytkimi pokładami, zmuszającymi do pracy na kolanach, a nawet na plecach. Dobijały głód i choroby.

Nie wiem, czy po 70 latach od wywózek żyje jeszcze choćby jeden z deportowanych. Na pewno pozostały dzieci. Niedawno toczyły się rozprawy przed Sądem Okręgowym w Rybniku i Sądem Apelacyjnym w Katowicach o zadośćuczynienie dla syna jednego ze zmarłych w ZSRR górników kopalni „Chwałowice”. Jego pełnomocnikiem był mecenas Józef Fox, który – jak na razie? – bezskutecznie starał się dowieść, że była to nieprzedawniająca się zbrodnia komunistyczna, wypełniająca znamiona zbrodni przeciwko ludzkości. Nie zdołano też przekonać sądów, że postępowanie powinno uwzględnić koncepcję tzw. winy bezimiennej (anonimowej). Skarb Państwa RP nie przyjął na siebie odpowiedzialności cywilnej za śmierć tego górnika.

Wyobraźmy sobie, że wyrok sądu byłby inny. Zapewne posłużyłby jako precedens i pociągnął długą listę podobnych wniosków. Jak widać, nie chodzi tylko o długi moralne. Rzeczpospolita broni się także przed wydatkami. Inna rzecz, że to nie ona wywoziła Górnoślązaków. ■



DOŚWIADCZENIE MIŁOŚCI

Nie lubię do tego wracać i rozpamiętywać, co zdarzyło się na premierze *Miłości w Kö-nigshütte* w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej w marcu 2012 roku. Nie lubię rozpamiętywać, jak polityka miażdży sztukę, generując wcześniej nie-doświadczane emocje i ich pochodne.

Tekst o tym moim spektaklu, opowiadającym wymyśloną przeze mnie część Tragedii Górnośląskiej, powinien napisać może kto inny, stojący z boku i mający więcej dystansu. Ale to w końcu ja jestem autorem scenariusza filmowego, który zaadaptowałem na bielską scenę, wyreżyserowałem i w finale przedstawienia przekonałem aktorów, byśmy wszyscy założyli na ramię żółto-niebieskie opaski.

Przeglądam teraz karton z wycinkami prasowymi, recenzjami, wywiadami, które ukazywały się długo jeszcze po premierze. Sporo tego, po żadnym z moich spektakli nie ukazało się tyle. Niezła jatka. Dobrze, że to spokojnie mogę dziś przeczytać. Z lektury wynikać bowiem może, że na bielskiej scenie odbył się co najmniej sabat czarownic, gruchocząc odwieczne polsko-śląskie tabu, naruszając rację stanu i wszelkie inne polityczne świętości. Aż mi się wierzyć nie chce, jak to teraz czytam. Tak, ten tekst powinien napisać kto inny, nie ja. Tylko znów się denerwuję.

Poza tym po premierze sam pisałem o tej zawierusze wiele razy, wypowiadałem się na spotkaniach po spektaklach, wysłuchując obelg i zaczepów, nie mogąc nikomu najnormalniej w świecie przydzwonić (bo to nie uchodzi w teatrze), tylko musiałem grzecznie słuchać, tłumaczyć co niewytłumaczalne.

Zatem kończy się prapremierowy spektakl, idzie ostatnia scena, zjeżdża z góry tablica z napisem „Obóz w Zgodzie”, aktorzy wyjmują z kieszeni żółto-niebieskie opaski i powoli zakładają na ręka-

wy. Stoję w kulisach i widzę, jak niektórym odtwórcom postaci trzęsą się nogi, na widowni krzyki, pojedyncze wyzwiska, ale potem oklaski i znów krzyki takie i inne. Wychodzę do ukłonów, stoję przed aktorami, zakładam opaskę, bo jak oni to i ja, chciałbym ich wtedy wszystkich sobą zasłonić, bo wiem, jak wielu z nich przeżywało ten spektakl (choć nie są przecież Ślązakami), kłaniam się, patrzę na widownię, chyba jest dobrze, bo słyszę charakterystyczną nutę w oklaskach, jakiej w żaden sposób nie można wymusić. Widownia wstaje, inni protestują, chyba spektakl się udał, opowiedzieliśmy o tym, o czym chcieliśmy, ale czuję, że też jest kiepsko, bardzo kiepsko, bo z widowni zionie i zła energia, której w swojej teatralnej historii jeszcze nie doświadczyłem, niemająca nic wspólnego ze sztuką, dramaturgią, grą aktorską.

Aktorzy schodzą ze sceny na miękkich nogach, idę wśród premierowych gości w foyer; łapię różne spojrzenia; ludzie jeszcze są w spektaklu, ktoś chwyta mnie za rękaw, opowiada pośpiesznie ułamek historii sprzed kilkadziesiąt lat, inny pokazuje pożółkłe zdjęcie, ktoś chwali, dziękuje, ale słyszę też niemiłe słowa, dżgają złe spojrzenia i wreszcie okrzyk: „Gestapowiec!” No, naprawdę niewiele wtedy brakowało. Całe szczęście, że odciągnął mnie koleżka na zascenie.

A tam moi aktorzy, trochę ucieszeni, trochę wystraszeni, zdezorientowani; przekazują, co im kto na szybko powiedział; wygląda na to, że nie taką historię chciano tu w Bielsku obejrzeć o naszych śląskich sprawach. Rozwija się popremierowy młyn w kulisach i garderobach; do moich aktorów przychodzą znajomi i zupełnie obcy ludzie, język śląski miesza się z polskim; są gratulacje, uściski, ale i niedowierzanie, cisza i pytające spojrzenia. Muszę to wszystko trzymać w garści; siebie, a najważniejsze to moich aktorów, bo co oni zawinili; pięknie pracowali na

próbach, pięknie zagrali, ale nie wiem, czy się już domyślają, że nikt im za te znakomite role nie da żadnej, najmniejszej nagrody, chociaż przysięgam wam, że zasłużyli.

Schodzę do teatralnej kawiarni, siadam przy stoliku z kilkoma osobami z teatru i z nestorem polskich krytyków teatralnych z Warszawy. Najpierw chwali spektakl, gadamy, nagle widzę, jak zmienia się na twarzy, przerywa rozmowę, patrzy na mnie jak na diabła wcielonego i pyta: „O co wam chodzi?... Chciecie się oderwać od Polski?... Do kogo chciecie się przyłączyć?... Odłączcie się i co?... Komu będziecie sprzedawać węgiel?” I tak dalej, i tak dalej. („Stara lajera” – jak mówiła moja mama.) Słuchałem jego pytań zadawanych takim tonem, z takim wyrazem twarzy, że mnie zatkało. A znamy się dobre dwadzieścia lat. Nigdy go takim nie widziałem.

Wróciłem do aktorów. Ale już wtedy poczułem, że mam przegwizdane z tym spektaklem. Bo skoro facet, który widział w Polsce przez ostatnie dekady wszystkie spektakle teatralne na wszelkie możliwe tematy, tak dostaje do głowy, to co dopiero inni, niemający z teatralnymi opowieściami wiele wspólnego. A to był dopiero początek.

Nie chce mi się już pisać, co wyczytywaliśmy w śląskiej prasie po premierze. Nikogo nie interesowała sceniczna historia, a wszystkich tylko polityka. To była panika. Jak kto ciekaw, można sobie poczytać w sieci. Ale była też druga strona tej historii i pierwsze moje takie doświadczenie artystyczne, także czysto ludzkie. Zrobiliśmy w Bielsku spektakl, który naprawdę zainteresował widzów mieszkających na Śląsku, zainteresował nie z powodów artystowskich, mody czy tego całego teatralnego badziewia. Opowiedzieliśmy historię, której nikt wcześniej nie chciał opowiadać w teatrze. Graliśmy w różnych salach na Śląsku i zawsze miałem poczucie, że tych, którzy przyszli, naprawdę to dotyczy, interesuje i chcą oglądać. Przyszli do teatru nie z przypadku czy marketingowego chwytu, ale z potrzeby. To się rzadko dziś zdarza w teatrze.

Uzmysłowiła mi przygoda z *Miłością w Königshütte* (szkoda, że dopiero na stare lata) niesamowitą siłą teatru społecznego czy politycznego, którym się nigdy wcześniej nie zajmowałem. Jeśli taki spektakl trafi na swojego widza, swój czas, jeśli katalizuje go bliski, ważny dla odbiorcy społeczny kontekst, np. białe plamy w historii danego miasta, regionu czy kraju, to groźny może to być żywioł: ogarnie przychylnych widzów i zdeklarowanych przeciwników. Tego się nauczyłem i doświadczyłem.

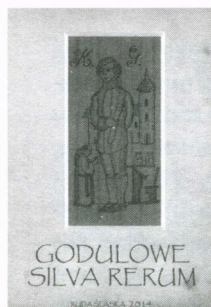
Wracam któregoś wieczoru po przedstawieniu w Chorzowskim Centrum Kultury, wracam spacer-

kiem ulicą Wolności, mijam kawiarenkę na ulicy, ktoś wstaje od stolika, podchodzi do mnie, zaprasza, żeby się dosiąść na chwilę; dwie rodziny; młodzież, seniorzy. Byli na *Miłości w Königshütte*, mówią, że przyjechali specjalnie z Essen czy Düsseldorfu i zaraz jadą z powrotem; nie wyglądają mi na byłowców teatralnych, milczymy, w końcu pada jedno słowo, drugie i rwana, niezgrabnym śląskim z mocnym akcentem niemieckim opowieść o Zgodzie, babce i drugiej babce, deportacjach, nędznych losach wygnańców i zdanie jednego z mężczyzn, że teraz jego synek już wie, co to znaczy, gdy on mu wciąż powtarza, że jest Ślązak, a nie Niemiec. To też zapamiętam.

Albo jak graliśmy *Miłość w Königshütte* w Teatrze Studio w Warszawie... Trochę z duszą na ramieniu czekałem na finał; ale były oklaski, żadnych ekscesów, wszystko tu już widzieli, pewnie dlatego. W stołecznych recenzjach napisali, że to historia o odkrywaniu nieznanych fragmentów polskiej historii, kręcili tylko nosem na postać Marzeny, polskiej żony głównego bohatera, że to chyba niemożliwe, aby była aż tak nieprzyjemna dla męża. W kulisach podszedł do mnie widz, starszy mężczyzna, rozwinął z szarego papieru plik pożółkłych listów, wyjmował zapisane drobnym pismem kartki z kopert, to były listy od jego żony, gdy już uciekła od niego ze Śląska. Przebiegam wzrokiem pojedyncze zdania, które jakby żywcem wyjęte z ust mojej bohaterki. Naprawdę dziwnie spletała się ta wymyślona, sceniczna historia ze wspomnieniami i relacjami rozmaitych widzów.

Jakiś rok po premierze zaprosiła mnie do lokalnego radia osoba, która nigdy wcześniej mnie nie zapraszała. W tej radiostacji goszczę dosyć często, ale nigdy w tym programie. Rozmawialiśmy długo o moich spektaklach, premierach, dramatach, a ja dziwiłem się tym nagłym zainteresowaniem moją twórczością. Rozmawiamy, rozmawiamy i nagle (gdy właśnie nabierałem powietrza, by na coś odpowiedzieć) pada szybkie pytanie: „A co się Panu właściwie w Polsce tak bardzo nie podoba?” Nie miało to pytanie żadnego związku z poprzednimi, tematem rozmowy, z niczym. Po prostu padło, jak to się mówi, zupełnie zniecka.

Gdybym nie był przeorany przez teatr dramatopisarzem, co go już niewiele zdziwi, spadłbym z krzesła na takie dictum. Odpowiedziałem natychmiast: „Wszystko mi się bardzo podoba”. „Naprawdę?” – zdumiała się osoba. „Naprawdę” – potwierdziłem. Rozmowa w studio, pytanie zza węgła, to też jedno z doświadczeń po *Miłości w Königshütte*. Naprawdę warto było doświadczać. ■



Godulowe Silva Rerum, oprac. i red. Barbara i Adam Podgórcy, Rudzkie Towarzystwo Przyjaciół Drzew OPP, Ruda Śląska 2014, s. 355.

Rozmowy o Śląsku Cieszyńskim, red. Andrzej Drobik, Made in SCI, Ustroń 2014, s. 260.

Janosch, *Szczęśliwy, kto poznał Hrdlaka*, przeł. Emilia Bielicka, Wydawnictwo Znak, Kraków 2014, s. 174.

Oni decydowali na Górnym Śląsku w XX wieku, red. Janusz Mokrosz, Mirosław Węcki, Archiwum Państwowe w Katowicach, Stowarzyszenie Europa, Śląsk, Świat Najmniejszy, Katowice–Rybnik 2014, s. 281.

Hanna Schygulla, *Wach auf und Träume. Die Autobiographie*, SchirmerMosel Literatur, München 2013, s. 200.

Urok melancholii. Dziewięć spotkań z Hanną Schygullą, red. Andrzej Gwóźdź, Instytucja Filmowa Silesia Film, Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, Katowice 2014, s. 188.

Konstanty A. Jeleński, *Bellmer albo Anatomia Nieświadomości Fizycznej i Miłości*, wybór i oprac. Piotr Kłoczowski, Słowo/Obraz/Terytoria, Gdańsk 2013, s. 70.

Freedland. Jednoaktówki po śląsku, red. Waldemar Szymczyk, Imago Public Relations, Instytucja Kultury Katowice Miasto Ogrodów 2014, s. 102.

Maciej Fic, *Między nauką a propagandą. Śląski Instytut Naukowy im. Jacka Koraszewskiego w Katowicach (1957–1992)*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2014, s. 548.

„CzasyPismo o historii Górnego Śląska” 1(5) 2014, red. nac. Adam Dziurok, Instytut Pamięci Narodowej w Katowicach 2014, s. 200.

Dariusz Kortko, Lidia Ostałowska, *Pierony. Górny Śląsk po polsku i niemiecku. Antologia*, Agora SA, Warszawa 2014, s. 560.

50 lat Szkoły Podstawowej im. Gustawa Morcinka w Toszku 1964–2014, red. Izabela Makuch, Renata Swolany, Barbara Szpak, Joanna Wróblewska, EPIGRAF, Gliwice 2014, s. 112.

Alojzy Lysko, *Duchy wojny, t. 5: W udręce nadziei. Wspomnienia Wichty Ochmanowej 1944–1966*, Offsetdruk i media Sp. z o.o., Cieszyń 2014, s. 220.

Kazimierz Gołba, *Wieża spadochronowa*, oprac. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2014, s. 250.

Józef Krzyk, *Wojna papierowa. Powstania śląskie 1919–1921*, Agora SA, Warszawa 2014, s. 94.

Alicja Badetko, *Tam królował blues... Próba monografii Klubu PULS w Katowicach*, Wydawnictwo Naukowe SCRIPTORIUM, Opole 2014, s. 132.

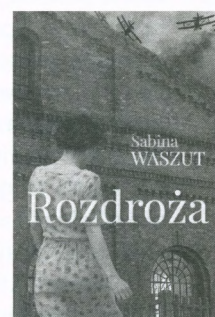
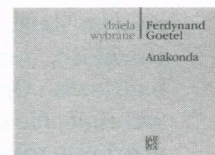
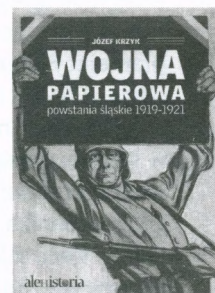
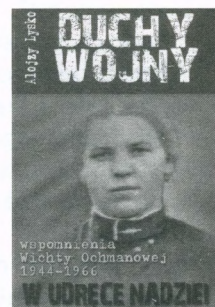
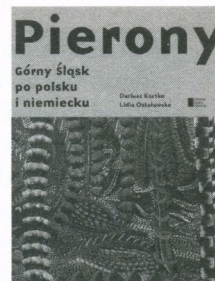
Tomasz Ćwienk, *Autonomia Śląska w perspektywie historycznej i współczesnej*, Wydawnictwo Prasa i Książka Grzegorz Grzegorek, Katowice 2014, s. 176.

Ferdynand Goetel, *Anakonda*, wstęp i oprac. Krzysztof Polechoński, AR-CANA, Kraków 2014, s. 216.

Kazimierz Kutz, *Śląsk jest moją religią. 85 felietonów na 85. urodziny*, wstęp Mateusz Cieślak, KKW Europa Plus Twój Ruch, Warszawa 2014, s. 192.

Sabina Waszut, *Rozdroża*, Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA 2014, s. 318.

Andrzej Tuziak, *Łowca androidów. Słowa i obrazy*, Instytucja Filmowa Silesia Film, Katowice 2014, s. 208.





Jedziemy z ku!tura

